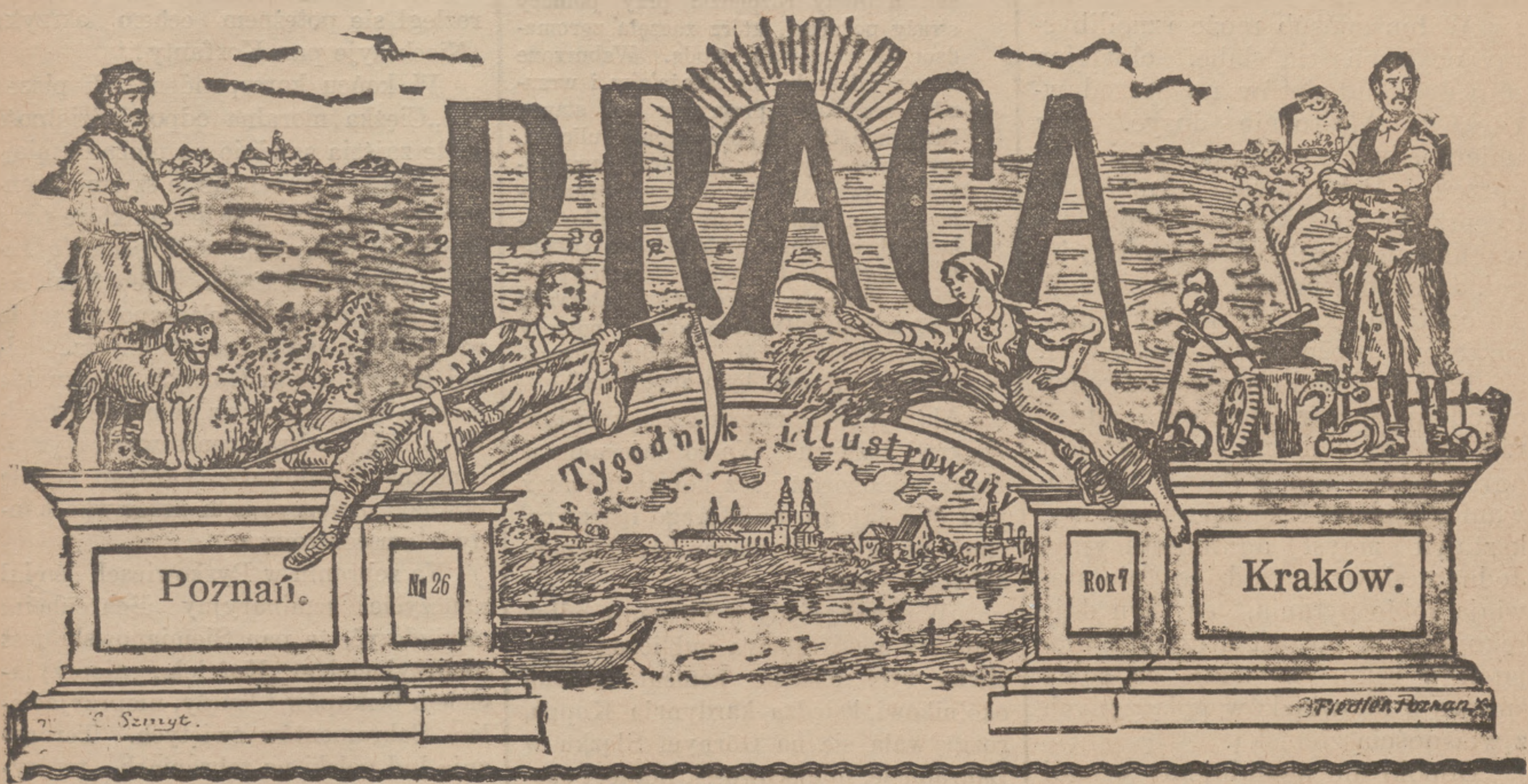
Nr. 26 Poznań, dnia 28 czerwca 1903. Rok VII



Największy czas

odnowić przedpłatę

na przyszły kwartał.

Kto nie pospieszy z odnowieniem przedpłaty może się narazić na utratę przyszłego

bardzo starannie

wydanego numeru.

Szanownych Czytelników, którzy poznali usiłowania i dążenia naszego pisma, prosimy usilnie o łaskawe poparcie przez rozdawanie okazowych numerów „Pracy" krewnym, przyjaciołom i znajomym — zachęcając ich do abonamentu.

Każdy kto tylko zażąda — otrzyma natychmiast każdą ilość numerów „Pracy" w celu rozdania takowych na okaz gratis i franko.

Dołączoną kartkę zechcą Szanowni Czytelnicy posłać na pocztę z dołączeniem 1,25 marki celem zamówienia naszego pisma na przyszły kwartał, a kto już zaabonował „Pracę" *niech poda łaskawie dołączoną karteczkę dobremu znajomemu z zachętą do przedpłaty,* gdyż to jest najskuteczniejszy środek poparcia pisma.

W przyszłem ćwierćroczu wydamy kilka *bogato ilustrowanych numerów*

podwójnej objętości.

Wreszcie nadmieniamy, że poruszymy *kilka bardzo ważnych kwestyi* społecznych, któremi każdy Polak obywatel musi się zajmować. Więc i w tym kwartale *„Praca"* powinna być pod każdą

polską strzechą.

Matki-Polki, kapłanki naszych ognisk domowych, przedewszystkiem do Was apelujemy z prośbą o łaskawę poparcie przez podawanie „Pracy" z ręki do ręki.

To nam będzie pociechą i bodźcem do dalszej, a da Bóg, wytrwałej walki w imię wiary i prawdy.

Redakcya.

Haniebna frymarka!

W chwili gdy wszystkie warstwy społeczne staczały bój wyborczy z Niemcami, podniesione na duchu w poczuciu polskości i swej świętej sprawy, runęła niby piorun z pogodnego nieba wiadomość o sprzedaży dóbr Pakosławskich w ręce dyrektora Landbanku, w ręce — kolonizacyi! Dreszcz bólu przeszył nasze doświadczane ciężko społeczeństwo i prasa nasza wszystkich odcieni zestrzeliła się w jeden potężny okrzyk oburzenia.

W istocie pióro wypada z ręki i umysł staje bezradnym wobec tego faktu.

Dobra pakosławskie w powiecie rawickim, obejmujące Pakosław, Gać i Góry ogółem mające 1439 hektary areału wydał Leon hr. Czarnecki bez wiedzy rodziny, niczem do tego nie przemuszony, w szpony wrogów naszych, czekających na zagładę Polaków. Człowiek, któremu dotąd nic nie było można zarzucić, raptem depce tradycye rodziny, zdziera tytuł hrabioski przywiązany do właściciela tych dóbr, za cenę nieprawdopodobnie nizką sprzedaje swe włości, cenne pamiątki rodzinne oddaje Niemcowi za cóż tuż i czmyha do Ameryki, przed widmem swej sromoty, jakby mówiąc z królem Ludwikiem XV: po mnie — potop!

To nie akt obywatela przynaglonego biedą, który naprożno szukając deski ratunkowej w końcu upada na duchu, poniża się i oddaje w ręce komisyi kolonizacyjnej — lecz akt człowieka dotkniętego obłędem, zwyrodniałego szaleńca.

Jednym zamachem zrywając nici wiążące go z rodziną i krajem, rzucił cień głęboki na swój ród i stan wyższy, zadał brutalny cios w samo serce społeczeństwa, wymierzył mu *policzek!*

A ogół zdjęty wielkim żalem, wstrząśnięty wielkiem oburzeniem stoi bezradny wobec tych, wyzutych z czci sprzedawczyków i pośredników, co wbrew zasadom opinii uprawiają nikczemny handel ziemią polską, zroszoną krwią i potem naszym. Aby zabić tych wyrzutków społeczeństwa moralnie należało-by podobizny ich zebrać w album i imiona umieścić na czar-

nej liście, by smutna ich sława zbrodniarzy szła za nimi krok w krok i ogół płacił im wszędzie wzgardą.

W ten sposób może rzucilibyśmy postrach na słabe, chwiejne umysły kandydatów na sprzedawczyków. Ale to nie dosyć. Aby uniemożliwić takie wypadki jak sprzedaż Pakosławia — należałoby przedewszystkiem racyonalnie wychowywać młodzież, tem więcej, że szkoła pruska nie zajmuje się całkiem kształtowaniem charakterów, może nawet spacza je.

Panuje dotąd obyczaj, że rodzice oddają synowi majątek, zupełnie bez względu na to, czy jest agronomem, czy wykazał zamiłowanie do ziemi i rolnictwa, czy wykształcił zmysł administracyjny. Jednem słowem rodzice nie stawiają sobie pytania, czy syn daje rękojmię, iż potrafi utrzymać majątek w ręku, czy zdaje on sobie sprawę z obowiązków połączonych z własnością ziemską.

Dopóki nie wsondujemy w ogół nowe racyonalne poglądy, nie nauczymy się oceniać ludzi pozytywistycznie i trzeźwo, dopóki nie poczniemy cenić w ludziach charakterów, istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że powtórzy się taki Pakosław!

Oby ogół nasz zechciał zastanowić się krytycznie i głęboko nad przyczynami leżącemi na dnie sprzedaży Pakosławia — z punktu psychologicznego i socyologicznego i przedsięwziął gruntowną sanacyą stosunków. Ale do tego trzeba-by wziąść rozbrat z bezmyślnością i płytkością, trzeba-by uzbroić się w odwagę i spojrzeć mężnie w oczy złemu.

Quis.

Tragedya wyborcza na G. Śląsku.

Praktyki germanizatorów na G. Śląsku wywierających okropny nacisk przy wyborach wydały smutne owoce. Krew się polała! W Laurahucie pod Katowicami przyszło do krwawych zajść pomiędzy centrowcami i Polakami z okazyi wieca przedwyborczego. Zajście to gazety hakatystyczne rozdymają do potwornego znaczenia. Zdarzenie to opisuje „Oberschl. Wanderer“ jak następuje:

„W Hucie Laury zwołał na niedzielę ksiądz Swider zebranie centrowców, *na które wzbroniono ...u Polakom*. Skutkiem tego przed lokalem zebrały się ogromne tłumy ludzi. Policya zniewoloną była zebranie rozwiązać a tłumy rozpędzić przy pomocy straży pożarnej, która zaczęła zgromadzonych oblewać wodą. Wzburzone tłumy uderzyły na strażaków i wrzuciły wszystkie przyrządy do stawu. Następnie tysiące przeciągały ulicami, wybijając szyby w gmachach urzędowych i prywatnych. Policya i żandarmerya posługiwała się z początku pałaszami, a później *strzelała do roznamiętnionych. Po obu stronach jest wielu rannych. Jednego mężczyznę zastrzelono.* Dopiero około północy przywrócono spokój. Wojsko sprowadzone z Bytomia, było zbyteczne.“

Ale z jakich przyczyn przyszło tam do krwi rozlewu? Na to daje nam w części odpowiedź nasz korespondent z pod Mikołajewa, na którego list zwracamy uwagę, a do dzienników poznańskich tak piszą:

„W chwili, kiedy w Poznaniu odbywała się manifestacya publiczna przeciwko tyle obecnie komentowanemu okólnikowi księdza kardynała Koppa, rozgrywała się na Górnym Ślązku w Laurahucie, miejscowości, liczącej około 25 tysięcy mieszkańców, żałosna tragedya, o której telegramy rozniosły już po świecie wiadomość. Tragedya ta była zaiste finałem nieszczęsnej germanizacyjnej polityki po kościołach katolickiego Górnego Ślązka, a ponieważ prasa niemiecka będzie czyniła rozpaczliwe wysiłki, ażeby krwawe zajścia w Laurahucie złożyć na karb ruchu narodowego, dla tego pospieszam podzielić się ze Szanowną Red. obszerniejszą relacyą z przebiegu zebrania, które tak smutny miało koniec.

W niedzielę przed południem wygłoszono w miejscowym kościele aż trzy *kazania, ściśle polityczne*, w których w namiętny sposób występowano przeciwko kandydaturze poselskiej naczelnego kierownika „Górnoślązaka“, p. Korfantego. W piersiach ludu przepełniającego świątynię, poczęło wrzeć ze słusznego i sprawiedliwego gniewu i oburzenia. *Gorycz nagromadzona w całym ludzie górnośląskim wskutek niesłychanego i wprost wstrętnego miejscami nacisku duchowieństwa górnośląskiego przy głównym akcie wyborczym, wylewała się w tłumach wiernych po nabożeństwie.* Smutną należało mieć odwagę, ażeby w takich warunkach i okolicznościach urządzać po tych roznamiętniających kazaniach publiczne zebranie wyborcze.

Tę smutną odwagę znalazł jednak miejscowy proboszcz ks .Swider. Gdy *w otoczeniu dwóch policyantów* pojawił się na wypełnionej po brzegi sali, zakotłowało w piersiach rozżalonego tłumu. Poczęły sypać się ciche z początku, ale coraz to głośniejsze uwagi, zwrócone przeciw temu kapłanowi, których ze względów przyzwoitości przytaczać tu niepodobna. Równocześnie rozległ się potężnem echem okrzyk: „Niech żyje pan Korfanty!“

W końcu korespondent tak pisze:

„Ciężka moralna odpowiedzialność za te zajścia spadnie na plebana miejscowego i na wszystkie te czynniki centrowe, duchowne i świeckie, które przy obecnych wyborach *teroryzowały sumienia ludu polskiego.* Krew ścina się w żyłach, gdy człowiek wspomni na te wszystkie niesłychane nadużycia. Jednej sali na całym Górnym Ślązku nie można było dostać na zebranie przedwyborcze, z zebrań centrowych wyrzucano zaś niemiłosiernie każdego, kto się poważył otworzyć usta przeciwko kandydatom centrowym.

Na zebraniu w Pyskowicach śmiał nauczyciel seminaryjny Behrenheim oświadczyć, że pan Siemianowski jest nieprzyjacielem Kościoła, nieprzyjacielem biskupów i księży, nieprzyjacielem Sakramentów świętych. Teroryzują lud polski na zebraniach, teroryzują go w konfesyonale, teroryzują go w prywatnem życiu, bo w Biskupicach miejscowy proboszcz Bercik napastuje codziennie agentów polskich gazet, ażeby porzucili polsko-narodowe gazety, grożąc, by inaczej nie pokazywali się w kościele.

Ciężka moralna odpowiedzialność spadnie jednak równocześnie na redakcyę „Katolika,“ która mogła w głównej mierze zażegnać burzę, jaka zawisła nad ludem polskim, a tego nie uczyniła. Nie ma może uświadomionej jednostki na Górnym Ślązku, którąby nie dowodziła, że tak okólnik księdza kardynała jak i potępienia godną agitacyę duchowieństwa można było w większej części uchylić, gdyby „Katolik“ był pewną życzliwość okazał ruchowi narodowemu.“

Telegramy donoszą, że prezes rejencyi opolskiej w towarzystwie landrata oglądał w Laurahucie spustoszenia i że aresztowano kilkanaście osób, które brały udział w zaburzeniach.

Według tej korespondencyi padł trupem przeszyty kulami rewolwerowemi robotnik Strafalczyk, według „Nowin Raciborskich,“ robotnik Trębalski, sekr. komitetu socyalistycznego. Widocznie socyaliści skorzystali z zamieszania i porywając za sobą oburzony do żywego lud polski, poczęli wybijać szyby.

Okropne skutki germanizacyi przez kościół!

Polacy nie mogli dostać lokali wiecowych, centrowcy zaś na swych zebraniach oczerniali Polaków, ba! nawet

z ambony obrzucano błotem kandydatów ludowych. Także dziwić się tu, że wśród ludu zawrzało jak w kotle, że miarka się przebrała, jeżeli duchowny nie tylko nie uwzględnia życzeń ludu lecz staje przeciwko niemu, brata się z polakożercami, depce uczucia ludu, ciska mu z ambony obelgi — podkopuje powagę duchowieństwa i popycha lud do gwałtów. Ks. Swider oparł się widocznie na okólniku ks. kard. Koppa, przejął się jego polityką i — otóż jej owoce!

Polityka ks .kard. Koppa poparta przez żandarmów i bagnety pruskie święciła smutny tryumf, który zapisze się krwawemi głoskami w sercu ludu polskiego na G. Ślązku.

Krew, która tam się polała, zaciąży na sumieniu tych zaślepionych germanizatorów co względy polityczne stawiają ponad swą szczytną misyę duszpasterską!

Za cenę tej krwi polskiej kard. Kopp kupił swój order. Wysoki order — ale stokroć wyższą jego cena!

Ordon.

Wiec śląski w Poznaniu.

Tak potężne wrażenie wywarł list pasterski księcia biskupa wrocławskiego, rzucony w przededniu wyborów w wir walki centrowej, okazuje się nietylko z artykułów i komentarzy całej prasy polskiej i niemieckiej, ale także z wieców, na których szerokie warstwy obywatelskie dały wyraz swemu oburzeniu. Polacy w Berlinie zaprotestowali na wiecu przeciwko nadużywaniu kościoła do celów politycznych, jak o tem piszemy w „Przeglądzie prasy,“ dalej w Inowrocławiu p. I. Grosman urządził zebranie, które uchwaliło rezolucyę potępiającą tę akcyę ks. kardynała Koppa, a w dniu 21-go b. m. odbył się wiec w Poznaniu „w sprawie orędzia kardynała Koppa i wyborów na Śląsku,“ który ściągnął ogromny zastęp Poznańczan na wielką salę bazarową.

Wiec zagaił p. Stefan Chociszewski i wyjaśniwszy cel zebrania zaproponował na przewodniczącego pana *dr. Smolińskiego,* radnego miejskiego, który powoławszy na sekretarza p. red. M. Wierzbińskiego i szereg ławników udzielił głosu p. red *Knapowskiemu.*

Przed 20 laty przepowiedziano, — podniósł mówca, że Polacy będą zmuszeni w obronie swej narodowości stawić czoło klerowi. I tak jest. Księża germanizatorzy znajdują się mniej lub więcej we wszystkich dzielnicach polskich i niebezpieczeństwo germanizacyi przez kościół wzrasta z każdym dniem. W Księstwie trzeba być z góry na to przygotowanym.

Najgorzej pod tym względem na G. Śląsku. A germanizatorom tym dał potężną broń ks. kardynał Kopp przez swój znany okólnik.

W orędziu tem mówi ks. Kopp, że i bez narodowości każdy dostać się może do nieba. Jest to bronią obosieczną, bo jeźli język polski do zbawienia nie potrzebny tem samem niepotrzebnym jest język niemiecki. W przeciwieństwie do tego wyznajemy zapatrywanie, że kto broni narodowości broni wiary i na odwrót. Dalej występuje ks. Kopp przeciwko prasie radykalnej polskiej na G. Śląsku, bo nie ma przyczyn, które spowodowały gazety polskie do ostrzejszego tonu. Gdyby je znał nie byłby wydał okólnika. Ks. Kopp niestety nie rozumie, że lud *musi* się bronić przeciwko germanizacyi, jeźli nie chce utworzyć drogi dla zobojętnienia religijnego i socyalizmu. Dziwna rzecz, że ks. Kopp nastaje na polskie gazety, chociaż stają one na gruncie czysto katolickim, a zapomina o licznych gazetach niemiecko-masońskich na G. Śląsku, które napadają na kościół. Jeźli Polacy w obronie swych praw narodowych przemawiają w ostrym tonie, wina spada na obecny system rządowy, który już w serca dziatek zaszczepia gorycz i nienawiść, i na księży germanizatorów nie szanujących języka swych owieczek. Sam cesarz powiedział niedawno, że nie ma miejsca dla tych na świecie, którzy nie szanują swej tradycyi narodowej. Gdy nas kto obrazi, jest obojętnem czy jest to osoba świecka czy duchowna; w każdym wypadku trzeba bronić się.

Wszyscy, z wyjątkiem „Germanii“ poczytują okólnik ten za dokument polityczny i z tego stanowiska na to patrzą. Niektóre niemieckie organy żądają nawet, ażeby tutejszy Arcybiskup tak samo wystąpił przeciw prasie polskiej. I być łatwo może, że przyszły Arcybiskup pod wpływem z góry będzie tak, jak ks. kard. Kopp, prowadził germanizacyjną politykę i wydawał polityczno-religijne okólniki. Hakatyści wywierają nacisk na biskupów, aby wydawali okólniki polityczne potępiające naszą narodowość. Musimy więc zaprotestować przeciwko mieszaniu spraw kościelnych z politycznemi, tem więcej, że co spotkało dziś G. Śląsk, może nas spotkać jutro, bo nie ulega kwestyi, że wszyscy biskupi pruscy ulegają wpływom rządu. Kilku uczonych orzekło, że politykujący biskupi stokroć większe wyrządzili krzywdy kościołowi katolickiemu od herezyi. Najlepiej w tych razach szukać sprawiedliwości w Rzymie u stóp Stolicy Apostolskiej, jak to rodacy nasi na G. Śląsku zamierzają uczynić. Chociaż ks. kard. Kopp ma tam potężne wpływy, głos półtora miliona Polaków pokrzywdzonych zrobi tam wrażenie.

Mamy obowiązek udowodnić braciom Górnoślązakom, że nie opuszczamy ich w ucisku. Zresztą musimy cierpliwie znosić przykrości i nie dać się odwieść od naszych dobrych postanowień, a nic i nikt narodu naszego nie złamie. I stanie się jak powiedział niegdyś Napoleon I., że gwardya polska umrze raczej, ale się nie podda.

Żywe oklaski rozległy się po tej często oklaskami przerywanej mowie, poczem p. red. Goździewicz odczytał następującą rezolucyę:

„Polacy wszystkich odcieni politycznych, zgromadzeni dnia 21-go czerwca 1903 r. na wiecu w Bazarze poznańskim, dotknięci do żywego listem pasterskim ks. kardynała Koppa, wystósowanym wprawdzie tylko do dyecezyan, lecz mającym w sprawach polskich o wiele donioślejsze zasadnicze znaczenie, składają niniejszem następujące oświadczenie:

„W wystąpieniu ks. kardynała Koppa, widzimy dążność 1) do wywarcia wpływu na bieg spraw wyborczych, 2) do podkopania znaczenia i bytu materyalnego prasy polskiej, oraz 3) chęć przeciwdziałania rosnącej ciągle wśród ludu polskiego świadomości narodowej i obywatelskiej, a popierania germanizacyi przez Kościół.

Ponieważ list pasterski ks. kardynała Koppa daje księżom prawo odsądzenia tej lub owej gazety od zasad szczerze katolickich, przeto zwraca się on nie tylko przeciwko pismom polskim w dyecezyi tamtejszej, ale i przeciwko wszystkim innym, podniecając jednocześnie księży germanizatorów do bojkotowania całej prasy polskiej.

Z powodów wyżej wymienionych i my wobec listu ks. kardynała obojętnymi pozostać nie możemy, lecz solidaryzujemy się z oświadczeniem rodaków, którzy w poczuciu swej niewinności, z całą sumiennością odeprzeć mogą zarzut wykroczenia przeciwko Kościołowi lub swemu pasterzowi, a tem samem nie mogą ulęknąć się groźby pozbawienia ich w przyszłości pociech religijnych za to, że nie przestaną czytywać narodowych pism polskich, które przez najwyższą władzę Kościoła, Ojca św. w Rzymie, jak wierze świętej wrogie uznane nie zostały.

Biorąc zarazem w obronę tę prasę polską, która według przekonań na... pokrzywdzoną została jedyn...

dlatego, że sumiennie wypełnia obowiązki swoje wobec narodu — stanowczo i uroczyście

protestujemy

przeciwko nadużywaniu władzy pasterskiej do celów politycznych, oraz przeciwko wszelkim zakusom germanizacyjnym przy pomocy środków kościelnych.

Stojąc wiernie przy zasadach kościoła katolickiego, bronić nigdy nie przestaniemy równie silnie takich skarbów naszych, jakiemi są język i narodowość nasza.

Odmawiając zaś cudzoziemcom, jakiekolwiekby zajmowali stanowisko, wszelkiego prawa do wpływania na wykonanie naszych obowiązków wyłącznie narodowo-obywatelskich, wzywamy cały lud polski i wszystkich ludzi dobrej woli, aby zawsze i wszędzie z całą energią zwalczali dążności germanizatorskie i zamachy na naszą świadomość narodową, bez względu na to, z jakiej one pochodzą strony.“

Z kolei zabrał głos p. *Karol Rzepecki.*

Na wstępie mówca podniósł, że we wyborach odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. Zaraz w pierwszem głosowaniu przeprowadziliśmy naszych 14 posłów, czego nie udało się żadnemu stronnictwu niemieckiemu. A liczba głosów polskich powiększyła się o *120 tysięcy* w porównaniu z liczbą głosów oddanych przed pięciu laty. Tym razem Polacy oddali ogółem *370 tys.* głosów podczas gdy w roku 1871 padło tylko 174 tys. naszych głosów. Jest to bardzo wymownym dowodem naszej żywotności i powinno zastanowić polityków w Berlinie.

Jedynie na G. Ślązku wybory nie wypadły zupełnie po naszej myśli. Skreśliwszy po krótce dzieje narodowości polskiej na Ślązku, mówca zaznacza, że jedynie lud przez 600 lat potrafił zachować swą narodowość, chociaż nie był narodowo uświadomionym. Dopiero w ostatnich latach ocknął się on do życia narodowego, chociaż na 1400 księży tamtejszych zaledwie około 100 czuje się Polakami, a reszta służy celom germanizacyjnym.

Pierwszem pismem wpływowem na G. Ślązku był „Katolik,“ który położył zasługi około oświaty ludu, lecz nie miał dość wiary w siebie, aby przyczynić się do uświadomienia Górnoślązaków. Poszedł on w usługi germanizującego centrum. Wobec tego kilku młodych Górnoślązaków przejęło organ narodowy założony w Katowicach przez p. M. Biedermanna, wydawcę „Pracy“ i poczęli gromadzić siły narodowe. Powstało Tow. wyborcze polskie i zajęło się wyborami.

Pierwsza próba wykazała, że p. Napieralski z „Katolika“ miał nieracyę, sądząc, iż G. Ślązk nie dojrzał jeszcze wcale do akcyi narodowej, bo wybory dowiodły, że stara ziemia Piastów czuje się polską. Padło bowiem blizko *50 tys.* czysto polskich głosów na kandydatów narodowych. Wprawdzie żaden z nich nie zwyciężył od razu, ale dwóch przychodzi do ściślejszych wyborów: p. Korfanty i p. Kowalczyk. Wybory byłyby bezsprzecznie wypadły całkiem pomyślnie, gdyby nie zdrada „Katolika,“ który nietylko poszedł z centrowcami, ale zwalczał narodowców.

Kilku wielkopolskich mężów starało się pośredniczyć pomiędzy obu stronami (do czego nawoływała „Praca“ Przyp. Red.) Udali się w tym celu na Ślązk. Towarzystwo wyborcze polskie zgodziło się na wszelkie ustępstwa na rzecz „Katolika“ i pp. Korfanty i Kowalczyk zgodzili się cofnąć swe kandydatury, a postawić pana Napieralskiego. Zdawało się, że przyjdzie do zgody. Pośrednicy pełni nadziei udali się do pana Napieralskiego, który jednak nie chciał słuchać o zgodzie. (Głosy! wstyd! Hańba!)

Nietylko odszczepieństwo „Katolika,“ ale list pasterski ks. kard. Koppa wpłyną ujemnie na wynik wyborów, gdyż duchowni wyzyskali go na korzyść centrum. Mimo to dwaj wymienieni wyżej kandydaci mają zwyciężyć przy ściślejszych wyborach. W Katowicach socyaliści zawarli sojusz z Polakami i będą głosować na p. Korfantego. Natomiast wolnomyślni, o których pomoc ubiegali się centrowcy dla swego kandydata pana Letochy, postanowili wstrzymać się od wyborów tak że p. Korfanty ma dobre widoki. Jest też nadzieja, że liczba głosów polskich zwiększy się w ostatecznym boju.

W tej walce należy się Polakom na G. Ślązku poparcie moralne. Dlatego mówca przedstawia następującą *rezolucyę:*

„Zebrani na wiecu dnia 21 czerwca 1903 r. w Bazarze obywatele miasta Poznania uchwalają następującą rezolucyą:

Walka wyborcza braci naszych Ślązaków na dniu 16 czerwca 1903 r. wykazała, że praca na niwie narodowej śp. śp. Juliusza Ligonia, Karola Miarki, ks. Bonczka, Jana Kupca, ks. Damrota i innych nie była daremną, lecz przeciwnie wydała plon bogaty. I tak stanęło do urny wyborczej nie centrowców, lub Górnoślązaków polskiego języka, lecz narodowo uświadomionych Polaków bez mała *50,000*, którzy dowiedli przed Polską całą i wrogiem, że na starej ziemi Piastów żyje duch polski i lud prowadzi do zwycięstw.

Im bujniej krzewi się myśl polska narodowa na Ślązku, tem bezwzględniej zwalczają ją wrogie żywioły i tem trudniejszą staje się walka młodych następców zacnych nieboszczyków, którzy położyli kamień węgielny pod gmach odrodzonego Ślązka.

Nawet książę Kościoła, który stać powinien ponad stronnictwami, zstąpił z tronu biskupiego i wmieszał się w wir walki wyborczej, stając po stronie nie uciemiężonych i słabych, lecz ludzi pychą zdjętych i ciemiężycieli!

Wobec takiej zaciętości i niesłychanego nacisku, objawiającego się nietylko przed lokalem wyborczym, ale nawet na kazalnicy i w konfesyonale, tem boleśniej odczuwamy odszczepieństwo i służalstwo tych, którzy lubo z pnia polskiego wyrośli, poszli za głosem centrowych germanizatorów i przez to wystawili na szwank zwycięstwo narodowej sprawy.

Tem większa cześć i chwała należy się „Towarzystwu Wyborczemu na Ślązku“, oraz tym, którzy mężnie stawili czoło licznym nieprzyjaznym żywiołom. W chwili, gdy ostateczny bój stoczyć macie, kochani bracia Ślązacy, gdy cała Polska patrzy na Was z braterską życzliwością i gorącem oczekiwaniem owoców Waszej pracy, ślemy Wam wyrazy uznania za to, coście zdziałali, oraz słowa zachęty, abyście mimo zbałamucenia rodaków, mimo stronniczości Waszego zwierzchnika Kościoła, wytrwali przy sztandarze narodowym, przy którym każdy Polak-katolik mężnie stać powinien do śmierci!

Wy biedni uwiedzeni i słabi na duchu pamiętajcie, że cienie wielkich górnośląskich mężów unoszą się nad Wami i wraz z Polską całą oczekują, że w ostatniej chwili odnajdziecie jeszcze właściwą drogę narodowego honoru i prawdy i spełnicie Wasz obowiązek, oddając w dniu 25-go czerwca głos Wasz *na kadydata narodowego!*“

Tę rezolucyą przyjęto jednogłośnie i nagrodzono ją nieustającemi oklaskami.

Następnie zabrał głos p. Lewandowski i zaznaczył, że na Mazurach, gdzie mówca kandydował na posła, znalazł odezwy niemieckie agitacyjne powołujące się na list pasterski ks. kardynała Koppa i na mocy jego zohydzające Polaków. Jakkolwiek wyszedł on od katolickiego biskupa, ewangelicy zużytkowali go do swych celów. Mówca żądał, aby ks. kardynał cofnął swój list pasterski.

P. dr. *Rydlewski* zwalczał wywody p. F. Konecznego z Krakowa, który

osłaniał politykę „Katolika,“ radził wybierać posłów pod hasłem centrowem. Mówca porównywał go z hr. Kwileckim, który także niepotrzebnie chciał wydać mandat z okręgu szamotulsko obornickiego w ręce centrowców i zakończył okrzykiem na cześć polskich kandydatów na G. Śląsku.

P. *K. Rzepecki* zaznaczył, że ks. kard. Kopp ogłosił swój okólnik na życzenie rządu. Gazety niemieckie bowiem zdradziły, że krótko przedtem konferował z nim pewien radzca dworu, a zaraz po ogłoszeniu listu pasterskiego ks. kardynał otrzymał od cesarza — *wysoki order.*

Odczytano telegram od p. A. Chłapowskiego z Bonikowa, który prosił, aby podpis jego umieszczono w proteście przeciwko orędziu kardynała, oraz telegram od kilkunastu obywateli z Kórnika.

Wiec, który p. dr. Smoliński zamknął około drugiej, odbył się przy tłumnym udziale obywateli, wśród których inteligencya niemal świeciła nieobecnością.

Fakt ten nie uderza już bodaj nikogo, bo od pewnego czasu wielkie organy nasze nawet z pewną dumą podnoszą, że inteligencya nie przykłada ręki do prac obywatelskich „wszechpolaków“ czy „ludowców.“

Na to odpowiadamy tym panom tylko słówko. Jeżli wszystkie te wiece są dziełem wszechpolaków lub ludowców, a Polacy są zawsze nieobecni, to niechaj nikt się nie dziwi, że nad nieobecnymi społeczeństwo przechodzi do porządku dziennego, że ci „poważni“ politycy posiadający w własnem mniemaniu monopol na rozum polityczny idą coraz więcej w kąt, a „ludowcy“ i „wszechpolacy“ muszą uchodzić wobec wszystkich za jedynych przedstawicieli — *Polaków.*

B. M.

Chłop polski
wstydzi się za ugodowca.

Odpowiedź dana panu B. Brodnickiemu z W. Kałudy na jego niewytrzymujące najlżejszej analizy „sprostowanie“ faktów zawartych w liście „chłopa polskiego“ z Janikowa, nie byłaby zupełną, gdybyśmy nie posłuchali co ma do powiedzenia sam chłop polski, któremu p. B. B. zarzuca oszczerstwo.

Że „robotnik kujawski“ jest robotnikiem kujawskim a nikt inny pod tem mieniem się nie ukrywa stwierdziła zarówno „Praca“ jak „Dzien. Pozn.“ wymieniwszy jego nazwisko. **Przypuszczenie zatem, jakobyśmy sfabrykowali tę korespondencyę — które uważam zarówno za charakterystyczny przejaw pojęć kujawskich jak za nieszczęśliwy wybieg taktyczny zdemaskowanego ugodowca — okazało się** *niegodnem* **tak, iż pan B. B. występując z niem, sam się napiętnował.**

Zresztą niech mówią dwa listy „robotnika kujawskiego“, które również polecamy uwadze myślących obywateli

Janikowo, 10. 6. 1903.

Szanowna Redakcyo!

W num. 129. „Dzien. Kujawskiego“ pisze pan dr. Brodnicki, iż to wszystko co „Praca“ pisze w num. 23. p. t. Tylko chłop polski, jest oszczerstwem. Tym czasem to wcale oszczerstwem nie jest, lecz czystą prawdą.

Pan dr. Brodnicki wyraźnie powiedział: Kilku robotników z cukrowni życzyło sobie zwołanie wieca na sali p. Wittrin, ale ja oświadczam, że taki wiec w Amsee się odbyć *niemoże* przez wzgląd na tych robotników, którzy tam pracują. Tychby te Niemcy za jaką bądź okazyą wszystkich powypędzali. Byłoby najlepiej zwołać zebranie tutaj do Kołudy na śpichrz. Ale to już jest *zapóźno*, gdyż trzeba by było się przygotować z mowami, a tych się zaraz przez tydzień nikt nie nauczy (?!!). Gdy na to p. Marcinkowski włódarz z Janikowa oświadczył, iż już jest przygotowany z mową, która zawiera naukę o wyborach, p. dr. Brodnicki powiedział, iż to co pan Grossman powiedział to lada kto wyklepać może. — Potem pan dr. B. powiedział takie zdanie, które aż mnie przeraziło, a nie chciałem tego w pierwszej korespondencyi pisać, *gdyż było mi wstyd, iż człowiek na takiem stanowisku jak p. B. śmie takie coś powiedzieć.* A więc powiedział tak: *Te wybory do parlamentu niemieckiego nie powinny nas tak bardzo obchodzić, gdyż to jest sprawa całego związku niemieckiego a która nam Polakom w ogóle nic pomódz nie może* . — Co nam pomódz może to jedynie sejm pruski i Izba Panów. Po francuzkiej wojnie nie chciano wcale głosować do parlamentu, gdyż uważano to za niepotrzebne.

Tym wywodom przywtarzał jeden z panów (p. O.) i inni. Cóż reszta miała robić? Przystali więc na to, żeby wiec się teraz nie odbył: **włódarz z Wielkiej Kałudy, włód. z Sielca i kowal z Małej Kołudy, a reszta była tak przygnębiona, że nie mówiła nic.**

Prawda, iż p. dr. Brodnicki obiecał zwołać wiec krótko przed wyborami do sejmu pruskiego, ale była to pewnie: obiecanka cacanka a głupiemu radość. Kiedy teraz były trudności dlatego, żeby Niemców nie drażnić itd., cóż dopiero po żniwach, kiedy nie będzie wogóle miejsca na zwołanie wieca, gdy stodoły i spichrze będą zapakowane?

Wierny abonent „Pracy“
robotnik kujawski.

Janikowo, dnia 14. 9. 1903.

Szanowna Redakcyo!

Mój list pisałem w rozdraźnieniu, że p. dr. Brodnicki może tak się wyrazić o naszej kochanej „Pracy“ i zapomniałem odpowiedzieć na wszystko.

P. B. oburza się też na autora tego artykułu p. Quis'a i pisze w liście swym do „Dzien. Kuj.“, iż „Praca“ podaje list „*rzekomo*“ robotnika kujawskiego. Wobec tego oświadczam, iż nikt nie polecał mi tego listu pisać i że wogóle nie znam nikogo z redakcyi „Pracy.“ W korespondencyi tej niema zgoła nic od redakcyi dodanego ani większej poprawki. Napisałem ten list jedynie dlatego, iż p. dr. B. przyrzekłszy urządzić wiec, przyrzeczenia nie dotrzymał, i zostawił drogę do bałamucenia ludu przez socyalistów. Dodam jeszcze do mego listu z dnia 10-go, że p. B. wyraził się: „tylko najostrożniej z temi składkami, bo tych składek bez pozwolenia policyi zbierać nie wolno.“

Czy tak jest? Tego ja nie wiem, ale myślę, że nie, opierając się na tem, co pan Grossman publicznie powiedział na wiecu inowrocławskim.

Potem pisze p. B., iż z wyjątkiem dwóch, ,wszyscy oświadczyli się jednogłośnie przeciw wiecowi. No, to już chyba nie zgadza się z prawdą. Niech sobie p. dr. Brodnicki przypomni co na wywody p. O. (który powiedział iż się na wiecu chłopstwo popije i narobi nam niepotrzebnie nieprzyjmności) odpowiedział parobek z Węgierc Lewandowski? — A wreszcie my poszlim na pogadankę z tą myślą, iż p. B. utworzy porządek dzienny itd. — *Przecież my nie na to starali się o zwołanie wieca, żeby potem przeciw niemu protestować.* Że zebrani milczeli, gdy p. B. dowodził, że się bez wieca teraz obędzie, że nasz kandydat tak i tak przejdzie, pocóż mamy Niemców drażnić, lepiej odłożyć wiec na póżniej przed wyborami do sejmu itd. to się tłomaczy tem, że nasz lud ma tak wielki szacunek dla swoich przełożonych. Ale jednogłośnie się *nie* oświadczono przeciw zwołaniu wieca.

Niechcę tu publicznie ogłaszać wszystkich wywodów p. B. gdyż mam jeszcze szacunek i to bardzo wielki dla naszej szlachty, której już i tak mało mamy. Przykro mi więc ją publicznie krytykować!

Teraz, szan. p. redaktorze zasyłam Ci wyrazy szczerego uznania i głębokiego szacunku, iż dla sprawy naszej narodowej wystawiasz się na obelgi od człowieka inaczej zapatrującego się na sprawę narodową.

Wierny abonent „Pracy“, robotnik kujawski.

Czy wobec powyższych listów może ktokolwiek wątpić, że p. Brodnicki zapobiegł urządzaniu wieca w Janikowie, że przyrzeczenia swego danego ludowi garnącemu się do oświaty nie dotrzymał, że nie spełnił wziętych na siebie obowiązków?

Daliśmy czytelnikom dowody rozumowe i faktyczne, jakie tylko zapomyśleć można, tak iż z „sprostowania“ pana B. B. nie zostały nawet strzępy.

Szkoda, że „Dzien. Kuj.,“ który snadź zna jakieś zasługi pana B. B., nie chce oddać „należnego uznania pracy jego obywatelskiej.“ Że „Dzien. Kuj.“ otwiera gościnnie swe łamy dla napaści osobistej ze strony pana B. B., a zamyka je dla repliki i na domiar fałszywie ją określa przed swymi Czytelnikami, to nas nie dziwi, bo widocznie jest to specyalnie kujawską, a nie europejską procedurą, według której słucha się wywodów tylko jednej strony i nie daje zadosyć uczynienia. Atoli dziwi nas, że „Dzien. Kuj.“ wobec faktów pognębiających pana B. B. tak, że aż chłop polski wstydzi się za niego, kryje zazdrośnie przed światem fiołki zasług obywatelskich swego przyjaciela. Czyliż by „Dzien. Kuj.“ sądził że te znane jemu tylko zasługi nie przeważą szali na korzyść pana B. B.? Czy rzeczywiście zna on zasługi pana B. B.? Jeżeli tak, niech je wyjawi bez zwłoki i niech nam dostarczy swych szkieł powiększających.

Czy może „Dzien. K.“ uważa, że im mniej się mówi o „pracach obywatelskich“ pana B. B., tem lepiej dla niego? My jesteśmy tego zdania i dlatego zamykamy akta tej sprawy, opatrując je etykietą: ugodowiec, za którego wstydził się chłop polski.

Quis.

Z TYGODNIA.

W chwili, gdy niniejszy numer dojdzie rąk Czytelników naszych, nowowybrany *król serbski Piotr* z rodu Karageorgiewiczów już panować będzie **w Serbii — to jest, panować o tyle, o** ile na to pozwoli skupczyna serbska. Jakkolwiek bowiem wybrała go królem z wielkim zapałem i jednogłośnie, jakkolwiek wita go niemal jako zbawcę, nie omieszkała zabezpieczyć się na przyszłość przed podobnemi samodzierczemi zakusami ,jakiemi co chwila uszczęśliwiał Serbią zarówno Milan jak i zamordowany teraz Aleksander. W tym celu jeszcze przed przybyciem nowego króla uzupełniono konstytucyę serbską przepisami, ograniczającemi bardzo władzę królewską. On zaś — zamiast zrazić się tym brakiem wiernopodańczego zaufania, ani słówkiem nie sprzeciwiał się tej zmianie, lecz poprzysiągł wszystko, co mu do przysięgi przedłożono.

Ogromną wogóle okazał żądzę korony i panowania. Dziwiono się już, że tak ochotnie przyjął godność królewską z rąk tych, którzy przed chwilą dopiero wymordowali całą rodzinę królewską. Zdziwienie to wzmogło się jeszcze, gdy się dowiedziano, że nie zażądał nawet ukarania królobójców lub chociażby tylko wydalenia ich z armii. Rządy mocarstw okazały się wprawdzie wobec tej zbrodni belgradzkiej również niesłychanie wyrozumiałemi; jednakże pobłażliwość nowego króla serbskiego dla morderców swego poprzednika skłoniła kilku z nich do pewnych restrykcyi. Rosya, Francya, Austrya, Anglia i Włochy uznały go prawowitym monarchą, lecz albo wprost zażądały od niego ukarania morderców, albo też dały mu do zrozumienia, że oczekują tego po nim z całą pewnością. Anglia posunęła się nawet jeszcze dalej, bo zerwała zupełnie stosunki dyplomatyczne z Serbią i oświadczyła, że nie zawiąże ich rychlej, dopóki nie nastąpi ekspiacya tej strasznej zbrodni. Za jej przykładem poszła już mała Holandya. Król *Piotr* atoli wzruszył tylko ramionami na te żądania i mieniąc się monarchą z Bożej łaski — zamówił sobie co żywo nową koronę u sławnego jubilera paryzkiego. Zdaje się, że ani mu przez myśl nie przeszło karać tych, którym tron zawdzięcza. Nie zraził się nawet tem, że rząd prowizoryczny w przededniu jego przybycia zamianował komendantem stolicy przywódzcę królobójców, pułkownika Misicza, że także innych uczestników zbrodni pozostawił na stanowiskach, na których bezustannie stykać się muszą z nowym monarchą. Przybywszy do stolicy ściskał serdecznie ich dłonie, sypał na wszystkie strony komplementami i dziś czuje się zapewne szczęśliwym na tronie.

Ciekawa teraz rzecz, jakie wobec tego zajmą stanowisko mocarstwa? **Czy poprzestaną na wyrażonem warunkowo życzeniu, a potem zamkną oczy,** zapomną o tem, co było i dalej utrzymywać będą z nowym rządem serbskim przyjazne stosunki, czy też, folgując obrażonej w swych etycznych zasadach opinii, chwycą się względem Serbii i nowego króla dyplomatycznych represalii? Jeżeli uczynią pierwsze, będzie to niejako rządowa sankcya królobójstwa, jeżeli zastósują drugie — łatwo przyjść może w Serbii do nowych zawikłań. Przeciwko całej Europie nawet w Serbii rządzić nie można, więc albo nowy król zniewolony będzie zrzec się władzy, albo też zastosować się do woli mocarstw. W ostatnim już wypadku spotkać go może to samo co spotkało jego poprzednika. I kto wie, czy gorzko kiedyś jeszcze nie pożałuje, iż tak skwapliwie włożył na swe skronie koronę serbską. Bądź jak bądź, kwestya serbska nie tak rychło zapewne zejdzie z widowni politycznej.

W każdem niemal mocarstwie grożą rozmaite przesilenia. We *Włoszech* i na *Węgrzech* już je mamy. Przed tygodniem gabinet włoski z starym *Zanardellim* na czele podał się do dymisyi. Motywa jej wkraczają zaś raczej w dziedzinę kryminalistyki, niż w dziedzinę polityki. Członkowi gabinetu, ministrowi marynarki, admirałowi *Bettolo,* zarzucono bowiem, że obławiał się kosztem kraju przy dostawach dla marynarki. A zarzut ten był aż nadto uzasadniony. Mimo to król polecił utworzenie nowego gabinetu ponownie Zanardellemu. W chwili, gdy to piszemy sprawa jeszcze nie załatwiona.

Przesilenie na *Węgrzech* wywołała, jak wiadomo, nowa austryacka ustawa wojskowa, żądająca powiększenia corocznego poboru rekrutów z 103 na 130 tysięcy głów. Opozycya, tak zw. „stronnictwo *niezawisłości*“ oświadczyło, że przyzna rządowi ten nowy haracz z krwi ludności, ale tylko w razie, jeżeli w zamian za to nada armii węgierskiej charakter zupełnie niemal odrębnej armii narodowej. Gdy już rząd na to się nie zgodził, opozycya rozpoczęła obstrukcyą, która uniemożliwiła pracę parlamentu, nawet uchwalenie *budżetu.* Prezes gabinetu węgierskiego Szell usiłował zwalczyć obstrukcyą taktyką biernego oporu. Tymczasem tydzień za tygodniem mijał, a taktyka ta nie odnosiła skutku. Ponieważ dalszy taki stan ex lex mógł pociągnąć za sobą dla rządu bardzo poważne następstwa Szell uważał za stósowne podać się do dymisyi. Wśród węgierskich mężów stanu znalazł się śmiałek, hr. Stefan *Tisza,* syn zmarłego

przed rokiem długoletniego premiera Kolomana Tiszy, zwanego madziarskim Bismarkiem“ — i ten ofiarował się utworzyć nowy gabinet i *siłą* pokonać obstrukcyę. Cesarz zgodził się na to, ale zamiar Stefana Tiszy spezł na niczem. Respekt przed opozycyą jest w Budapeszcie tak wielki, iż nikt nie chciał wstąpić do nowego gabinetu i wziąć na siebie odpowiedzialność za ewentualne jego środki gwałtowne. Cesarz powierzył następnie misyą utworzenia gabinetu baronowi *Khuen-Hederwaremu*, który jako Ban *Chorwacyi* tak krwawo dał się we znaki temu krajowi. Baron Khuen jest mniej odważny, niż hr. Tisza. Podjął się też misyi tylko pod warunkiem, że rząd wspólny poczyni ustępstwa na rzecz opozycyi. I to przesilenie nie jest dziś jeszcze załatwione. To atoli już z całą pewnością powiedzieć można, że Węgrzy nowe uzyskają zdobycze narodowe i bardziej jeszcze rozluźnią przy tej sposobności węzły, łączące ich z Austryą.

Poważne niebezpieczeństwo zawisło nad gabinetem *Combesa we Francyi*. Bezwzględna jego polityka antikościelna odstręcza mu już nawet przywódców skrajnych partyi francuzkich. Brisson i Clemenceau nie godzą się na uzupełnienie ustawy antizakonnej, zabraniającej członkom zakonów nauczania w szkołach nawet w razie, jeżeli złożą suknię zakonną i staną się *świeckimi* nauczycielami. I o ten spór pan Combes łatwo potknąć się może.

Podobno już zachwiane jest także — stanowisko hr. *Bülowa.* Rezultat wyborów, który określić można w dwóch słowach jako niesłychany tryumf socyalnej demokracyi, bardzo podobno zastanowił cesarza Wilhelma. Niemniej boleśnie odczuto w Berlinie, że i *Polaków* nie zdołano rozbić i pokonać przy wyborach, że może ich wejść do Parlamentu więcej, niż było ich dotychczas. Te dwa zawody, jakie zgotowały wybory najwyższym sferom niemieckim, mogą łatwo zepchnąć Bülowa ze stołka kanclerskiego. Jeźli pójdzie — my damy mu krzyżyk na drogę. Nie będzie on pierwszym ani ostatnim, którego my Polacy w zdrowiu i wzmagającej się sile wewnętrznej przeżyjemy i zapomniemy.

K. O.

Przegląd prasy.

Ostateczny wynik wyborów z dnia 16-go czerwca przedstawia się jak następuje:

	wybrani:	przychodzą do ściśl. wyborów:	mieli mandatów:
Polacy	14	8	14
Konserwatyści	31	[illegible]	52
Wolnokonserwatyści	6	16	20
Antysemici	1	13	12
Centrum	88	35	107
Narodowo-liberalni	5	65	53
Związek wolnomyślny	0	11	15
Wolnomyślni ludowcy	0	24	28
Południowi ludow.	0	8	7
Socyaliści	56	122	58
Agraryusze	1	1	3
Welfowie (Hannowerczycy)	0	8	3
Alzatczycy	5	2	10
Chrześciańsko-socyalni	2	6	3
Duńczycy	1	2	2
Dzicy i niezdecydowanej barwy	5	9	11

O *wyborach* u nas niemieckie pisma poznańskie piszą tylko półsłówkami. Nie mają się bowiem Niemcy czem pochwalić, a wzrost głosów polskich jest tak dobitną odpowiedzią z naszej strony na hecę hakatystów, że blaty polakożercze nie chcą wskazywać na to swym czytelnikom. „Pos. Tageblatt,“ nie mając nad czem się radować, proklamuje jako wielkie zwycięstwo niemieckie przeprowadzenie konserwatysty Gersdorfa w okręgu babimojsko-międzychodzkim jak gdyby tam Polacy byli mieli widoki zwycięstwa. Ostatniego słowa „Pos. Tag.“ nie wypowiada o wyborach, nie chcąc odbierać ducha Niemcom w tych okręgach, gdzie odbędą się wybory ściślejsze.

Polska prasa bez wyjątku podnosi z radością, że nie straciliśmy ani jednego mandatu a zyskali nadzieję zdobycia kilku innych przy ściślejszych wyborach i wynik nazywa *zwycięstwem* polskiem. *„Dzien. Pozn.“* zaznacza, że nadzieje hakatystów, iż ucisk Polaków objawi się przez ubytek mandatów, obróciły się w niwecz i pisze:

> „Nic z tego, *daremnie pracuje kolonizacya!* Ucisk trwa, prześladowanie trwa, a duch polski się podnosi, uświadomienie ludu robi coraz większe postępy, a dzięki dojrzałości politycznej sfer wyższych, stajemy też zgodnie i sfornie do walki wyborczej; w niwecz idą chytre przewidywania, że zastraszeni, powaśnieni poddać się musimy losowi i przewadze niemieckiej.“

Na dalsze wywody tego pisma zgodzić się nie podobno mimo najszczerszej chęci, bo ze stanowiska polskiego schodzi „Dzien.“ na stanowisko stronnicze, i zaraz fałszuje fakty, zabarwia wszystko po swojemu i, zapadając na zwykłą u siebie ślepotę barwną, widzi po stronie ludowej same ciemne kolory. I tak ludowcy nazywają się w żargonie dziennikowym „stronnikami borb i swarów,“ ludowcy są winni, że ks. Tasch w leszczyńsko - wschowskim okręgu nietylko stawił się na kandydata, ale *teraz odmawia poparcia ks. Mojżykiewiczowi przy ściślejszych wyborach z konserwatystą!* Przy tych wybrykach pisma eksugodowców nie możemy się dłużej zatrzymać; dość, że nawet *„Dzien. Pozn.“* nie mógł poskąpić uznania hr. Maciejowi Mielżyńskiemu za jego agitacyę w Szamotulskiem, nagrodzoną świetnem zdobyciem mandatu.

„Dzien. Pozn.“ pochwala to, że na wiecach w wyrzysko-szubińskim okręgu mówiono także o oszczędności, karciarstwie i t. d., co miało według „Dzien.“ — „ludzi rzetelniej zainteresować, jak wyzwiska (?!) i intrygi (?!) z poznańskiej akademii ludowcowej (!!).“ Mniejsza, że *„Dzien.“* stara się wszędzie gdzie może i wszędzie gdzie nie może przypiąć łatkę stronnictwu ludowemu, bo co mają znaczyć tego rodzaju zarzuty rzucane na wiatr — nie rozumieją nawet jego właśni czytelnicy i topniejący z dniem każdym zwolennicy. Nie możemy się jednak zgodzić także na to, aby na wiecach przedwyborczych prawiono o oszczędności i t. d. Wyrobienie ludu naszego pod względem politycznym pozostawia jeszcze bardzo wiele do życzenia, trzeba mu więc mówić o kwestyach związanych z polityką, z wyborami, a nie wygłaszać oklepane frazesy i kazania o oszczędności, karciarstwie i t. d., których nasłuchał się on do znudzenia. *„Dzien. Pozn.“* nie może zrozumieć, że minęły bezpowrotnie czasy patryarchalne, gdy trzymając lud w ciemności, co się tyczy najważniejszych kwestyi społecznych, mówiło mu się tylko kazania na temat oszczędności, wstrzemięźliwości i t. d. i prawiło czcze morały. Nie morały, ale — *wiedzę* trzeba podawać ludowi.

W artykule „Po walce wyborczej“ pisze *„Orędownik:“*

> „Gdy na walnem zebraniu delegatów postawiono kandydatów polskich do parlamentu namieckiego, ugodowe pisma poznańskie, pisząc o zwycięztwie kandydatów ludowych, podniosły złowróżbne głosy, że zwycięztwo to jest przedwczesne, i przy wyborach może skończyć się klęską. Dzisiaj, gdy walka wyborcza prawie we wszystkich okręgach naszych ukończona, z zadowoleniem i dumą stwierdzić możemy, że przepowiednie te okazały się fałszywemi. Z zadowoleniem dla tego, iż teraz nawet najzagorzalszy przeciwnik nie może nam zrobić zarzutu, jakobyśmy jedynie dla zadośćuczynienia pragnieniom stronniczym narażali lekkomyślnie na szwank interes ogółu polskiego, z dumą dla tego, że przypuszczenia nasze miały silną podstawę, i że mężowie, których popieraliśmy, dokazali tego, czegośmy się po nich spodziewali.

> „W kołach nam i stronnictwu na-

szemu przeciwnych tak mało posiadano zaufania do tych nowicyuszów politycznych, którzy odważyli się wypierać ludzi „zasłużonych“ i „rutynowanych“, że padły nawet nierozważne słowa, odbijające się dotąd jeszcze głośnem echem w społeczeństwie, tymczasem już sama agitacya wyborcza pokazała, że ci nowicyusze pod względem energii, sprężystości i poświęcenia swoim poprzednikom nietylko w niczem nie ustępują, ale ich znacznie przewyższają.“

„Dzien. Berl.“ pod nagłówkiem: „Wielkie zwycięztwo“ pisze:

„Bracia nasi w kraju dzielnie się spisali. Nie tylko, że zwycięzko odparli atak skoncentrowanej niemczyzny, ale mężnie sami przeszli do ataku i zagrozili niemieckie dotąd mandaty *aż w 8 okręgach.*

„Jeżeli zważymy, że ani jednego mandatu poselskiego nie uronili, a aż w 8 okręgach dostali się do wyborów ściślejszych to jest to sukces, jakiego nawet w najśmielszych marzeniach nikt nie przypuszczał.

„Ta znakomita postawa ludu polskiego, uwieńczona świetnym w danych warunkach rezultatem, to rzeczywiście najlepsza odpowiedź rządowi pruskiemu — *za Wrześnię.*“

W tym duchu wyraża się o naszych wyborach także prasa galicyjska i zakordonowa..

Gazety zapisują różne zdarzenia przy wyborach, które z tego lub owego względu zasługują na wyszczególnienie. I tak „Dzien. Pozn.“ odbiera list z *Pleszewskiego* tej treści:

„*Kajew.* Pan Steinke, Niemiec-hakatysta, który dzierżawi z majoratu gołuchowskiego wieś rycerską Wszodów od ks. Czartoryskiego, zabronił pod karą wszystkim swoim podwładnym Polakom na wybory się udać; jedynie tylko sam z włódarzem i kołodziejem, Niemcami przybył i głos swój na Niemca oddał.

„Tak samo zrobił ten sam pan Steinke hakatysta w drugiej wsi Grodzisko, którą w zeszłym roku na lat 18 od p. Taczanowskiego z Taczanowa zadzierżawił.

„Wydzierżawiają więc polscy panowie majątki swoje takiemu hakatyście, gdzie dziś tyle Polaków czeka na dzierżawę i chętnie to samo, a może i więcej z morgi daliby i oto są skutki tej lekkomyśności polskich arystokratów.“

Jak w okolicy *Gdańska* lud polski jest mało uświadomiony okazało się przy wiecach. Ilustracyę tamtejszego stanu umysłów podaje *„Gaz. Gdańska.“* W okręgu wejherowsko-puckim stawili centrowcy swego kandydata Spahna przeciw panu Janta-Połczyńskiemu. Otóż — pisze *„Gaz. Gdań.:“*

„Przed lokalem wyborczym w *Sopotach* napotkano Polaka, który rozdawał kartki na Spahna. „Jakto, przecieżeś podpisał przed kilku dniami wniosek do ks. biskupa, w którym skarżyłeś się, że Polaków bardzo wiele w Sopotach, ale wszystko w kościele po niemiecku, a teraz sam przeciw prawdzie, przeciw Twej własnej prośbie i przeciw Twym narodowym obowiązkom pracujesz dla Niemca i, aby wykazać, że tu więcej Niemców mieszka w parafii niż mieszka rzeczywiście?“ A on na to: „Kiedy mi ks. dziekan Scharmer kazał kartki na Spahna rozdawać!“ „Właśnie Tobie, Polakowi?“ „Tak!“ I Ty to robisz, czy do takiej roboty nie ma Niemców?“ „No, kiedy kazał!“ Gadaj tu z takim! A teraz to jeszcze wielkie pytanie, czy ks. Scharmer, rzeczywiście mu kazał! Niestety dla tych ludzi naszych starczy, żeby mu kazał byle kto. Biedny ludzie polski! Pókiż będą Cię traktowali wszyscy jako bydełko, pókiż śmieszna prostota Twoja na to zezwalać będzie? Ale to nie Twoja wina. To wina nas starszych, którzy o Ciebie dość nie dbamy.“

Że *socyaliści* nie uzyskali więcej głosów w naszych miasteczkach, zawdzięczamy tylko wiecom i agitacyi z naszej strony. A jak dalece socyaliści zagrażali nam okazuje się z korespondencyi z *Gostynia* do *„Orędownika,“* w której czytamy:

„Na parę dni przed wyborami przybyło dwóch socyalistów do sąsiedniego miasta Piasków i zalewali powodzią Gostyń i okolicę odezwami polskiemi i kartkami wyborczemi „Albert Śremski.“ Nie było podwórza, okna, kącika, gdzieby tych odezw nie wrzucano — nawet w przejeżdżające wozy i powózki je ciskano.

„W niedzielę ubiegłą odbył się w Gostyniu i w Piaskach wiec przedwyborczy — dzięki temu wiecowi owe socyalistyczee odezwy nie zdołały mianowicie prostych ludzi obałamucić.“

Agitacya z naszej strony była wogóle przy tych wyborach żywszą aniżeli dawniej. I wyniki jej są też widoczne. Ale niestety nie wszędzie poczuwano się do obowiązków. Zwracamy uwagę na list z *Środy,* z którego się okazuje, że tamtejszy komitet wyborczy zaspał sprawę.

O wyborach na *Mazowszu,* a mianowicie w obwodzie szczycieńsko-lądzborskim, gdzie kandydat mazurski p. Lewandowski otrzymał 3900 głosów, opowiadają gazety niemal nieprawdopodobne rzeczy. Otóż co czytamy w *„Orędowniku:“*

„Całym ruchem wyborczym kieruje landrat i dalszy zastęp urzędników, kończący się na policyancie i sołtysie. Po wsiach obwieszcza się urzędowo, że tylko tego i tego konserwatywnego kandydata obierać wolno. Każdy szynkarz i hotelista musi należeć do towarzystwa wyborczego i patryotyzm jego oblicza się od wysokości składki. W ten sposób zbiera się w ciągu pięciolecia ogromny kapitał na cele agitacyjne. Podczas wyborów pieniędzmi temi działa się we wysokim stopniu demoralizująco, opłacając nie tylko grubo agitatorów dla sprawy konserwatywnej, lecz można także przekupywać przeciwników. Wszystkim gospodarzom, nie będącym stronnikami konserwatyzmu wypowiedziano lub zagrożono wypowiedzeniem pożyczek — z powiatowej kasy oszczędności.

„Wszystkim robotnikom prywatnym po tartakach zagrożono wydaleniem w razie głosowania na Polaka.

„Gospodarze z wsi oświadczający się za kandydatem polskim musieli głosować w karczmie (nie w szkole jak inni), gdzie piwo i gorzałka lały się strumieniem. Wogóle dwa tygodnie przed wyborami mógł każdy Mazur, oświadczywszy się za konserwatystą, pić do ubezwładnienia w karczmie darmo.

„Owe 3900 głosów pochodzą od sprawy polskiej uświadomionych Mazurów, którzy ani prośbą, ani groźbą, ani chytrością, ni gorzałką ogłupić się nie dali.“

List pasterski ks. kardynała Koppa nie zeszedł jeszcze wcale z łamów gazet. Że podyktowały go względy na rząd nie ulega najmniejszej wątpliwości wobec tego — co przewidział „Narodowiec“ w ostatnim numerze „Pracy,“ — że zaraz po ogłoszeniu orędzia ks. kard. Kopp dostał od cesarza *order czerwonego orła pierwszej klasy.*

Niema bodaj polskiej gazety, któraby nie zaprotestowała przeciwko niefortunnemu okólnikowi ks. biskupa wrocławskiego. Prócz podanych w ostatnim numerze głosów prasy, wyszczególniamy jeszcze cztery inne z różnych stron Polski.

„Głos Ludu Śląskiego“ pisze:

„Jest to wprost niesłychany wypadek nadużywania władzy kościelnej w sprawach świeckich i wpływania na wybory. Szanse stronnictwa centrum muszą widocznie być już bardzo słabe, jeżeli kardynał Kopp stara się w ten sposób je poprawić.

„Na Śląsku pruskim jest wprawdzie lud jeszcze bardzo klerykalny pomimo tego jednak wolał on czytać „Górnoślązaka“, aniżeli czekać na te łaski, jakieby im księża udzielili, bo ludzie wiedzą dziś z doświadczenia o co się kardynałowi Koppowi rozchodzi dlatego odmówieniem łask odstraszyć się nie dadzą.“

Krakowski *„Głos Narodu“* pisze:

„Ks. Kopp działał oczywiście w myśl

intencyi rządu, ale nie wiadomo czy mu wielką oddał przysługę, bo tego rodzaju agitacya dla samego państwa jest najgroźniejszą, gdyż osłabiając w ludzie zaufanie do kapłanów, wydaje go na łup agitatorom przewrotowym. A lud nasz zbyt już jest wyrobiony narodowo, aby nie zrozumiał wartości tej przedwyborczej proklamacyi, którą tak dyplomatycznie nazwano „listem pasterskim.“ „Głos narodu“ jest dziennikiem czytywanym najchętniej przez duchowieństwo polskie.“

„Gazeta Warszawska“ pisze:

„Łatwo zgadnąć, co należy pod pewne niedomówione frazesy tego listu pasterskiego podstawić i jakie były rzeczywiste intencye ks. kardynała. Język i obyczaj ludowy nie są jego zdaniem najwyższemi dobrami człowieka, więc pocóż walczyć o nie, pocóż się opierać uciskowi germanizacyjnemu, skoro z czasem się umrze, a po śmierci „niema różnicy języka.“

„I napewno twierdzić można, że nie tyle troska o dobro duchowe swoich dyecezyan, co zbliżające się wybory skłoniły ks. kardynała do napisania tego listu — wątpliwem jest jednak, czy podobnego rodzaju interwencya w sprawach politycznych i nadużywanie powagi Kościoła wyda pożądane rezultaty.

„Ks. Kopp działał oczywiście w myśl intencyi [illegible]mo, czy mu wielką oddał przysługę, bo tego rodzaju agitacya dla samego państwa jest najgroźniejszą, gdyż osłabiając w ludzie zaufanie do kapłanów, wydaje go na łup agitatorom przewrotowym. A lud śląski zbyt już jest wyrobiony narodowo, aby nie rozumiał wartości tej przedwyborczej proklamacyi, którą tak dyplomatycznie nazwano „listem pasterskim.“

W lwowskim *„Słowie polskiem“* czytamy:

„List ks. kardynała Koppa nadał sprawie wyborów śląskich wielki rozgłos. Bez niego wybory nawet pomyślne dla nas, możnaby przemilczeć, obecnie jest to już niemożliwe. Dziesiątki tysięcy głosów, oddane na polskich kandydatów, pomimo klątwy kościelnej i wyczerpania wszystkich form nacisku przez państwo i pracodawców, to będzie ogłoszenie wobec całego świata bankructwa polityki antypolskiej Prusaków.

Niefortunny ten list pasterski spowodował *Polaków w Berlinie* do zwołania wiecu protestacyjnego, który odbył się bez gorszących manifestacyi o jakie się obawiano. Przemawiał tylko jeden mówca: red. Fr. Krysiak i podniósł przedewszystkiem wierność ludu polskiego do Kościoła, następnie odparł zarzut jakoby jakie polskie pismo nie stało na gruncie katolickim, w końcu upomniał księży germanizatorów, by nie drażnili świętych uczuć Polaków i nie stawali się sprzymierzeńcami polityki hakatystycznej. Wiecownicy przyjęli następującą rezolucyą:

„List pasterski [illegible]kupa, odczytany z ambon wszystkich kościołów tutejszych, wywołał w nich głęboki żal i ubolewanie, bo nie widzą przyczyn, któreby odnośnie do stosunków tutejszych mogły spowodować tak ostre słowa ze strony ks. biskupa.

Polacy w Berlinie ani też pisma tutejsze nie występują wrogo przeciw Kościołowi, praw „rzeczywistych i prawdziwych nauczycieli wiary katolickiej“ sobie nie przywłaszczają, nauk, głoszonych przez księży w kościele, nie podejrzewają, oszczerstw ani napaści „zuchwale i bezczelnie“ na nich nie rzucają, a starają się jedynie, dotąd niestety napróżno, o wywalczenie słusznych praw swoich w Kościele, który już z pochodzenia i z nazwy swojej równą miłością winien ogarniać wiernych wszystkich narodowości.

(Oklaski).

W tem swojem poczuciu niewinności zakładają uroczysty protest przeciw zarzutom, uczynionym im także przez odczytanie Listu pasterskiego w kościołach tutejszych, jak niemniej przeciw cichej agitacyi niektórych księży tutejszych przeciw gazetom naszym, z których stanowiskiem w sprawie germanizacyi przez czynniki kościelne zupełnie się solidaryzują.

(Oklaski).

Zachowując tradycyjną w naszem społeczeństwie cześć i szacunek dla duchowieństwa katolickiego w kościele, choćby ono było nam obcem językiem i narodowością, Polacy berlińscy nie przestaną jednakże bronić swego przyrodzonego prawa w urządzeniach kościelnych i żądać uszanowania go przez miarodawcze czynniki, — w dziedzinie zaś politycznej warują sobie zupełną swobodę działania i nie pozwolą w wolnem wykonywaniu praw swoich obywatelskich, wywierać na siebie nacisku przez czynniki pod względem narodowym nam obce i pragnień duszy polskiej nie rozumiejące.

Nie odstraszy ich od tego niczem nieuzasadniona groźba odebrania im pociech Kościoła w razie czytania gazet polskich, które są reprezentantami ich uczuć i przekonań, a na przypadek zastosowania tych kar, gotowi są udać się z zażaleniem do najwyższej władzy Kościoła.

W końcu wyrażają gorącą prośbę, żeby ks. biskup Kopp sam osobiście zechciał poznać odnośne stosunki, i mają uzasadnioną nadzieję, że poznawszy je gruntownie, do życzliwszej niż obecnie dojdzie ich oceny.“

O wiecu poznańskim, którego przebieg podajemy na innem miejscu, piszą „Dzien. Pozn.“ i „Kur.“ z wielkiem niezadowoleniem. I nic dziwnego, bo „Kuryerowi“ jako organowi dla centrowców polskiego języka wolno oczerniać Polaków na Śląsku ale nie wolno znaleść słówka nagany dla orędzia ks. kardynała Koppa a „Dzien. Pozn.“ potępia w czambuł wszystko, co nie nosi stempla dziennikowego i jego ludzi „ładu i porządku.“ Oświadczył się on przeciwko orędziu ks. kardynała Koppa ale względy stronnicze nie pozwoliły mu być konsekwentny[illegible] potwierdzić tego na wiecu.

Nie może „Dziennikowi“ chodzić już o „drażnienie“ centrum, jeżeli nawet sam centrowy *„Kuryer“* oburza się na ks. *Tascha* za to, iż odmówił poparcia ks. Mojżykiewiczowi w walce wyborczej przeciwko ewangielikowi. „Kur.“ stojąc tu lojalnie na stanowisku pism centrowych jest przynajmniej konsekwentnym.

„Jeszcze przedwczoraj spodziewała się „Germania“ a „Westposener Volkszeitung“ wyraźnie tego wymagała, aby centrowcy poparli kandydatów naszych w okręgu czarnkowsko - wieleńskim i wschowsko-leszczyńskim, więc i my przypuszczaliśmy, iż Niemcy katolicy oddadzą głosy swe teraz na naszych kandydatów, dających im jako kapłani wszelką gwarancyę obrony dążności katolickiego centrum.

„Odmowa ta stwierdziła na nowo, iż Niemcy katolicy, mieszkający „na kresach wschoodnich“ to po większej części nietylko niecentrowcy w rodzaju Windhorstów, Roerenów i Bachemów, lecz wcale nawet nie wyznawcy właściwych haseł centrowych, a jak im do hakatyzmu blisko, to stwierdzili stawianiem osobnych kandydatów przeciw oficyalnym kandydatom centrum

[illegible] kończy „Kur.“ zdaniem, które [illegible] sobie spamiętał dobrze na przyszłość:

„Niech nam więc po tym fakcie centrum nie stawia przed oczy Westfalii!

Ogromna fala oburzenia podniosła się na wieść o wydaniu *Pakosławia* w ręce Landbanku o czem *„Dzien. Poz.“* między innemi tak pisze:

„[illegible] niech to sobie wezmą też za przykład. Na snop zawczasu z tymi paniczykami, co ziemię ojczystą biorą na to, żeby ją przefrymarczać czy to dla karciarzy, giełdy, czy dla nierządnic. Bo inaczej spadnie hańba na przeszłość i przyszłość ich rodową.

„Zdrajca pakosławski sprzedał majątek z pałacem i wszystkiem co w nim było, meblami, pamiątkami itd. O bo był to człowiek wykształcony, który się lubował w kulturze.

„Żeby parobkiem był został, nie byłby takiej hańby się dopuścił.

„Niegodny zdrajca! Pomścił Niemców za głośny swego czasu napis rakoniewicki!

Banki parcelacyjne i lud polski muszą znowu tę stratę odbić na Niemcach! A tymczasem jak dowiaduje się *„Wielkopolanin:“*

„Z Poznania wyszło urzędowe poufne rozporządzenie do landratów, aby pod pilny nadzór wzięli działalność polskich spółek i banków parcelacyjnych. Władze administracyjne w obwodzie rejencyjnym poznańskim mają w przyszłości corocznie zdawać sprawę w tym przedmiocie do pewnego terminu i przedkładać propozycye

jakby najskuteczniej zapobiedz można usiłowaniom wyżej wymienionych instytucyi. O poszczególnych nadzwyczajnych zdarzeniach mają niższe władze władzom przełożonym donosić. Tak opiewa wyżej wymienione rozporządzenie. Z uzasadnienia dołączonego do tego rozporządzenia wynika, że wyższa władza chciałaby zebrać materyał, celem udowodnienia, że spółki nasze parcelacyjne mają wyraźne zadanie działania politycznie."

Echa *procesu gnieźnieńskiego* rozległy się daleko po za granicami Wielkopolski i los gimnazyastów naszych wzbudził szczery żal w prasie europejskiej. W wielkim angielskim dzienniku *„The Pall Mall Gazette"* znajdujemy takie ironiczne uwagi pod adresem Niemiec:

„Mamy nadzieję, że rząd niemiecki czuje się teraz znowu (po skazaniu gimnazyastów) bezpiecznym!

Polityka rządu, która zniewala więzienie żaków szkolnych za polityczne wrzekome przestępstwa *sama osądza się i potępia w oczach cywilizowanego świata.*"

W tym samym duchu piszą inne angielskie organy. A gazety francuzkie również z żywem współczuciem dla naszej młodzieży przemawiają o procesie gnieźnieńskim. W całym świecie cywilizowanym stawił on *system pruski* w właściwem świetle!

Red.

Głosy od Przyjaciół.

***Sroda** 16. 6. 03.*

Nie znalazł się jeszcze nikt ktoby choć krótko skreślił zaszłe wypadki w Srodzie, których milczeniem pominąć nie można. Dlatego przyjm, Szanowna Redakcyo odemnie słów kilka. Muszę najpierw oddać cześć naszemu Bractwu za celność w strzelaniu i donieść kto został u nas królem kurkowym. Otóż królem kurkowym został restaurator p. Walenty Knast, a wicekrólem mistrz piekarski pan Feliks Siekierski. Zabawa na strzelnicy wypadła dobrze a zakończoną została wspólną kolacyą na sali hotelu p. Hüttnera — Doroczna uroczystość Bożego Ciała wypadła wspaniale; najpierw pogoda sprzyjała a słońce jakoby najwspanialsza illuminacya roztoczyło swe promienie po niebie, jakby chciało powiedzieć ludziom „patrzcie ja uznaję i czczę Boga Stwórcę mego, dlatego oddaję Mu to co mam najwspanialszego". Ulice przystrojone w zieleń i kwiaty, okna wspaniale oświecone, — wyszła wspaniała procesya poprzedzana bractwami z światłem i bogatymi sztandarami a naliczyć ich było można kilkanaście — prześliczny szpaler biało przybranych dziewczynek rzucających kwiecie przed Sanctissimum. Wszystko to robiło wrażenie imponujące. Spiew choralny pod dyrekcyą muzyka p. Zaremby uroczystość te do wielkiej podniósł świetności. Na czterech stronach rynku każdego roku starannie i czysto poustawiane były ołtarze. Lecz jakież zdumienie ogarnęło wszystkich, gdy weszli na rynek i zobaczyli jednę stronę rynku próżną — a natomiast na jednej stronie dwa ołtarze ustawione. Najpiękniejsza kamienica należąca dawniej do obywatela Polaka i katolika (który za chlubę sobie miał, że mógł Bogu ołtarz wystawić, chociaż z wielkiemi trudami, bo mieszka za miastem kawał od rynku) przeszła roku bież. drogą kupna na własność Spółki pożyczkowej a więc na korzyść polskiej instytucyi. Spodziewano się więc, że administracya tejże Spółki wystąpi odpowiednio tak jak na dom taki przystoi i zbuduje Panu ołtarz naj wspanialszy.

Tymczasem kamienica ta wielka stała bez światełka, bez gałązki zieleni, a co najgorsza, miejsca Bogu swemu odmówiła. — Jeżeli innowiercy się temu dziwili, to cóż powiedzieć o swoich, którym się serca krwawiły na taką obojętność i brak wiary. Bóg nas chłoszcze, ale wie za co. — Wiele mówimy i krzyczymy, a gdzież uczynki nasze? I tak co do *wyborów*. Jaki nieład, jaka obojętność! Żadnego objaśnienia pod tym względem! Że jest u nas komitet wyborczy, nikt o tem nie wie. *Ludzie chodzili od jednego do drugiego, a objaśnienia nikt dać nie umiał. Do mnie przyszedł człowiek z pod dziedzica Niemca żądając kartek dla 15 osób,* lecz jam go odesłał do pewnej wybitnej osoby w mieście, bo sam dokładnej odpowiedzi dać nie mogłem. Innym razem pewna znaczna osoba żaliła mi się, że chętnie dałaby datek na cele wyborcze, ale gdzie, komu? kiedy komitet za kulisami i nikt o nim nie wie. — Smutne to stosunki a jednak prawdziwe. Mówmy więc lepiej mniej, a czyńmy więcej i rozsądniej — a prędzej cel upragniony osiągniemy i dolę naszą polepszymy.

Jeden za wielu.

Wyrów pod Mikołowem.
***G. Sląsk**, 23. VI. 03.*

Donoszę o okropnych nadużyciach, kłamstwach, oszczerstwach, groźbach, które tutaj uprawiają księża centrowcy i różni Prusacy przeciw nam Polakom. Zapewnie telegram doniósł już wam kochani bracia, o zaburzeniach w Laurahucie, gdzie zawinił głównie ks. proboszcz, który pod opieką żandarmów na wiecu urządzał bezprawia. Teraz przed ścisłemi wyborami jeżdżą księża ze szajką panoszków po wsiach, gdzie okropnie nas spotwarzają. W paru miejscowościach stały się już zaburzenia i bijatyki. N. p. jeden fałsz: ks. kat. w Mikołowie prawił przy kazaniu w kościele, że się odbędzie zebranie wyborcze, lecz tylko katolików zaprasza na nie. Najbardziej obwiniać trzeba „Katolika," jeżeli nasi posłowie nie przejdą. On temu jedynie winien! Posełam wam odezwę „Katolika" a wy tam osądźcie co sądzić o niej. Hańba mu!

S. L.

Dział illustrowany.

Z ojczystych stron.

Żytomierz.

(Do illustracyi.)

Turyści nasi, znajdujący wielką, jeżeli nie największą przyjemność w zwiedzaniu zagranicznych miejscowości, nie mogą dość nachwalić piękności saskiej Szwajcaryi i okolic nadreńskich, gdzie wsie i miasta toną wśród pięknych ogrodów, rozrzuconych po górach, nad rzekami. A jednak okolic takich nie koniecznie szukać trzeba aż za granicą; — bliżej znaleźć je można. Okolice np. Żytomierza śmiało mogą iść w porównanie z owemi przechwalonemi miejscowościami nad Renem. Wprawdzie tam spotkać się można częściej z dziełem rąk ludzkich, które pracą długą, wytrwałą, pragną podnieść i powiększyć urok, jaki Opatrzność w owych stronach hojnie rozsiała. Kto jednak lubuje się w pięknie przyrody samej, bez domieszek sztuki ludzkiej, nieraz wielce banalnej, ten w okolicach Żytomierza większe znajdzie zadowolenie.

Miasto samo, a raczej środkowa jego dzielnica nie przedstawia się ponętnie. Tu skupia się handel cały, pozostający przeważnie w rękach żydowskich. Bruki zaniedbane, w lecie każdy silniejszy powiew wiatru wzbudza tumany kurzu, handle brudne — słowem, śródmieście Zytomierza nie wiele różni się od innych miast wołyńskich lub podolskich. Nowsza dzielnica ma ulice szerokie, długie, równe, snać według planu z góry powziętego nakreślone z uwzględnieniem pojęć i potrzeb nowoczesnych.

Zanim przejdę do opisu dzielnic od środka miasta odciętych, przytoczę słów kilka z przeszłości miasta samego. Początki jego są nieznane; z różnych jednak podań i danych archeologicznych wnosić można, że gród to bardzo starożytny, kto wie, czy nie sięgający epoki, w której Normandowie w owe strony przywędrowali i grody zakładali. Musiał to jednak być gród mniej ważny, bo w dokumentach historycznych z przed wieku XIII-go nigdzie niema wzmianki o Żytomierzu. Wiadomo tylko, iż miejsca te były przedmiotem długoletnich sporów między książętami z rodu Ruryka.

Stryjkowski w kronice swej pisze, iż Gedymin, ciągnąc z Brześcia na Kijów, zdobył w r. 1320 po drodze Owrucz i Żytomierz. Musiał to więc być gród silny, skoro zdobywać go było potrzeba. W owym czasie Żytomierz należał do władców Kijowa. Gedymin zastał tu już klasztor dominikański, co najmniej od stu lat istniejący. Dziś niema zeń ani śladu; nie wiadomo nawet, kiedy został zniesiony, czy zburzony. Prawdopodobnie zniszczyła go nawała tatarska, która nieraz Żytomierzowi dawała się we znaki. Nie oparł się tej nawale i zamek obronny, o który niejednokrotnie zacięte boje staczano.

Za Jagiellończyków miasto rządziło się prawami magdeburskiemi. W początku XVI-go wieku Tatarzy doszczętnie miasto zniszczyli; zaledwie kilkanaście domów uszło zagłady, a kilkadziesiąt osób ocaliło życie. Dla podniesienia miasta w połowie tegoż stulecia uwolniono je od wszelkich ceł i opłat targowych. Srodek ten przyczynił się znakomicie do podniesienia Żytomierza, do którego zaczęli zjeżdżać się okoliczni mieszkańcy. W r. 1569 Żytomierz stał się stolicą powiatu i starostwa grodowego, do którego, prócz miasta, zaliczało się kilkanaście włości sąsiednich. Od tego też czasu odbywały się tu sejmiki powiatowe, bardzo ożywione a czasami i burzliwe.

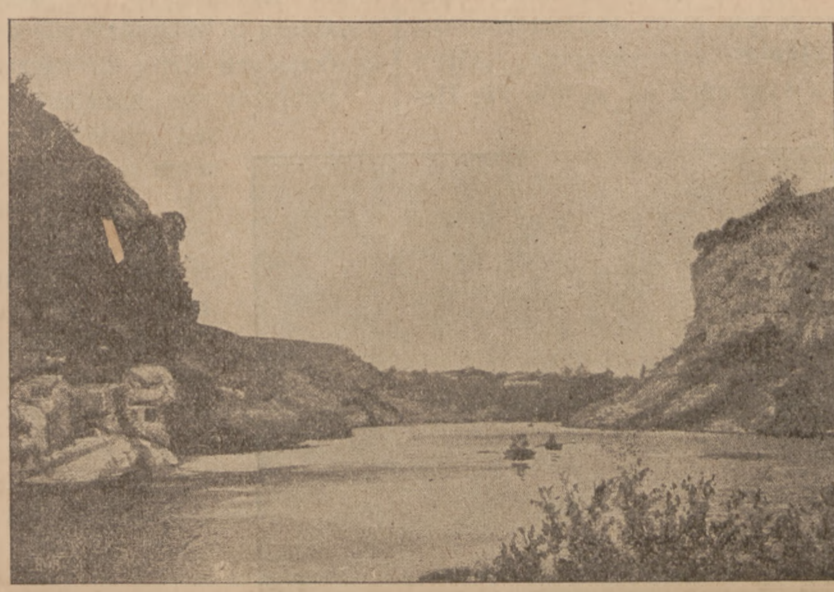
Kozacy Chmielnickiego spalili miasto w r. 1648, pomimo to jednak wkrótce potem, gdy Kijów odpadł od Rzeczypospolitej, przeniesiono tu sądy ziemskie, grodzkie i asesorskie, a w r. 1686 uczyniono Żytomierz stolicą województwa kijowskiego.

W początkach XVIII wieku Samuel Ożga, biskup kijowski, zbudował w Żytomierzu kościół katedralny pod wezwaniem św. Zofii i tu przeniósł swą rezydencyę. Kościół ten, niewielki rozmiarami, wewnątrz niebogaty, odznacza się pięknym frontem w stylu Odrodzenia, z dwoma wieżycami, wieńczącemi fasadę. Gmach biskupi i domy dla kapituły pobudował następca biskupa Ożgi, biskup Sołtyk, który także założył w Żytomierzu szkołę dyecezyalną. W połowie tegoż wieku starosta żytomierski, Jan Kajetan Iliński, ufundował klasztor bernardyński, a przy nim kościół, rozmiarami większy od katedry. Bernardyni mieli tu szkołę, która istniała do zniesienia zakonu w r. 1831-ym. Obecnie mieści się tu seminaryum duchowne rzymsko-katolickie.

Zamek żytomierski trzymał się jeszcze do r. 1862, w którym to czasie spłonął zupełnie.

Od r. 1796-go Żytomierz jest głównem miastem gubernii wołyńskiej, które, głównie dzięki przeprowadzeniu drogi bitej z Brześcia do Kijowa, znacznie podniosło się pod względem handlowym.

Żytomierz sam leży na równinie, wśród licznych sadów i ogrodów — ztąd też, pominąwszy śródmieście, zamieszkałe przeważnie przez żydów — miasto wygląda niby wieś ogromna, w której, zamiast chat, strzechami pokrytych, stoją tylko dworki najrozmaitsze, drewniane lub murowane, skromniejsze lub więcej ozdobne, przeważnie parterowe, rzadziej piętrowe. A wszystko to spowite w zieleń drzew i krzewów, kwietników i trawników. Nic też dziwnego, że ci, co przez czas dłuższy w Żytomierzu mieszkają, nie mogą przyzwyczaić się do miast większych i twierdzą, że niema na świecie miasta



Skała z „Głową Tadeusza Czackiego" przy brzegu Teterowa, pod Żytomierzem.



Bulwary w Żytomierzu.

równie miłego, sympatycznego. Rzeczywiście, podobne Żytomierzowi chyba nad Elbą lub Renem napotkać można.

Nic też dziwnego, iż Żytomierz jest ulubioną siedzibą ludzi starszych, podeszłych wiekiem, którzy ostatnie lata swego życia pragną spędzić w ciszy i spokoju, na co zasłużyli sobie pracą długoletnią. Przyczynia się też do tego taniość produktów niezbędnych w życiu codziennem. W porównaniu np. z Warszawą, utrzymanie w Żytomierzu jest znacznie tańsze.

W niewielkiej od miasta odległości płynie rzeka Teterów; łożysko jej przewija się śród skał granitowych, spiętrzonych jedna na drugą; w niektórych miejscach skały te stromo strzelają w górę, nadając miejscowości wyraz dziki, ale pełen uroku. Najwspanialej przedstawiają się skały owe w pobliżu ujścia Hnyłopiatu do Teterowa. Tu wznoszą się do wysokości 20-tu sążni niemal prostopadle nad rzeką. Zielone krzewy, czepiające się tu i owdzie tych skalistych urwisk, opasujące skałę jakby wstęgami, tworzą widok czarujący.

Na jednej ze skał tych na samym szczycie, znajduje się kamień, zwieszony nieco nad rzeką, przypominający kształtami głowę Tadeusza Czackiego. O kamieniu tym pisze Jan Prusinowski, poeta i literat, co następuje: „Grób wielkiego wygnańca na wyspie św. Heleny osadzono płaczącemi wierzbami, a sploty zwieszających się gałęzi przy stosownem oświetleniu słonecznem tworzyły postać bohatera, w zwykłej postawie ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma. Był to niby powietrzny pomnik, stawiany w pewnych chwilach przez tajemniczego ducha natury, łączącego grę światła i cieni w znane kształty — przed okiem szukających złudzeń wędrowców.

Podobnego złudzenia doznajemy na brzegach Teterowa pod Żytomierzem, na kilkadziesiąt kroków przed ujściem rzeczki Kamionki. Tajemniczy ten duch natury, wyprzedzając oznakę pamięci ziomków, wyrażoną później w posągu Oskara Sosnowskiego, uformował na wierzchołku jednej ze skał, zwanej „Sokolą" głowę Tadeusza Czackiego."

Wspomnienie Czackiego zapisało się silnie w Żytomierzu, tu bowiem zasłużony krzewiciel oświaty w r. 1810 bronił swych poglądów i swej działalności przed komisyą, umyślnie w tym celu powołaną. Jak zaś świetną była ta obrona, i jak pełną zasług ta działalność, najlepszym dowodem jest fakt, iż cesarz Aleksander I dozwolił medalem, umyślnie wybitym, uczcić pracę Czackiego, zajmującego podówczas stanowisko wizytatora szkół i prezesa komisyi edukacyjnej w guberniach wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej.

Do skał piętrzących się nad Teterowem przywiązane są najrozmaitsze podania, oraz opowiadania ludowe o duchach i widmach, błąkających się wśród tych urwisk. Prawdopodobnie źródłem tych opowiadań jest niezwykła gra promieni słonecznych, załamujących się zwłaszcza o wschodzie na skałach i wytwarzających cienie dziwaczne.

Pobieżny rys niniejszy o Żytomierzu zakończymy wspomnieniem o rezydencyi biskupiej, która tu ustanowioną została w połowie XVIII wieku. Początkowo nie było to biskupstwo oddzielne, lecz tylko rezydencya biskupów kijowskich, którzy od czasu wojen z Chmielnickim a zwłaszcza od traktatu grzymułtowskiego (1686-go r.) mieli tylko tytuł a rezydencyę swoją z miejsca na miejsce przenosili. Biskup Jędrzej Załuski zamierzał ufundować katedrę w Białejcerkwi, ale zostawszy biskupem płockim, zamiaru tego zaniechał. Następcy jego zazwyczaj tylko tytuł mieli, i czekali na wolne miejsce w innem biskupstwie. Dopiero wspomniany poprzednio Samuel Ożga, herbu Rawicz, osiedlił się w Żytomierzu przy kościele parafialnym, który następnie na katedrę przerobił. Następca jego, Kajetan Sołtyk, po dwuletnim pobycie w Żytomierzu, przeniesiony został na biskupstwo krakowskie. Po nim przez czas dłuższy na stolicy biskupiej w Żytomierzu zasiadł Józef Załuski, słynny założyciel biblioteki w Warszawie, pasterz wielce gorliwy. Za biskupa Kacpra Cieciszowskiego ustaliła się dyecezya w Żytomierzu, dzięki nadaniu w r. 1788-ym placu i gruntów biskupom i kapitule.



Katedra rzymsko-katolicka w Żytomierzu.

W roku 1798 nuncyusz Litta, za zezwoleniem cesarza Pawła I, utworzył dyecezyę Łucko-Żytomierską, powstałą z połączenia dawnych biskupstw łuckiego i kijowskiego. Na owej stolicy zasiadali dotychczas biskupi następujący: Michał Piwnicki, Kasper Borowski, Szymon Kozłowski i Cyryl Lubowidzki; Obecnie biskupem dyecezyi jest J. E. ks. Karol Niedziałkowski, pasterz znany zaszczytnie na niwie publicystycznej.

A. W.

Z karty żałobnej.

Wobec rozbudzonego obecnie życia narodowego na Górnym Śląsku i wobec wydanego skutkiem tego niefortunnego bardzo listu pasterskiego germanizatora, księdza kardynała Koppa, zamieszczamy poniżej portret ś. p. ks. Konstantego Damrotha, najgorętszego patryoty polskiego i najznakomitszego poety polsko-śląskiego, który przypomniał swym braciom Górnoślązakom, iż pod względem historycznym i językowym należą do polskiego narodu.

Z poezyami Czesława Lubińskiego (takiego pseudonimu używał ś. p. ksiądz Damroth) zapoznaliśmy już Czytelników naszych w roczniku „Pracy" z roku 1899-go w artykułach p t.: „Poezya górnoślązka". Dzisiaj więc nadmieniamy tylko, iż ks. Konstanty Damroth, poeta i pisarz religijny szląski, ujrzał światło dzienne 14-go września 1841 roku w Lubińcu na Górnym Ślązku. Ks. D. kształcił się na fakulecie teologicznym we Wrocławiu, święcenia kapłańskie otrzymał 1867 r. i wkrótce mianowany był profesorem a następnie dyrektorem

seminaryum nauczycielskiego w Kościerzynie w Prusiech Zachodnich; umarł 1895 w r. Pielchowicach. Ogłosił pod pseudonimem Czesława Lubińskiego: „Wianek z gór Sląska“ (1867 r., wyd. powiększone 1893 w Bytomiu, t. 2); „Opis ziemi świętej“ (wyd. 2 Gdańsk 1873); „Żywot błogosławionej Bogarodzicy Maryi“ (1870); „Obrazki mi-



Ś. p. ks. Konstanty Damroth (Czesław Lubiński).

sijne ze wszystkich krajów i wieków“ (Poznań 1873); „Dzieje Starego i Nowego Testamentu“ (Pelplin 1876) i in.

Poeta aż do końca życia śpiewał, nawet na łożu boleści, a pomimo, że męczące suchoty resztki życia z niego wyczerpały, jeszcze nucił swej ukochanej ojczystej ziemi:

Ziemio ślązka, *polska ziemio*,
Ojców krwią i znojem
Użyźniona, poświęcona
I ja dzieckiem twojem!

Ja twym synem: włos mój siwy,
Ręka moja drżąca,
Ale lutnia moja jeszcze
Krzepka i gorąca.

Więc Ci dalej nucić będę,
Jako w życia wiośnie;
Co do śpiewu sił nie stanie,
Dopłaczę żałośnie — —

Toć i krew nam nie pomogła
Przelana w stu bitwach:
Może będą łzy silniejsze
Wylane w modlitwach.

Czego mieczem nie osięgli
Waleczni mocarze,
Może pieśnią swą wyżebrzą
Pobożni pieśniarze.

Przyjm więc Panie, prośby nasze:
Ukróć doświadczenia
Długie chwile, potem przyspiesz
Godzinę zbawienia;

Bym i ja się raz pokrzepił
U wolności zdroju,
Poczem, Panie, puść starego
Pieśniarza w pokoju.

Niestety nie doczekał się nasz rzewny śpiewak „pokrzepienia u wolności zdroju.“ *—ski.*

Ku pamięci
Antoniego Kurzawy.

Któż nie zna tragicznych losów ś. p. Antoniego Kurzawy, któż nie pamięta, jak rozgoryczony niesprawiedliwym wyrokiem konkursowym rozbił w kawały swój model posągu Mickiewicza, dzieło niepospolitego talentu. To jedno upamiętniło go u potomnych, zresztą i życie jego i dzieła przeważnie szerszym kołom nie znane. Pozostało dzieł kilka, posąg sklejony po rozbiciu, majestatyczna rzeźba „Wawel i Wisła“, „Geniusz zrywający pęta“, trochę studyów i szkiców. Artysta przez całe życie walczył z biedą i niedostatkiem, łamał się, wyrywał z życia codziennego do wzniosłych wyżyn sztuki. Umarł, zwłoki złożono na cmentarzu krakowskim, przykryła je zwykła mogiła, nie świadcząca niczem, czyje zwłoki zawiera. Przed kilku dniami dopiero poświęcono uroczyście pomnik na grobie. Wzniósł go swojem staraniem i kosztem profesor Akademii sztuk pięknych, p. Leon Wyczółkowski. Miał pomysł szczęśliwy, bo na pomnik przeznaczył własny szkic rzeźbiarza „Geniusza zrywającego pęta.“ A utwór ten to niejako symbol całego życia Kurzawy. Uroczystość odbyła się cicho, przy nielicznym udziale publiczności; przybyli na cmentarz profesorowie Akademii sztuk pięknych, zeszło się kilkunastu uczni, młodych malarzy i rzeźbiarzy, chór Towarzystwa muzycznego odśpiewał pieśni. — Cmentarz w nowym pomniku zyskuje prawdziwą ozdobę, jednę z niewielu. Bo cmentarz krakowski jest duży i wspaniały, ale w tej wspaniałości niema prawie nic istotnie pięknego, z wyjątkiem drzew i krzewów.

* * *

Wstyd dla Krakowa, że marnieć pozwala
Artystom, rodakom bez chleba,
Z braku pomocy do cierpień zniewala
Nie wesprze gdzie nędza, potrzeba.
Nowym dowodem, znów świeża mogiła
Co zwłoki pokrywa Kurzawy —
Zgasło w nim życie bolesne i siła
Artyzmu, talentu i sławy!
A dziś, gdy trawa na grobie porosła
Biedaka — co ludzie zabili
Dzisiaj im przyszła ta idea wzniosła
I raptem mu pomnik stawili.
Dar bardzo piękny, lecz niepożyteczny
To tylko ozdoba cmentarza
Zakłócić mu może spoczynek wieczny
Wśród smutnych pamiątek ołtarza.
...Lecz pomnik stanął; nawet zaśpiewano
Pieśń wzniosłą pod niebios sklepienia
Nieco zapóźno, tę krzywdę poznano
Ozwały się szepty sumienia.
Ludzie! o sercach kamiennych jak głazy,
Co talent po zgonie cenicie,
Zmieńcie swój system, tak pełen odrazy,
Żyjącym, tem ulgę sprawicie,
Zmarłym mniej laurów połóżcie na grobie,
O żywych niech każdy pamięta,
A kiedy wspólnie pomożemy sobie
To geniusz — zerwie sam pęta.

Marya Paruszewska.

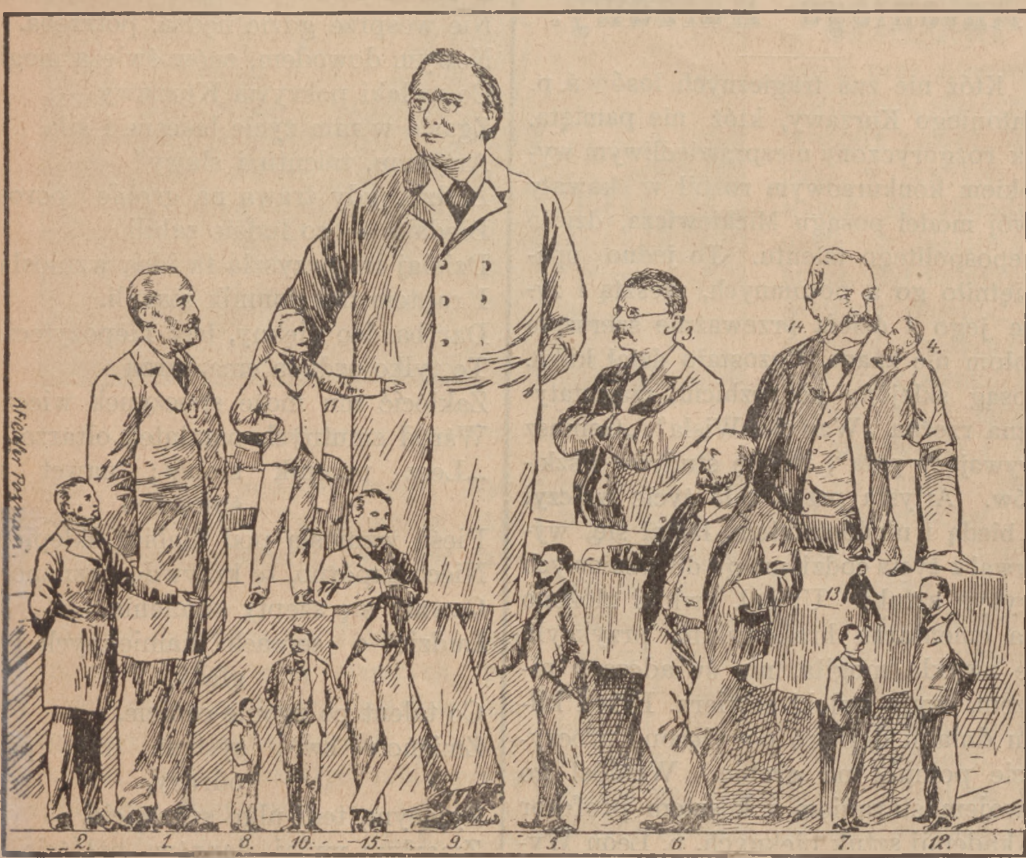
Poznań, d. 20. VI. 1903.

Z CHWILI.
(Do illustracyi.)

Wobec co dopiero ukończonych wyborów do parlamentu niemieckiego i mających niebawem nastąpić jeszcze w wielu okręgach ściślejszych wyborów do tegoż ciała prawodawczego, nie będzie z pewnością bez interesu dla szan. Czytelników zamieszczona powy-



Brzegi Teterowa pod Żytomierzem.



Siła stronnictw w parlamencie niemieckim.

żej rycina, obrazująca siłę stronnictw w ubiegłem pięcioleciu parlamentarnem w wielkości lub też mniejszości pojedyńczych osób, oznaczających odnośną partyę. Osoby te przedstawiają wybitnych przedstawicieli różnych frakcyi; mianowicie: 1) posła hr. Kanitza, reprezentanta stronnictwa konserwatystów, które liczyło 52 członków; 2) posła Kardorffa, reprezentanta stronnictwa rządowego, które liczyło 20 członków; 3) posła d-ra Sattlera, reprezentanta stronnictwa narodowo-liberałów, które liczyło 53 członków; 4) posła Liebermanna, reprezentanta stronnictwa ref. socyalnego, które liczyło 10 członków; 5) posła dr. Pachnicke'go, reprezentanta stronnictwa wolnomyślnego, które liczyło 14 członków; 6) posła Eugeniusza Richtera, reprezentanta stronnictwa wolnomyślnego ludowego, które liczyło 27 członków; 7) posła Hausmanna, reprezentanta stronnictwa ludowego z Niemiec północnych, które liczyło 7 członków; 8) posła barona Wangenheima, reprezentanta związku chłopskiego, które liczyło 3 członków; 9) d-ra Schaedlera, reprezentanta stronnictwa Centrum, które liczyło 102 członków; 10) posła Hodenberga, reprezentanta stronnictwa Welfów, które liczyło 7 członków; 11) ***posła księcia Ferdynanda Radziwiłła,*** *prezesa Koła Polskiego i reprezentanta Polaków, którzy liczyli 14 członków*; 12) posła Hauss'a, reprezentanta stronnictwa Alzatczyków, które liczyło 10 członków; 13) posła duńskiego Jessen'a, który był tylko jedynym posłem duńskim; 14) posła Singera, reprezentanta stronnictwa socyalistów, które liczyło 58 członków i 15) posła księcia Herberta Bismarcka, reprezentanta 19 posłów nie należących do żadnego stronnictwa.

Co dopiero uskutecznione wybory jak też wynik wyborów ściślejszych przyczynią się niebawem do zmiany siły powyższych stronnictw.

Stronnictwo socyalistyczne będzie najprawdopodobniej w nowym parlamencie najsilniejsze. W takim razie mieliby socyaliści prawo do wyboru pierwszego prezydenta. Że się przytem doczekamy bardzo interesujących rzeczy, o których się nie śniło nawet Bismarckowi — wątpić nie należy.

Co do nas, to cieszymy się, że nie straciliśmy ani jednego mandatu, a mamy nadzieję, że zyskamy ich w wyborach ściślejszych więcej!

—ski.

Źródło natchnienia Chopina.

Napisał Zygmunt Światopełk Słupski.

(Dokończenie.)

Jeżeli poeci nasi ulegali czasem i postronnym wpływom, to odnosi się ten zarzut głównie do formy; o Chopinie zaś i tego powiedzieć nie można, bo on zgoła nic nie zapożyczał, lecz przeciwnie, innym wskazywał drogi. A jeżeli komu, to już chyba najmniej dłużny Niemcom. Lubił wprawdzie Mozarta, bo jego słodkie melodye bardziej mu jakoś do duszy przemawiały niż wielkie kompozycye Beethovena, ale chyba nawet i sam Reissmann ani Rellstab nie doszukaliby się żadnego tu podobieństwa. Nadmienić też na ich pociechę można, że grywał także, nawet często grywał Bacha, i to grywał go nietylko w dzieciństwie, ale i później, aż do ostatka; grywał go nawet przed każdym koncertem, nietykając nigdy własnych utworów programu — a przecież pozostał sobą, ani śladu w nim ulubionego Bacha. Ale bo tu jedynie chodziło o ćwiczenia palcy, nic więcej. Miał on przecie inne, wspanialsze wzory — polski lud.

Nieraz, dzieckiem, bywało, godzinami wystawał zaczajony gdzieś po pod ścianą chłopskiej chaty lub karczmy, słuchając wiejskiego grajka. I te to dziarskie obertasy, kujawiaki, mazury, krakowiaki, polonezy wreszcie — oto jego właściwi mistrze.

A tak tem zamłodu duszę swą napoił; tyle z tego skarbca, wraz z grupką ojczystej ziemi, zabrał z sobą polskiego ducha i myśli polskiej, że mu tego na obczyznie starczyło aż do śmierci.

A mając tak bogate własne zasoby czyż potrzebował jeszcze cudzego natchnienia pożyczać u Cyganów lub Węgrów albo z drugiej ręki, u Schuberta a w końcu i u Fielda? Nie, nie mogą oni mieć ni cienia tytułu do ojcostwa chopinowskich kreacyi, ani wprost ani nawet i pośrednio. *Chopin tylko polski, zawsze i na wskroś polski*, nawet wtedy, gdy chodzi o jego niemieckie walce, w których, oprócz nazwy, nic niemieckiego nie ma.

To też z powodu tej tak wybitnej cechy narodowej, Moscheles, ten Nestor pianistów zeszłego stulecia, z przekąsem nazywa jego muzykę republikańską, i mówi, że on w tych swoich mazurkach, balladach, marszach, opłakuje zniweczoną wolność swego narodu.

I Moscheles prawdę powiedział.

Chopin całą duszą Polak i gorący patryota — żywo odczuwał niedolę uciśnionej ojczyzny, a ta boleść musiała niemały wywrzeć wpływ na charakter jego kompozycyi. To też zbyt wyraźne to piętno. Pełno w nich owego „żalu,“ tęsknoty, bólu, rozpaczy, to wyraźne echo rozdzierających duszę jęków. *Chopin tak opłakując cierpienia ojczyzny, łzy wyciska wszystkim, którzy czuć i płakać umieją.*

Moscheles więc ma zupełną słuszność. Muzyka jego tak dalece polska, tak narodowa, że aż nawet i inni obcy, zarzut mu z tego czynią, bo żaden z nich zrozumieć jej nie może właściwie. Zrozumieć ją bowiem, co prawda, może tylko ten, kto się pod tem samem, co i on niebem narodził, i którego tak sa-

mo, dzieckiem w kolebce te same mazurki i dumki do snu kołysały, a który nadto tak samo przebolał nieszczęścia kraju.

Również i sam Chopin był tego zdania; i to nietylko co do swojej własnej, ale wogóle co do polskiej muzyki.

Raz nawet powstała o to sprzeczka między nim a Lisztem i Hillerem. Na próbę wybrano mazura Chłopickiego. Pierwszy zagrał Liszt, potem Hiller, a w końcu sam Chopin. Okazało się jednak, że miał racyę, bo każdy z nich inaczej ten utwór pojął; ale obaj oponenci przyznali, że Chopin najwierniej odtworzył ducha tej typowo polskiej kompozycyi. I nie mogło być inaczej, boć ten duch był także i jego duchem.

To samo, ale jeszcze w wyższym stopniu, odnosi się i do kreacyi Chopina. Cudzoziemiec zachwyca się ich harmonią, ale właściwie pojąć nie może. Nawet i najwięksi artyści nie stanowią tu wyjątku.

Raz np. sławny Thalberg, myśląc że tem przyjemność zrobi Chopinowi, zagrał mu nad program jeden z jego nokturnów. Po koncercie Chopin uprzejmie za tę grzeczność dziękując, zapytał: Czyja to kompozycya?

I w samej rzeczy, chociaż Thalberg zagrał cudownie i nokturn pozostał arcydziełem, ale... nie Chopina.

To też kiedy ta niebiańska muzyka jest przez obcych tylko uwielbianą i podziwianą, jako wykwintne, skończone dzieło sztuki, jakżeż natomiast wymownie i zrozumiale przemawia wprost do duszy każdego Polaka, nawet prostaczka.

Obcy podziwiają ją tylko, a *Polak* pod wpływem tych niebiańskich a tak znanych mu tonów, rozpływa się cały doznając wrażenia, którego słowami określić niepodobna. Jedne łzy chyba mogą być tłumaczem.

Ale kto nie słyszał samego Chopina, ten o tem zaledwie słabe może mieć pojęcie. Przynajmniej tak nawet sam Moscheles zapewnia, że to co pod palcami jego wykonawców zwyrodniałe, pod jego własnemi czarujące. Przejścia ostre, dziwaczne z któremi nawet on, Moscheles, nie mógł się uporać, przestawały razić w wykonaniu samego Chopina.

Muzyka to bezwątpienia tak miękka, tak wydelikacona, że zdaniem Kleczyńskiego, tylko kobieta i to Polka zdolna ją właściwie odtwarzać. A jak potężnie działa na słuchacza, dość powiedzieć, że raz Mickiewicz i Słowacki, upojeni czarem tych tonów, z płaczem rzucili się w objęcia i uroczyście przyrzekli darować sobie wzajemnie wszelkie osobiste urazy.

Obyśmy więc jak najczęściej słuchali tej czarownej muzyki. Tak to Chopin gra na strunach serca swych rodaków, do obcych zaś przemawia tylko skończoną sztuką.

Zabójstwo Elźbiety Aleksiejewny, żony Piotra I.

26. kwietnia 1776. r.

W październiku 1773 roku wielki książę Paweł, doszedłszy do pełnoletności, ożenił się z księżniczką Darmsztadzką. która zmieniając protestancką religię na prawosławną. otrzymała imię Elźbiety Aleksiejewny. Katarzyna I., ta nowa Semiramis, przestraszona ostatnim jękiem otrutego i zaduszonego męża, upatrując w synie swoim naturalnego mściciela, i lękając się, żeby książę nie targnął się na jej koronę, kazała mu z żoną przyjechać na mieszkanie do Carskiego sioła, gdzie się wtedy znajdował dwór carowej, żeby lepiej poznać charakter wielkiej księżnej, siłę wpływu jej na Pawła, i skierować go na swoją korzyść.

Wielki książę był zakochany w żonie swojej i znajdował największą przyjemność w jej towarzystwie. Była to kobieta bardzo zręczna, chociaż i niewielkiego rozumu. Chcąc ją mieć jako na rzędzie w domu swoim, Katarzyna tak protegowała ulubieńca wielkiego księcia Andrzeja Razumowskiego, że ten stał się wkrótce kochankiem w. księżny. Wyrodna matka cieszyła się z tego, bo strasząc w. księżną odkryciem jej występku mogła być spokojną o swego syna. Po półtora roku pożycia Elźbieta została matką, lecz wszyscy byli przekonani, że nie za sprawą męża.

Carowa była bardzo kontenta z synowej i nieraz powtarzała, że Elźbieta wróciła jej syna i że za to użyje wszelkich starań, żeby tylko wywdzięczyć się jej za tę usługę. Katarzyna jednak omyliła się bardzo w rachubie, że ambicya niema przystępu do serca Elźbiety.

Hr. Panin, ks. Daszkowa, ks. Repnin, Metropolita Gawrił, wielu z arystokracyi i gwardyjskich oficerów, widząc nadużycia kochanków Katarzyny, jej plugawe życie, nieszczęścia trapiące kraj z powodu ciągłych wojen, buntów i ciężkich podatków, zrobili spisek w celu zrzucenia z tronu nieprawnie panującej Katarzyny, i posadzenia na jej miejscu Pawła, ograniczając władzę carską arystokratyczną konstytucyą. Według tej konstytucyi szlachta miała otrzymać zupełną polityczną swobodę, tworząc senat w części z niezmieniających się członków, naznaczanych od korony, w części zaś z wybieranych przez szlachtę ze swego grona. Pod zarządem senatu miały być gubernialne, prowincyonalne i powiatowe zebrania, urządzające się według miejscowych potrzeb swoich i przedstawiające do potwierdzenia senatu jak swoje rozporządzenia, tak i projekty do nowych ustaw. Wybór senatorów i urzędników miał się odbywać na tych zebraniach. Władza więc senatu byłaby prawodawczą, a władza cesarska — wykonawczą z prawem potwierdzenia i publikowania rozpatrzonych i przyjętych przez senat ustaw. W konstytucyi wspomniano było także o konieczności przystąpienia do uwolnienia włościan.

Projekt zaczynał się tak: „Najwyższa władza znajduje się w ręku monarchy dla szczęścia poddanych. To prawo znają tyrani, a dobrzy ludzie czują. Oświecony jasnością tej prawdy monarcha, przyjąwszy rządy w swe ręce, natychmiast uczuje, że pełnić złe jest smutną stroną władzy, i że prawdziwa wielkość zależy na tem, żeby samowładca dobrowolnie odrzucił od siebie możność pełnienia zła etc.“

Paweł wiedział o spisku, zgodził się przyjąć konstytucyę, potwierdził ją swym podpisem i dał przysięgę nie naruszać tej fundamentalnej, państwowej ustawy, ograniczającej jego władzę. Duszą spisku była wielka księżna Elźbieta.

Powiernikami hr. Panina byli: Fon Wizin, redaktor konstytucyjnego aktu i Bakunin, obydwaj wspólnicy spisku. Bakunin chcąc się przysłużyć carowej i otrzymać nagrodę, odkrył hrabiemu Orłowowi, kochankowi Katarzyny, wszystkie okoliczności spisku i wszystkie osoby należące do niego Carowa dowiedziawszy się o tem, kazała zawołać syna do siebie i z gniewem wyrzucała mu udział w spisku przeciwko jej władzy. Znając matkę dobrze, Paweł przeląkł się, przyznał się do wszystkiego i nawet podał Katarzynie całą listę spiskowców. Carowa w tym czasie siedziała koło pieca; wziąwszy spis do rąk, nie popatrzyła nań nawet i rzuciła do ognia mówiąc: „Ja nie chcę wiedzieć, kto są ci nieszczęśliwi.“ Katarzyna dokładnie wiedziała o wszystkich z donosu Bakunina.

Chcąc jednak zemścić się na Elźbiecie i zgubić ją w sercu syna swego, carowa odkryła mu całą intrygę wielkiej księżny z ks. Andrzejem Razumowskim, o której Paweł ani się domyślał. Ta okropna wiadomość strasznie wzruszyła w. księcia. Paweł stał się ponurym, smutnym, oprysklíwym. Zauważywszy to wielka księżna zaczęła dopytywać go o przyczynę nagłej zmiany w jego postępowaniu. Paweł przyznał się. Wiedząc, jak niecierpi matki swojej, Elźbieta uciekła się do wszechmocnej kobiecej broni — łez, i tak umiała przekonać

Pawła o niewinności swojej, że ten wyszedł od niej z głębokiem przekonaniem, że matka naumyślnie ją spotwarzyła, chcąc zemścić się za jej udział w spisku, i pokochał żonę jeszcze silniej, widząc w niej ofiarę nienawiści wyrodnej matki swojej.

Od tego czasu, chcąc dosadzić czemkolwiek matce swojej, Paweł zaczął szukać popularności, której tak się lękała Katarzyna, i z łatwością codziennie więcej zyskiwał zwolenników. Popularność jego wykazała się najdobitniej w czasie podróży carowej do Moskwy. Wtedy, gdy Katarzynę wszędzie spotykały oznaki oficyalnej radości lub milczenie, wielki książę był bożyszczem wszystkich klas ludności, lud ciągle go otaczał okazując mu nieudaną miłość.

Widząc takie zachowanie się syna i przypisując go radom synowej, Katarzyna postanowiła pozbyć się tej kobiety.

Gdy nastąpił czas połogu, podkupiona akuszerka otruła Elżbietę i dziecię. Stało się to 26. kwietnia 1776 r. W ciągu choroby wielkiej księżny zbrodniarka Katarzyna nie odstępowała od łoża swojej synowej, okazując największe przywiązanie do niej i niespokojność o jej życie: lękała się ona, aby biedna męczennica nie domyślała się o sprawczyni jej choroby i nie zakomunikowała o swojem podejrzeniu kochającemu i zrozpaczonemu mężowi.

Po tem ukaraniu głównej sprawczyni spisku Katarzyna nie zapomniała i o innych. Hr. Panina oddalono od w. księcia, osłodziwszy mu pigułkę darowaniem 5000 dusz za wychowanie Pawła i zachowaniem mu tytułu kanclerza; brat jego — feldmarszałek i księżna Daszkowa musieli wyjechać na mieszkanie do Moskwy. Ks. Repnina wysłano do Smoleńska na namiestnika, a resztę spiskowców oddano pod dozór policyi.

I. S.

Łaska.

Łaska to słowo, którem świat za młodu,
Żył — i wśród życia bolesnej katuszy
Znajdował mannę dla ciała i duszy;
Znajdował chlubę człowieczego rodu;
Dzisiaj to słowo, dziś dla mędrców tłumu,
Zdaje się ujmą ludzkiego rozumu!
I cóż jest łaska?
Wszak to promień chwały,
Co łączy z Bogiem człeka umysł mały,
To nić cudowna, co po nad gwar świata
Duszę strwożoną z duszą Stwórcy splata!
O mędrcy ślepi! czemuż w waszej dumie,
Gdy rozprawiacie o ludzkim rozumie,
Czemuż ów rozum zniżacie tak nisko,
By tylko w ziemi miał byt i siedlisko?
I tak ogromny kładniecie tem przedział,
O którym nigdy Zbawiciel nie wiedział,
Gdy w pierś człowieka jak w błogie naczynie
Złożył myśl ową co nigdy nie zginie.
Złożył pragnienie i złożył nadzieję,
Że mu tam kiedyś, kiedyś rozednieje!
Że cały w grobie nie zginie,
I że dusza wnet skrzydlata,
Po nad krańce tego świata,
Lot swój rozwinie!....
O dumni mędrcy! — weźcie teraz człeka;
Gdy mu się wszystkie nadzieje rozbiły,
Albo co stanął u świeżej mogiły,
Któremu nic już nie zostało w życiu,
Prócz krwawej rany w sercowem ukryciu;
Lub gdy za czystą miłość jego duszy,
Świat mu odpłacił zniewagą katuszy —
Wtenczas o mędrcy i cóż mu powiecie?
Czyliż się znajdzie taka ludzka mowa,
Czyliż się znajdą tak rozumne słowa,
Aby zdjąć ciężar, co mu piersi gniecie?
Lecz patrzcie tylko, niech człowiek ten samy
Klęknie i oczy podniesie do nieba —
A słów mu waszych rozumnych nie trzeba,
Wstanie spokojny choć łzami oblany,
Bo w duszy własnej inny świat zobaczy,
Wzniesie nad ludzkość bladą skroń anioła,
Z losem się zgodzi — i z serca zawoła
Słowo: przebaczam! — i pewno przebaczy!....
Bo dusza jego od braci wygnana
Poszła litości wyżebrać u Pana,
A Stwórca w mędrcom nieznanym sposobie
Wziął duszę człeka — i podniósł ku sobie!...
O dobry Ojcze! ileż, ile razy
Tyś brał mą duszę w Twe Ojcowskie dłonie,
By zgładzić świata znikomego skazy
I zgasły ogień znów rozniecić w łonie!
I cóż ja mogę? co ja sam przez siebie?
Gdzież ja myśl znajdę, jeżeli nie u Ciebie?
Gdzież słowa znajdę, jeźli nie Twoje,
Co jakby iskrą lecą w serce moje?!
Gdy się oddalę i zabłąkam w tłumie,
Duch mój wie tylko, że nic nie rozumie,
Pióro nie słucha, myśl się plącze, wije,
Nie kocham ludzi, serce mi nie bije,
Liczę boleśnie wszystkie dawne rany,
Z losem bojuję dumny, zagniewany,
Lecz gdy w mem sercu Twa łaska zaświeci,
Wszystko, co mętne natychmiast uleci,
To też o Boże! nad wszystkie Twe blaski,
Ja błagam tylko o promyczek łaski!

Julian z Poradowa.

Numer 25.

(Obrazek z życia warszawskiego.)

Otworzyły się drzwi przytułku św. Franciszka, chwiejnym krokiem wyszedł z niego starzec.

Obejrzał się przygasłym wzrokiem po nędznej ulicy powiśla, jakby szukał drogi właściwej i skierował się ku miastu.

Na pierwszy rzut oka nic go nie wyróżniało od szarego tłumu przechodniów. Miał na sobie odświętne odzienie biedaków, zrudziałe, wytarte, skrojone według dawnej mody, złożone z części nie pasujących do siebie, zwyczajnie, jak człowiek, który nosi nie to co chce, ale co musi, i nie dba o wygląd, bo wie dobrze, iż nikt na niego nie spojrzy.

Ludzie dawno znać go przestali..... od czasu gdy ich mógł potrzebować. Ha! tak przecież dzieje się zawsze. Wiedział o tem. Ale inna rzecz jest wiedzieć, a inna doświadczyć. Każdy ma gdzieś na dnie serca ukrytą nadzieję, że będzie wyjątkiem od powszechnej doli.

Przekonał się szybko, że wyjątkiem nie był. Z pana Łoziewicza został Łoziewiczem, a teraz ktoby tam pamiętał jego nazwisko, wszak był już tylko numerem porządkowym. Nazywał się numer 25.

To też ze zwyczaju jedynie narzucił na siebie co miał najlepszego. Ot tylko, by swemi łachmanami nie czynić wstydu kościołowi, do którego szedł na sumę. Łachmany te jednak świadczyły, że nie zawsze był nędzarzem, zrudziałe sukno było cienkie, skrajała je umiejętna ręka, tylko było to dawno, bardzo dawno.

Przez chwilę zastanawiał się, czemu dziś po raz pierwszy wyszedł z przytułku, gdzie przed kilku miesiącami znalazł ostatecznie schronienie. Było mu tam cicho, spokojnie. Miał wszystko, czego taki jak on biedak może pożądać. Wysłuchał już mszy św., którą rano kapelan odprawił w kaplicy, a teraz coś go skusiło pójść do tego kościoła, gdzie chodził w niedzielę i święta dawniej — dawniej. Czy na to, aby zmierzył ogrom swojej nędzy? Urodził się przecież w wiejskim dworze jedynakiem bogatych rodziców. Majątek zniknął, ale on pracował, pracował bez wytchnienia, by utrzymać się na powierzchni, pracował od pierwszej młodości aż do tego siódmego krzyżyka, który dźwigał na barkach.

Ha! wola Boża. Ciężko to przecież na starość, gdy oczy mgłą zachodzą, ręka pióra utrzymać nie może, a cyfry mieszają się w głowie, zejść na miłosierdzie ludzkie, czekać śmierci w przytułku... jak żebrak. Nie, tego się nie spodziewał. Miał przecież niegdyś urząd, nie złą pensyę, rodzinę, żonę, dzieci.

Ot! na co to wspominać. Wspomnień lękał się nadewszystko. Nie chciał myślą nawet przechodzić po raz drugi tego, co znieść musiał.

Nie dziw, że Łoziewicz był chmurny jak noc, milczący jak skała. Przez ciąg długiego życia nazbierało się w nim tyle goryczy, że gdyby usta otworzył, utrzymaćby jej nie zdołał i wybuchnąłby skargą, łzami, nieludzkim jękiem. Lata całe nieustannego trudu, niepokoju, męki. Gdy spojrzał za siebie, widział tylko splątane pasmo cierpień, bez jednej jaśniejszej nici. Życie poszło mu na opak, od kolebki do grobu; przyniosło mu to wszystko czego się



Ukaranie przestępców w Chinach.

W państwie niebieskiem są kary na przestępców bardzo srogie, mianowicie rząd chiński karze złodzieji surowo. Illustracya nasza obrazuje dwóch złodzieji, schwytanych na gorącym uczynku, którym włożono na głowę tak zwaną kangę. Prócz kangi są kary następujące: bastonada, grubszym lub cieńszym końcem bambusowego kija, od dziesięciu do dwóchset razów, kajdany, więzienie, wreszcie kara śmierci, wymierzana w trzech formach: przez uduszenie, ścięcie głowy i śmierć powolną. Uduszenie odbywa się za pomocą jedwabnego sznurka, lub żelaznej obręczy, ściskanej z tyłu śrubą; pierwszy sposób służy tylko członkom cesarskiej rodziny, drugim pozbawiają się zwykle więźniów, których śmierć nie powinna być głośną. Ścięcie głowy odbywa się mieczem, ze zręcznością, której nie osięga żadna gilotyna. Śmierć powolna zadaje się tym sposobem, iż winowajcę przywiązują do słupa i urzędnik, pilnujący egzekucyi, wydobywa z zakrytego pudła, na los, jeden z nożów, na którego rękojeści jest wypisane w jaką część ciała kat ma ugodzić; trwa to póty, aż dopóki los nie wskaże serca lub innego równie ważnego organu. Winniśmy tu dodać, że zwykle rodzina przekupuje sędziego, który tak się sprawia, iż od razu wydobywa noż, mogący zadać cios śmiertelny.

—ski.

lękał, nic z tego czego pragnął. Nic! nic! I gdy szedł z głową pochyloną, zdało mu się, że żwir pod jego stopą skrzypiał drażniącem echem: nic! nic! nic! Dlaczego tak było? Rzucał to rozpaczne pytanie losom i samemu sobie.

Ileż razy powstawało ono wściekłym buntem w jego duszy. Zasypiał i budził się z niem, dręczyło go we śnie i na jawie, tkwiło w nim jak cierń, tak, iż nawet w chwilach spokoju czuł ból głuchy, nieustanny.

Można było to wszystko wyczytać w ponurych zmarszczkach, które krajały mu twarz i wypisały na niej to, czego nie wypowiadały usta. Kąty tych ust, na dół obwisłe, napiętnowane były takiem zwątpieniem, że starczyły za słowa. Ludzie złymi byli dla niego, ale teraz i on ich nienawidził.

Szedł pod górę nierównym krokiem, wspierając się na kiju. Czasem zatrzymał się, wodził wzrokiem do koła i zapytywał samego siebie, po co ma jeszcze ludziom świecić oczyma, dlaczego wyszedł na jasne słońce, pod błękit nieba z przytułku, gdzie chciał się ukryć, jak zwierz raniony, zapomnieć czem był, zapomnieć o tem, co czuł, co kochał niegdyś i doczekać ostatniej godziny, tylko jako numer 25.

Była to majowa niedziela, a maj tego roku był takim, jakim opiewają go poeci: jaśniał blaskiem wiosny, młodą zielenią rozwitych listków, tchnął wonią bzów kwitnących gdzieś w ogrodach, poza murami dziedzińców, dźwięczał śpiewem słowików, skowronków, świegotem szarego tłumu wróbli i dzieci, które pospołu przewracały się na ulicy, wyroiwszy się z ponurych domostw, a upojone tchnieniem wiosny, wyprawiały gonitwy, skoki i, kołysząc się na rachitycznych nożynach, wpadały pod stopy przechodniów, śmiejąc się, krzycząc z całej siły swych gardziołek. Jedno z nich tak silnie zatoczyło się na Łoziewicza, że starzec musiał się wesprzeć na kiju, by nie stracić równowagi. Za to malec upadł przed nim, jak długi.

Łoziewicz nie rozgniewał się, przywykł do potrącań, ale i nie uśmiechnął do dziecka, którego jasne oczy patrzały na niego przestraszone, gdy rumiana buzia krzywiła się do płaczu.

— Stasiu! Stasiu! — zawołała nagle kobieta, siedząca z boku na kupie kamieni.

Przypadła do dziecka, wzięła je na ręce i powtarzała, pieszcząc:

— Stasiu! Stasiu!

Stasiu! To imię wpadło w ucho Łoziewicza. Zwyczajne imię! Ale on nosił je także i nagle coś w nim zadrgało. Tak samo wołała na niego matka, gdy takiem ot małem chłopięciem bawił się w ogrodzie rodziców. Wspomnienia, zawsze odpędzane, powstały w nim tłumnie. Zdawało mu się, że słyszy głos tak słodki, iż sam dźwięk jego był pieszczotą. Matka stanęła mu w oczach jakby żywa, uśmiechnięta w różowej sukni, z książką w ręku, wśród fiołków, które rwał w trawie pełnemi garstkami i znosił na jej kolana. A ona powtarzała: „Jeszcze Stasiu, jeszcze.“ Czuł woń fiołków w pamięci, w uszach brzęczały mu pszczoły. Zlękniony, krzycząc, przybiegł do matki, a ona je odpędzała. I widział ją na tle zieleni z ręką białą, jak chustka, którą w niej trzymała. Obraz ten zarysował się w jego myśli z taką siłą, iż zdawało mu się, że go woń fiołków opływa, przenika jak powietrze, że brzęczą pszczoły, że powiewa i muska mu twarz biała chustka.

Boże! jakże daleko za nim zostały lata dziecięce i ich szczęście! Na co wspominać! Zawsze bronił się od pamiątek, by przy nich rzeczywistość nie wydała się czarniejszą jeszcze. Ale trudno, pamiątki wracają na przekór woli, obsiadają mózg i jak widma przesuwają się przed oczyma. Matkę stracił bardzo wcześnie. W myśli jego została zawsze piękną, młodą, w jasnych sukniach, ze splotami złocistych włosów. Później widział ją zapewne bladą i chorą, lecz nie spamiętał i wyobrazić sobie nie umiał.

Czoło jego, rozchmurzone na chwilę, zmroczyło się znowu, jednak coraz raźniej szedł pod górę. W duszy dźwięczało mu to dziecięce posłyszane imię, którem od tak dawna nikt na niego nie wołał, i powtarzał cicho bezzębnemi usty: Stasiu! Stasiu! Stasiu! z jakiemś dziwnem, nieznanem rozczuleniem.

Wychodząc na Nowy Świat, trafił na ludzką falę, strojną, gwarną. Każdy śpieszył, każdy chwytał urywki rozmów. Jakże on niegdyś lubił te niedzielne ranki, w których rzesze pracowników używały swobody. Należał do nich. On także spotykał się, witał, zapominał na chwilę trosk codziennych, tych trosk, towarzyszących mu wiernie przez wszystkie koleje życia.

Zbudziła się w nim jakaś wściekłość i szedł, roztrącając tłum. Nikt go nie zauważył, nikt się ku niemu nie zwrócił. Czy wymarli naraz ci wszyscy, z którymi stykał się w życiu? Ha! może tam i minęła go jaka twarz znana. Ale on mógł bezpiecznie, odziany nędzą swoją, przechodzić wśród ludzi, jakby miał na głowie czapkę niewidkę, o której mówią baśnie piastunek. Wszak był tylko numerem 25-ym.

Szedł dalej; kościół był pełny, on przecież wcisnął się w tłum, dobił do ściany i przysiadł na stopniach bocznego ołtarza, gdzieś w najciemniejszym zakącie. Kościół rozbrzmiewał śpiewami, szeptem modłów, głosem organów. On przez chwilę oddychał szybko, rozmarzony ruchem, powietrzem, gwarem. W duszę wlewały mu się uroczyste dźwięki, spływała woń kadzideł, a oczy przesuwały się machinalnie po świątyni, szukając przedmiotów, tyle razy widzianych.

Słońce torowało sobie drogę przez kolorowe szyby okien, barwiło tęczowemi farbami przyćmione złocenia ołtarzy, filary, obrazy, ozdoby, padało jak kwiaty na pochylone, nagie głowy mężczyzn, na stroje kobiece, tworząc jakieś dziwaczne mozaiki, a wśród tych blasków, w smugach świetlanych promieni, wirowały miriady pyłków, niby mistyczny korowód modłów, pragnień, porywów, wznoszących się w górę coraz wyżej, w błękit, w jasność.

Zwolna wygładzały się bruzdy czoła Łoziewicza, z twarzy znikał wyraz goryczy. Uroczysty nastrój świątyni działał na niego kojąco. Wzrok, sztywno utkwiony w przestrzeń, miękł, wilgnął. Tutaj młodzieniaszkiem chodził na mszę w szeregu szkolnym. I naraz zdało mu się, że tysiące zamierzchłych wspomnień, jak owady uśpione chłodem i cieniem, budziły się, powracały do niego ze wszystkich kątów, niby owe pyłki, widzialne tylko w słonecznym promieniu. Jakże on gorąco modlił się tutaj niegdyś, modlił z dziecięcą wiarą, o rozwiązanie trudnego zadania, o dobrą pamięć, dobry stopień, szczęśliwy egzamin, promocyę. A potem, potem ileż razy, przy jakiej życiowej trudności, rozmyślał nad nią w ciszy i spokoju, ważył postanowienia, badał sumienie albo też puszczał wodze marzeniom, gdy w młodej piersi budziły się nowe pragnienia, nowe siły i, jak te pyłki, parły się ku górze. Jakże dawno te wszystkie marzenia zostawił po za sobą. Błyszczały one tęczowemi barwami i gasły jedne po drugich jak sny niespełnione, niby owe jasne kolory malowanych szyb, niknące, gdy słońce z nich zejdzie. Ale był czas, kiedy żył temi marzeniami, kiedy one rozszerzały mu piersi, przyspieszały tętna krwi, dawały pojęcie szczęścia. Czy dziś, gdy mu ich zbrakło, miał żałować, że nawiedzały go niegdyś, jakby goście innego świata?

Ale te chwile nie minęły w duszy jego, bez śladu. Zamiast odpędzać, gonił je teraz w dalekiej przeszłości, odczuwał ich urok. Był znowu młodym, dzielnym, szlachetnym, jak wówczas, gdy, podnosząc dumnie czoło, mówił

każdem uderzeniem serca złemu losowi: Nie ustąpię.

Zatopił się w tych wspomnieniach tak bardzo, że nie zauważył, jak kościół cichł stopniowo. Naprzód umilkły organy, potem szum wychodzącego tłumu, wreszcie odgłos pojedyńczych kroków. Nie słyszał nawet brzęku kluczy kościelnego, który przypominał coraz głośniej, że nabożeństwo skończone, aż zniecierpliwiony próżnem brząkaniem, dotknął ramienia skulonego w kącie biedaka.

Łoziewicz podniósł głowę, jak ze snu zbudzony. Spojrzał wkoło — kościół był pusty i szary. Słońce od niego odeszło, wszystkie blaski zagasły. Podniósł się zwolna, przecierając oczy, jakby szukał tych mar, które otaczały go przed chwilą, z któremi było mu tak swojsko.

Kościelny rozśmiał się dobrodusznie. Albo raz ludzie zasypiają przy modlitwie. Szedł teraz za wychodzącym, a gdy starannie zamykał zamki i rygle, Łoziewicz patrzał na niego w milczeniu, jakby niepewny, w którą skierować się stronę. Rozpętana fala wspomnień poniosła go do wązkiej ulicy śródmieścia. Był tam dom jeden, a na najwyższem jego piętrze parę okien. Same stopy dawnem nawyknieniem niosły go w tę stronę. Ile razy zdarzało mu się nagle zatrzymać przed bramą i przypomnieć sobie, że już nie ma prawa tam wchodzić... Ale niechby chociaż w oknie dawnego mieszkania poruszyła się firanka... miałby złudzenie, że to czyni ręka ukochana... ta ręka zadała mu ranę najsroższą...

Nagle stanął jak wryty. Dom był ogrodzony wysokim parkanem, za parkanem wznosiło się rusztowanie, sterczały sztandary. Rzucił się na drugą stronę ulicy, spojrzał w górę i doznał takiego uczucia, jakby mu kto nagle serce w piersi obnażył. Trzecie piętro ukazało mu rozprute łono i rozwalone, zbrukane wnętrze tych pokojów, gdzie przeżył... mniejsza co, mniejsza jak... Okrążyły go wspomnienia lat dojrzałych.

Niewielkie, skromne pokoje, widzi je znowu. Ot perłowy salonik, błękitna sypialnia gdzie, po długich latach namiętnych pragnień, wprowadził jako żonę tę, którą ukochał. Oczy jego obiegały ściany, szukały jej... szukały tych sprzętów, co wśród nich stały, a choćby obrazka Najświętszej Panny Częstochowskiej. Zobaczył jedynie, pomiędzy perłową a błękitną ścianą, ogromną czarną ranę paleniska. Obraz takiego zniszczenia, takiej ruiny, jakiem było jego własne życie.

Porwało go dziecinne uczucie żalu. Więc nic nawet z tych miejsc, gdzie kochał, cierpiał, tracił, przeżył najsłodsze, najstraszniejsze chwile. Zdawało mu się że dotyka go cios ostateczny, a to obnażone wnętrze, przykuwało go tutaj. Z błyskawiczną szybkością jawiły mu się w myśli długie szeregi chwil przeżytych wśród tych obnażonych ścian. Widział ją, widział drobne postaci dziecięce, widział... wszystko, co minęło niepowrotnie.

Jak długo stał zapatrzony, nie umiał zdać sobie sprawy. Czuł tylko, że zbierały mu się w przygasłych oczach łzy i przysłoniły świat otaczający. A jednak nie czuł teraz tej bezmiernej goryczy, która przepełniała mu serce. Przyszło na niego ukojenie i spokój. Przeszłość ukazała mu się w innem oświetleniu, jakby dzień ten był dniem przełomu. W dniu tym otworzył swobodnie serce swoje wspomnieniom. Prawda, że życie jego było pasmem cierpień, zawodów, bólów, doprowadziło go do ostatecznej nędzy... Ale dochował wiary wierzeniom lat młodych, a wspomnienia jego były nieskażone. I zwolna poczęły rozpościerać mu się w sercu blaski, które przysłaniały wszystko inne i jaśniały coraz żywiej w miarę oddalenia i gasiły pamiątki chwil złych.

To były jego skarby. Nie mógł mu ich wydrzeć nikt i nic, nosił je w sobie, one były nim samym. Pochylone czoło jego podniosło się, nabrało pogody. Cóż ztąd, że był nędzarzem, przeszedł przez życie, nie uroniwszy nic z prawdziwych darów jego. Czuł, kochał, wierzył.

Walerya Marrene-Morzkowska.

Miłość.

Miłość to iskra, która w sercach ludzi
Śpiące uczucia nagle ze snu budzi,
Odsłania oczy, zakryte powłoką,
A myśli każe lecieć tam, wysoko,
Do nieśmiertelnej, nadziemskiej krainy,
Gdzie Bóg króluje wszechwładny, jedyny.
Miłość, to morze niebiańskich rozkoszy,
To ptak skrzydlaty, co łatwo się płoszy,
Lecz gdy raz w sercu obierze mieszkanie
To już na wieki w tem gnieździe zostanie.
Miłość to siła, która tam dosięga,
Gdzie żadna inna nie dojdzie potęga,
To czarodziejka: na której skinienie
Nawet z lodowców buchają płomienie;
Stara, jak wszechświat, a świeża młodością
Wciąż się powtarza i wciąż jest nowością:
To anioł biały, co człowieka strzeże,
Budzi w nim ducha i usypia zwierzę.
To dar czarowny, otrzymany z nieba,
To nieodzowna ludzkości potrzeba,
To całe niebo z gwiazdami złotemi,
To źródło szczęścia takiego na ziemi,
Że z Bogiem równa i stoły powszednie,
I takich cierpień, że aż piekło blednie.

Aleksander Mogilnicki.

Z puszczy Białowieskiej.

Napisał
Henryk Sienkiewicz.

(Ciąg dalszy).

Historyę tę opowiadał mnie i Glogerowi młody budnik, który nas woził do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska. Obecnie nie ma już prawie niedźwiedzi w puszczy, ale czytałem w swoim czasie, że żubr, zaczepiony przez niedźwiedzia, pokonywał go z łatwością. Za to trzy, a nawet dwa wilki, kładły po pewnym czasie najtęższego pojedynka, gdy bowiem jeden skakał mu przed łbem, drugi korzystał z czasu, by wyrwać mu dziurę w boku i wypuścić wnętrzności. Stąda jednak żubrowe nie obawiały się wilków, choćby po Matce Boskiej Gromnicznej, połączonych w gromady.

Żubr litewski nader podobny jest do amerykańskiego bizona. Różni się tylko od niego zewnętrznie mniejszą głową i mniejszą wyniosłością przodu Jest on także garbaty, ale nie do tego stopnia. Kudły na grzbiecie ma także mniejsze i nie tak obfite — za to jest dłuższy i silniejszy w zadzie. Pod względem wagi, zdaje mi się, że nasz Litwin nie ustępuje Amerykaninowi, ani go też nie przewyższa. Ustępuje tylko liczbą, bo gdy bizonów są jeszcze na wysokich i niskich stepach setki tysięcy — liczba żubrów nie przenosi sześciuset sztuk. Mnożą się one bardzo powoli, gdyż cielęta ssą bardzo długo. Trzyletnie ogromne byczysko musi klękać na przednie nogi, chcąc dostać się do wymienia matki, a jeszcze ją wysysa. Za rządów pruskich liczba tych zwierząt zmniejszyła się tak dalece, iż była obawa, że wyginą zupełnie.

Wówczas to z Białostockiego obwodu wpadały suchą granicą całe bandy kłusowników, które stawiały opór leśnikom i wybijały żubry niemal otwarcie. Przy gospodarstwie pruskiem nie byłyby zapewne takie nadużycia długo trwały, na razie jednak niepodobna było im zapobiedz. Później, w roku 1821, liczono już tylko 370 sztuk Raptowne to zmniejszenie wywołało surowe zakazy polowania. Do puszczy nie wolno było wjeżdżać z bronią, odjęto ją również i osacznikom; rozciągnięto nadzór nad samymi leśnikami, a kary za zabicie żubra były nader su-

rowe. To też w r. 1829 liczba żubrów sięgała już 800, choć zbyt ścisły zakaz polowania wywołał inne złe. Wilki mianowicie rozmnożyły się tak nadzwyczajnie, że w ciągu kilku lat pożarły kilkadziesiąt sztuk. Leśnicy nie śmieli chodzić po puszczy.

Jest dotąd tradycya, że wilki oblegały ich zimową porą nawet w chatach. Nocami ostępy brzmiały takiem wyciem, że całe wsie ogarniało przerażenie. Potem wydano leśnikom rozkaz wytępiania wilków, których liczba zmniejszyła się znacznie. Dziś są one rzadkością w puszczy i trzymają się tylko w części boru, zwanej Niezanowym Rogiem, który nawet w zimie, z powodu niezamarzających oparzelisk, jest prawie zupełnie niedostępny. Niewielka stosunkowo liczba dziś istniejących żubrów, da się wytłomaczyć po części złagodzeniem kary za zabijanie tych zwierząt, po części rozrastaniem się wsi. Jest ich w puszczy kilkanaście. Ludność wzrasta, osady rozszerzają się, ruch na drogach, wiodących przez ostępy, zwiększa się — nic więc dziwnego, że płochliwy zwierz cofa się w coraz głębsze uroczyska, nie czuje się swobodnym i nie mnoży się, jakby mógł, gdyby nic nie mąciło ciszy leśnej.

Chłopi obowiązani są stawiać zimą zebrane stogi z łomki i miodunki, ale stawiają je także w pobliżu wsi i dla swego bydła. Otóż żubry, zimą mniej płochliwe, częstokroć zachodzą i do wiejskich stogów. Wówczas cała wieś wypada, krzyczy, strzela na wiatr i płoszy zwierzęta, które potem i do stogów dla siebie przeznaczonych, zbliżają się z obawą, lub nie zbliżają się wcale, zadawalniając się trawą, wydobywaną rogami z pod śniegu i przymierając głodem. Prócz tego łudziłby się, ktoby sądził, że dziś nie ma już kłusowników i szkód między żubrami. Wiemy od miejscowych ludzi, że na chrzciny, wesela i tym podobne uroczystości, do dziś dnia zastawiają w chatach żubrze mięso. Od każdego też chłopa, zaskarbiwszy sobie jego ufność, można nabyć rogi lub skórę, każdy bowiem jest po trochu kłusownikiem. Latem trudniej im wyprawiać się na łowy, ale zimową porą, w czasie zawiei, gdy szum wiatru głuszy strzał, a śnieg zasypuje ślady, wyprawiają się w saneczkach na upatrzonego i z podobnych wypraw rzadko wracają bez łupu.

Słyszałem też o pewnym żydku, zamieszkującym daleko od puszczy, który sąsiadującemu z nim obywatelowi ofiarował się sprzedać żywe ciele żubrowe. Obywatel propozycyę odrzucił, świadczy ona jednak, że kłusownicy nie są mytami, a wyniszczanie przez nich żubrów nie stało się li tylko tradycyą. Osadzić w puszczy tylko leśników, przenieść z niej wsie gospodarskie i uczynić ją jednolitym borem — oto byłby środek, trudny wprawdzie, ale skuteczny do pomnożenia żubrów. Przekonanie zresztą, że nie mogą one żyć gdzieindziej, jak w puszczy Białowiejskiej, jest mylnem. Naprzód, kilkadziesiąt sztuk żyje w Swistockiej, oddzielonej od pierwszej Narwią — powtóre, mnożą się podobno na Szlązku u księcia de Pless, z kilku osobników, darowanych mu przed niedawnym czasem. Łączą się także z bydłem domowem i wydają dziwne potomstwo — potężne, z wysokim garbem nad przedniemi łopatkami, z szerokim łbem i bujnym zarostem czoła i brody. Póki małe, mieszańce owe są łaskawe i wesołe — z wiekiem stają się płochliwe, dziczeją i roztrącają swojskie bydło. Potomstwa dalej nie wydają, co dowodzi, że żubr jest odmiennym od naszego bydła gatunkiem.

Obliczanie żubrów odbywało się dawniej nader prostym sposobem. Cała puszcza była podzielona na dwanaście straży, które miały kształt trójkątów zbiegających się wierzchołkami we wsi Białowieża Nowa; podstawę zaś trójkątów stanowiły brzegi puszczy. Straże były następujące: Augustowska, Narewska, Browska, Hajnowska, Leśnianka, Starzyńska, Stołpowiska, Krakowska, Okolnicka, Świetliczańska, Pobielska i Dziadowlańska. Każda była pod zawiadywaniem starszego leśnika i dzieliła się na ostępy, nad którėmi czuwali młodsi leśnicy. Otóż gdy śniegi spadły, obliczano żubry w ten sposób, że każdy młodszy leśnik karbował na kiju wedle śladów wszystkie sztuki, które weszły do jego ostępu lub z niego wyszły. Te, które wyszły, powinny się były znaleść zakarbowane w sąsiednich ostępach, jako przybyłe.

Wieczorem składano wszystkie kije u nadleśnego i wówczas rachunek już był łatwy, bo żadna sztuka nie mogła być ani pominiętą, ani porachowaną dwa razy. Być może, że tego sposobu używają jeszcze i dzisiaj, o ile pozwala na niego nowy podział i nowe, odmienne gospodarstwo w puszczy.

Trafiliśmy właśnie na jakąś komisyę, która zabrała się do nader surowego obrachunku z miejscową administracyą. Ztąd złe humory i niepokój. Rzeczywiście, administracya tak olbrzymiego lasu nie jest łatwa, ale też bez zaprzeczenia ogromne skarby marnują się w puszczy. Sosny masztowe sprzedają się po pięćdziesiąt kopiejek — i dla trudności przewozu nikt ich kupować nie chce. Drogi wprawdzie są niezłe, ale nie ma szos, a choćby i były, zawsze przy handlu drzewem komunikacya lądowa jest trudną i niepożyteczną. Rzeki puszczańskie bywają spławne w czasie przyboru wody — mało jednak wychodzi drzewa i niemi. Tymczasem wychodzić powinno, byle użytkowano z niego rozumnie i tamowano nadużycia.

Mniemanie, że dla dobra lasu należy go zostawić nietkniętym, jest mylne. Przedewszystkiem należy go czysto utrzymywać — a jakże pod tym względem wygląda puszcza? Oto na ogromnych przestrzeniach, wszędzie niemal leżą zwały drzew. Stosy te, spróchniałe i gnijące, piętrzą się czasem na kilkanaście stóp wysoko. Nad niemi jeszcze sterczą, jak domy, olbrzymie wykroty. Stare drzewo, padając, wyrywa całą przestrzeń ziemi, którą obejmowały jego korzenie. W wyrwanem miejscu tworzy się dół, w którym zbiera się woda deszczowa. Dziwny i przerażający widok przedstawiają takie ostępy: grunt porwany, pełen zasadzek, pnie, wykroty i suche, powykręcane rozpaczliwie gałęzie, które pokrywa mech lub plugawa wilgoć, wypełniają całą przestrzeń; wśród chaosu drzewnego, prześwieca bagno — wszystko razem pomieszane, połamane, zniszczone, dzikie, zmarłe i gnijące — oto obraz. Nawet powietrze tam ciężkie, przesycone wonią próchna i zgnilizny.

Cisza! Słychać tylko kowanie dzięcioła, który wśród próchna znajduje łup obfity. Jestto ojczyzna skórników, gnieżdżą się one tu milionami. Ztąd przenoszą się na inne drzewa, toczą je, wysysają. Żubr i jeleń tu nie zachodzą, łoś tylko wyleguje się bezpiecznie w bagnisku.

Mimowoli przychodzą na pamięć słowa Mickiewicza:

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrze serca tajemnice.
Wieść tylko, albo bajka, wie, co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.

Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem;
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich niedośledzą:
(Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą)
Woda tych studni lśkni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa,
Grzejących się nad kotłem, w którym warzą trupa.
Za temi jeziorkami, już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.

Ile szkody przynoszą puszczy takie ostępy — łatwo zrozumieć. Dodajmy do tego, że każde ze starych drzew, padające, łamie i gniecie w upadku dziesięć młodszych, zdrowych jeszcze. W Niemczech nie pozwalają starym olbrzymom usychać i umierać na pniu — tu, miejscami, na całych morgach, nad młodym lasem wznosi się las sosen uschłych. Nic posępniejszego jak wrażenie, którego się tam doznaje. Na drzewach nie ma nietylko igieł, ale i kory. Są to nagie, olbrzymie szkielety, poczerniałe od wiatru i słońca. Całość wygląda, jak jaki cmentarz leśny. Należałoby takie trupy uprzątać, nim zostaną trupami — bo, powtarzam, są to zmarnowane skarby, które zamiast korzyści, szkodę jeszcze przynoszą. Wartoby dla ich spławu i koryta rzek uregulować. Zysk ze sprzedaży opłaciłby robotę, administracyę i przyniósłby jeszcze czysty dochód.

Dlaczego tak się nie dzieje, trudno wiedzieć. Może rąk brak, choć, gdy się pomyśli, ile jest wsi w puszczy, jaka łatwość robotnika — i to przypuszczenie nie zdaje się prawdopodobnem. Może komisya obecna niejasne dotąd przyczyny wyjaśni?

Czas schodził nam wieczorami na słuchaniu głosów jeleni — we dnie na wycieczkach i zabieraniu znajomości z ludem puszczańskim.

Jeździliśmy na wózkach budników do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska. Niebo dopisywało nam znakomicie, dnie były prawdziwie jesienne, blade, ale pogodne, tą smętną i chłodną pogodą jesieni, która zdaje się być ostatnim uśmiechem słońca przed zimą. Zabarwiony na czerwono liść, spływał milionami z drzew na ziemię, napełniając puszczę szeptem łagodnym. W tej całej leśnej naturze bywały chwile takiego spokoju, jakiego naprożno szukać po za nią. Wśród tego spokoju możnaby zapomnieć o wszystkiem, nawet o sobie samym; można rozmiłować się w tej puszczy, którą jesień maluje w barwy rozmaite.

W głębokich przestrzeniach leśnych grają zielone, żółte i czerwone odmiany liścia, oblane bladem światłem dnia. Ileż tam tonów, ile odcieni, ile stopniowań i łagodnych połączeń każdej barwy, a nad wszystko jakaś melancholia jesienna. Taką wzorzystą puszczę widzieliśmy szczególniej podczas wycieczki do Zamczyska, w ostępie tym bowiem klon, dąb, sosna i inne drzewa, rosną w pomieszaniu obok siebie. Ostęp zwie się zamczyskiem, gdyż niegdyś stał tam zamek. Ale naprożno pytać ludzi i kronik: kiedy to było. Dziś są to kupy ogromnych głazów, między któremi wyrastają stuletnie drzewa. Czasem laska, wetknięta między dwa głazy, zapada nagle jakby w jakieś podziemie; czasem grunt się ugnie pod nogą, czasem uwagę zwróci dół czworoboczny; ubramowany głazami — widoczne ślady budowy — ale nic więcej. Pod staremi drzewami szarzeje gęstwina umarłych dąbków i grabów, pokrytych srebrnym mchem. Tu rośnie także suche drzewko, dziwna roślina, która wydaje się uschłą, a jednak żyje i rośnie. Chłopi mówią, że niema jej nigdzie za puszczą, w puszczy zaś upodobała sobie szczególnie tę miejscowość.

Kto stawiał zamek? Może Jadźwingowie, może który z książąt litewskich? Są to tylko przypuszczenia. Wieki przeszły nad tą ruiną i dziesiąte pokolenie drzew na niej wyrasta. Tylko baśń, jak nić pajęcza, czepia się gruzów. Budnik, któremu nocą wypadnie przejeżdżać koło Zamczyska, przejeżdża szybko i żegna się. Mówią, „że gdy jest ciemno i ciepło, błędny ognik skacze z kamienia na kamień; mówią, że są tam podziemia. Leśniczy Tołścik, człowiek dość wykształcony, z zupełną wiarą zapewniał nas, że raz znaleziono pieniądze, ale że się w chwili, gdy ich dotknięto, zapadły. Budnicy wierzą w to święcie i ktoby dłużej pobył między nimi, tenby zapewne mógł zebrać sporą wiązkę podań, a może i pieśni, które, jak „arka przymierza" połączyły dawne lata z nowemi.

Na drodze do wsi Białowieży spotykasz się już nie z legendą, ale z tradycyą historyczną. Obok drogi wznosi się góra, zwana Batorowa. Każdy budnik opowie podróżnemu, że na szczycie jej zasiadł do uczty „bardzo mocny" król, który przedtem kilka dni w puszczy polował i nabił żubrów i niedźwiedzi co niemiara, a do tego oszczepem.

(Dokończenie nastąpi).

Nadto zamieszczać będziemy cały szereg przepięknych nowel, opowiadań, wspomnień z podróży i t. d. pióra naszych najznakomitszych współczesnych literatów; mianowicie drukować będziemy w daszym ciągu między innemi utwory *Henryka Sienkiewicza*. Po ukończeniu druku opisu puszczy Białowiezkiej p. t. „*Z puszczy Białowiezkiej*“, rozpoczniemy zamieszczać wspomnienie z podróży p. t. „*Walka byków w Hiszpanii.*“

Wiadomości.

— ***Baczność!*** *Celem skompletowania roczników „Pracy“ potrzebne są nam następujące kwartalniki:* ***3-ci i 4-y*** *z r.* ***1897-go*** *i* ***2-gi*** *z roku* ***1901-go.*** *Kto z grona Szanownych Czytelników te kwartalniki kompletne, czyste i nieuszkodzone posiada i ma zamiar je sprzedać, niech się zechce zgłosić do nas i jednocześnie podać cenę.*

— **Tuż pod Poznaniem przy Dębinie uroczo położona wioska szlachecka Minikowo** ca 600 mórg znakomitej ziemi, z pięknym nowo postawionym pałacykiem w prześlicznym cienistym parku, z okazałemi budynkami, z licznym inwentarzem i t. d. przeszła mocą kupna na własność domu bankowo-komisowego *Drwęski i Langner w Poznaniu.*

Minikowo uchodzi za jeden z najlepszych majątków całej okolicy i było już od niepamiętnych czasów zawsze w rękach niemieckich; ostatnim posiedzicielem przez lat 25 był p. Beyer, pozasłużbowy burmistrz i filar sekcyi hakatystycznej na powiat poznański.

Obecnie będzie Minikowo sprzedane w całości lub też w parcelach, lecz tylko rodakowi.

— **Złoty jubileusz kapłaństwa** obchodził dnia 19-go b. m. w mieście naszem ksiądz kanonik Maciej Krępeć, dzielny kapłan i patryota, który podczas walki kulturnej był prześladowany i więziony.

Dostojnemu Kapłanowi-Jubilatowi zasyłamy najserdeczniejsze życzenia: ad multos annos!

— **Jubileusz.** W ubiegłą niedzielę obchodził nestor obywatelstwa wielkopolskiego, p. Stanisław Kurnatowski z Pożarowa, 80-tą rocznicę urodzin. Na uroczystość tę zjechał do Pożarowa. Najprzewielebniejszy ks. Biskup Likowski i cała rodzina Jubilata.

Sędziwemu Jubilatowi zasyłamy najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności.

— **Slub.** W pięknie przyozdobionej w zieleń kaplicy różańcowej kościoła Podominikańskiego pobłogosławił dnia 17-go b. m. ksiądz prałat Stychel w asyście księży: radzcy Kłosa oraz Mayera i Bielawskiego, związek małżeński między panną Pauliną Krzyżanowską, córką pani Stefanii Krzyżanowskiej, właścicielki hurtownego składu żelaza, a panem dr. Kazimierzem Jarnatowskim, lekarzem - okulistą w Poznaniu. Członkowie Koła śpiewackiego wykonali wspaniałe „Veni Creator“ p. B. Dembińskiego.

— **Zakaz „Wianków.“** Prezydent tutejszej policyi zakazał w tym roku obchodu „Wianków“ na Warcie mimo najusilniejszych starań Towarzystwa „Gwiazda.“ Składki na ten cel zebrane przekazane będą na cele dobroczynne.

— **Kursa nowe** wszelkiej książkowości, stenografii, pisane maszyną i t. p. rozpoczną się w Poznaniu u p. F. Mellina, nauczyciela handlowości przy ulicy Szerokiej nr. 11. dnia 2-go lipca r. b.

— **Pensyonat** sióstr Marchlewskich w Zakopanem w willi Obiochtówce poleca pokoje z całodziennem utrzymaniem. Ceny przystępne, wzorowa usługa, doskonała kuchnia.

— **Znin.** Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. W. Małecki z Jaroszewa i J. Winkowski z Karnówka p. Nakło po 2 M., za pośrednictwem „Dziennika Kujawskiego" 6 M. 80 fen., J. Marmurowicz z Białośliwia 1 m., Z. Zalewska z Inowrocławia 10 M., T. Kulas z Drezna i Sulikowski z Pobiedzisk po 1 M., M. Szudziński z Wągrówca i M. Koczorowicz z Pobiedzisk po 3 M., R. Tylman z Szubina 2 M. — „Bóg zapłać!"

„Wielką zasługę ci ludzie mają.
„Co na kościoły chętnie składają."

X. Władysław Jasiński,
administrator.

— **Z Prus Zachodnich.** Dnia 15-go b. m. pobłogosławionym został w Boleszynie związek małżeński pomiędzy panem Franciszkiem Pilcekim a panną Władysławą Gradowską. Z staropolską gościnnością podejmowano gości nieomal przez 3 dni. Szczęść Boże młodej parze!

Jedna z uczestniczek.

Zmarli.

† Ś. p. *Kazimierz Kiesling* dnia 16 b. m. w Poznaniu w 21 roku życia.

† Ś. p. *Teresa Suchowiak z domu Metler* dnia 19-go b. m. w Buku w 66 roku życia.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Towarzystwo Przemysłowców w Borku** urządza w dzień śś. Piotra i Pawła dnia 29-go czerwca r. b. zabawę letnią, połączoną z przedstawieniem teatralnem, koncertem, grą fantową, grą dla dzieci i tańcami, w lesie p. barona Graevego w Skokówku. Odegranym będzie obrazek ludowy „Aby handel szedł." Początek koncertu o godz. 3 po poł. O liczny udział Szanownego Obywatelstwa z miasta i okolicy, również okolicznych gospodarzy uprzejmie zaprasza

Zarząd.

— **Związek** Towarzystw polsko-katolickich robotników w Niemczech urządza w niedzielę, 19-go lipca b., r. w lokalu p. Miedzińskiego w Berlinie przy Holzmarktstr. nr. 11 po południu o godz. 3 swe kwartalne zebranie delegatów, na co się zwraca szanownym związkowym Towarzystwom uwagę. Na porządek dzienny przyjdą pomiędzy innemi następujące ważne sprawy:

1. Sprawozdanie kasowe za II kwartał. 2. Komunikaty zarządu. 3. Utworzenie komisyi wykładowej. 4. Założenie funduszu wykładowego. 5. Kiedy i gdzie ma się odbyć pierwszy sejmik robotniczy? 6. Przyjęcie nowych Towarzystw: 1 Tow. św. Józefa w Bernbargu (Anhalt). 2. Tow. kat. robotników w Senftenbergu. 3. Tow. pol.-kat. „Jedność" w Magdeburgu S. 4. Tow. św. Cecylii w Berlinie. 5. Tow. kat. robotników polskich w Rüserdorfie. 6. Tow. p. św. Jana Nepomucyna w Magdeburgu. Wybór związkowego organu. 8. Wolne głosy.

Wyjaśnienie porządku dziennego. Punkt 3. Zarząd podaje myśl, żeby delegaci uchwalili założyć komisyą wykładową, która by odwiedzała pozamiejscowe słabe Tow. i im służyła wykładami. Punkt 4., aby w tym celu utworzyć fundusz, któryby pokrywał koszta podróży. Na posiedzenie to zapraszamy publicznie wszystkie Towarzystwa, chcące się przekonać o naszej działalności, a mianowicie Tow. katol. robotników w Charlottenburgu, Tow. robot. pod op. św. Józefa w Berlinie, Weissensee i Wilmersdorfie.

Zarząd.

Wiadomości literackie.

— **Dokąd się udać na wypoczynek letni? Do wód? na kuracyą?** Przewodnik po rodzimych zdrojowiskach, zakładach kąpielowych i przyrodoleczniczych, latowiskach itp, Berlin 1903. Nakładem Wydawnictwa „Przewodnika Zdrowia" (Czarnowski, Berlin, Karlstr. 32). Cena 25 fen. — 30 gr. — 15 kop.

O konieczności wydania powyższego „Przewodnika", zwłaszcza w obecnym czasie osławionego hakatyzmu, wywołującego coraz to większe naprężenie i rasową nienawiść, nie potrzeba się chyba rozwodzić. Podany tu najpierw ogólny pogląd na zdrojowiska i stacje kąpielowe i klimatyczne w Polsce, i to wedle trzech zaborów, opracowany na podstawie wykładu dra Fr. Chłapowskiego — następnie spis abecadłowy naszych uzdrowisk (balneografia krajowa), dalej odezwa dra J. Regieca z Krakowa p. t. „Precz z pruskiemi wodami" — nareszcie zamieszczone są ogłoszenia naszych zakładów kąpielowych. Książeczka ta powinna się znajdować conajmniej w ręku każdego wybierającego się „do wód" lub na wypoczynek letni.

— **Nr. 6-ty „Przewodnika zdrowia"** (Czarnowski, Berlin Karlstrasse 32) wyszedł i zawiera: Praktyczne rady dla udających się do kąpieli lub na wypoczynek letni. — Rukiew czyli Warzęcha lekarska (Nasturtium officinale) jako środek dla zdrowych i chorych (z ryciną). — Jeszcze nieco o leczeniu za pomocą słabych prądów elektrycznych (z 2 rycinami). — Przestrogi i rady. — Rozmaitości.

Od Redakcyi.

Pani B. K. w S. — Zbiór ładnych melodyi na fortepian nabyć można w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.

Panu M. Z. w W. — Myśl podniosła — ale forma nieudatna: nie do druku..

Panu D. G. w K. — „Kosztować" rządzi i 2-im i 4-ym przypadkiem, więc mówi i pisze się: „kosztował konfitur lub placka", „książka kosztowała 4 marki.

Zarządowi Towarzystwa Młodzieży polsko-katolickiej w Pleszewie. — Notatkę o zeszłoniedzielnej zabawie otrzymaliśmy za późno już po wydrukowaniu numeru na dzień 21-y b. m., dlatego zamieścić nie mogliśmy.

Panu Stanisławowi R. w Chełmnie. Nie! — Zapytaj się Pan w którejbądź większej księgarni w Poznaniu.

Tow. „Szkoły ludowej" w Karwinej (w Galicyi.) — Zgłoście się Panowie do p. Karola Rzepeckiego — Reclame — w Poznaniu, Piekary nr. 7.— Bäckerstr. 7.

— *Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.*

Redakcya i wydawnictwo
„PRACY."

Dział kobiecy.



Emancypacya Mahometanek.

W świecie mahometańskim zaczyna się objawiać ruch na rzecz wyzwolenia kobiet z niewoli dotychczasowej. Kassem Amin bej, radzca sądu apelacyjnego w Kairze, napisał niedawno w języku arabskim książkę, w której przemawia na korzyść kobiet, domagając się dla nich: nauki i wychowania; samodzielności w czynach, myślach i uczuciach; swobody w wyborze męża; ograniczenia prawa, jakie posiada mąż, mogący każdej chwili rozłączyć się z żoną, i przyznania takiegoż prawa żonie; formalnego postępowania rozwodowego; prawa zabraniającego poligamii. W uzasadnieniu tych żądań swoich autor przytacza, że niewoli Mahometanki nie należy bynajmniej przypisywać Prorokowi i Koranowi, lecz starym obyczajom i zwyczajom tych narodów, które najpierw mahometanizm przyjęły. Koran mówi wyraźnie: „Kobieta ma tyle też praw co obowiązków.“ „Jednem z dobrodziejstw, jakie Bóg wyświadczył mężczyźnie jest, że stworzył dlań kobietę i połączył ich, aby się wzajemnie kochali i popierali.“ „Pamiętajcie o uroczystych, żonom waszym danych przyrzeczeniach.“ Zasłanianie twarzy nie jest również przepisami Koranu nakazane, który zaleca tylko: „Powiedz też wiernym kobietom, (jak poprzednio mężczyznom), żeby oczy spuszczały, żyły uczciwie, a obcym pokazywały z postaci swojej tylko to, co jest widzialne.“ Otóż Ulemowie zgodzili się na to, że owo „widzialne“ to twarz i ręce; co do ramion, nóg panują zdania sprzeczne. Również odłączenie kobiety od mężczyzny w obcowaniu towarzyskiem nie jest bynajmniej przez Koran zastrzeżone; powstało ono tylko z dalszego rozszerzenia przepisu, nakazującego, aby małżonki Proroka nie pokazywały się odwiedzającym. Wiekowe przyzwyczajenie i despotyzm mahometański uczyniły z kobiety niewolnicę; może też wiek XX przyniesie jej nareszcie wyzwolenie.

Kobiety w Manili.

Amerykanie, powracający z wysp filipińskich, cuda opowiadają o mieszkankach Manili. Kobiety manilskie piękne są jak marzenie, mają przecudne, jak noc oczy, ciskające ognie z pod długorzęsych powiek, i olbrzymie do pięt spadające sploty kruczych, wpadających w błękit włosów. Włosy te są przedmiotem nadzwyczajnej pieczołowitości; kobiety z Manili myją je często mieszaniną z oliwy, soku cytrynowego i olejku z kwiatów, rosnących na wyspie Luzon. Codziennie rano najuboższsza kobieta manilska kupuje sobie kwiat i przystraja nim włosy na cały dzień. Najzamożniejsze nawet Manilki nie używają kapeluszy, noszą zato na głowie, obyczajem hiszpańskim, zarzutki koronkowe lub różnobarwne chusteczki jedwabne, udrapowane bardzo malowniczo. Pończoch prawie nie używają, na gołe zaś nóżki wsuwają ażurowe trzewiki, tkane złotem i srebrem. Wszystkie bez wyjątku, nawet dziewczynki 10-letnie, palą nietylko papierosy, ale wielkie cygara, co zaś najgorsza, żują betel, jakby jaki stary wilk morski. Obcinają jak najrzadziej paznokieć na wielkim palcu prawej ręki, im tęższy jest bowiem i dłuższy, tem lepiej grać im na ulubionym instrumencie, gitarze.

Pamiętniki ex-cesarzowej.

Cesarzowa Eugenia przygotowuje w ciszy i w zapomnieniu swe pamiętniki. Nie będą to jednak żadne „Kartki z życia,“ pełne sensacyjnych opowiadań, ale ścisłe, mówiące za siebie dokumenty historyczne, uklasyfikowane z pedanteryą uczoną, przygotowywane cierpliwie przez lat wiele. Cesarzowa zbierała wszelkie listy i dokumenty, które jeszcze za dobrych dni kazała wywozić do Londynu, gdzie spoczywają w kasach pierwszego banku w stu tomach, po tysiąc stron każdy. Smutny to dzisiaj cień wielkości dawnej cesarzowej. Oparta na czarnej lasce hebanowej z podpórką szyldkretową, czarno ubrana, z damą do towarzystwa, przejeżdża przez ulice Paryża nieznana nikomu, przez nikogo nie poznana z tych, którzy niegdyś do nóg się jej słali. Tylko raz w ogrodzie Tuileryjskim, jakiś stary strażnik zatrzymał się przed czarną damą, wyprostował i bez słowa oddał jej ukłon wojskowy. Czterech sekretarzy pracuje nad uporządkowaniem i zebraniem materyałów do pamiętników excesarzowej, które po śmierci jej przekazane będą pewnej instytucyi publicznej dla użytku powszechnego; nie zawierają nic takiego, co mogłoby obrazić kogoś z żyjących jeszcze dygnitarzy umarłego cesarstwa.

Kobieta-budowniczy.

Miasto Mediasz w Siedmiogrodzie na zasadzie konkursu, ogłoszonego na plany szpitala miejskiego; postanowiło oddać budowę pannie Euryce Paulas Szwajcarce, urodzonej w Zurychu, córce inżyniera. Od najmłodszych lat panna Euryka zdradzała zdolności do rysunków technicznych, aż wreszcie przed dwoma laty nie mówiąc nic nikomu, rozpoczęła studya nad budownictwem u jednego z budowniczych w Bistritz. Niespodzianką dla rodziny było, gdy młoda dziewczyna stanęła do egzaminu na majstra murarskiego, a następnie zwyciężyła na konkursie budowlanym w Mediasz.



Dział rolniczo-ekonomiczny.

„Dom Przemysłowy“ w Poznaniu.

Na nadzwyczajnem walnem zebraniu „Domu przemysłowego“, odbytem dnia 18 b. m., zdał w imieniu komisyi sanacyjnej, z 9 członków się składającej p. mecenas Rychłowski bardzo obszerne, treściwe i jasne sprawozdanie z rewizyi ksiąg, interesów spółki i rezultatów osągniętych ze strony wierzycieli, lokatorów i innych czynników spółki.

Komisya sanacyjna zaproponowała podwyższenie udziałów o 300 marek i dalsze utrzymanie spółki lub podwyższenie udziałów o 300 marek i sprzedaż domu Bankowi Przemysłowców za 850,000 marek z przejęciem urządzenia kawiarni za 20,000 marek.

Po długiej i wyczerpującej dyskusyi, w której udział brali pp. przewodniczący rady nadzorczej, dr. Pomorski, mecenas Cichowicz, Karol Rzepecki, dr. Krysiewicz, Ludwik Frankiewicz, dr. Celichowski i p. mecenas Seyda — uchwaliło walne zebranie 94 głosami przeciw 8 podwyższenie udziałów o 300 marek, również znaczną większością, bo przeszło $^3/_4$ obecnych członków, utrzymanie spółki.

Przyjęto proponowane zmiany ustaw i uchwalono większością $^3/_4$ obecnych członków ściągnięcie zaległych udziałów około 20,000 marek w ciągu czterech tygodni, nowo uchwalonych udziałów 300 marek w trzech ratach po 100 marek i to na 1 lipca, na 1 października br. i na 1 stycznia 1904 r.

Dalej uchwalono, że członek spółki wystąpić może dopiero za dwuletniem wypowiedzeniem.

Do rady nadzorczej wybrano pp. mecenasów Rychłowskiego i Seydę.

Na wniosek p. Fr. Stęczniewskiego wykrzyknęło walne zebranie p. mecenasowi Seydzie trzykrotnie „niech żyje!“ za jego piękne, przeszło półgodzinne przemówienie o konieczności i możliwości utrzymania spółki, bez straty dla członków i społeczeństwa polskiego.

Walne zebranie zakończyło się po godzinie 12, trwało więc przeszło $3^1/_2$ godziny.

Targ na wełnę w Poznaniu.

Teraźniejsze targi Poznańskie na wełnę nie są ani miniaturą słynnych ongi jarmarków na wełnę. Dawniej stawiano namioty do wełny i na placu Sapieżyńskim i na placu Działowym, gdzie się dziś wznosi pałac komenderującego generała, i na Wolnicy a w tym roku ustawiono jedyny namiot na placu Sapieżyńskim, gdyż na targ, który się odbył w dniach 15-go i 16-go bm. przywieziono mało wełny. Ogólny dowóz nie przewyższył 1500 centnarów. Producenci żądali za centnar do 20 marek więcej aniżeli w roku zeszłym.

Z tajemnic handlu.

O losach i cenach rozmaitych artykułów handlu robi jedno z pism angielskich bardzo interesujące uwagi. Wydaje się naprzykład niemożliwem, aby zegarki, których części składowe wyrabiają się w Szwajcaryi i w Niemczech, były w Anglii tańsze o wiele, niż w obu tych krajach.

Tak ma się rzecz z używanym bardzo w Anglii rodzajem budzików, które zamiast sprawiać nieznośny hałas dzwonieniem, grają jakąś piękną melodyę tak długo, dopóki śpiący nie obudzi się i nie zatrzyma grającego mechanizmu.

Każdy Anglik kupuje taki zegar za 7 marek 50 fenigów, podczas kiedy ten sam zegar w Niemczech i Szwajcaryi, gdzie wyrabiają się najważniejsze jego części składowe kosztuje przeszło 10 marek. W Ameryce naprzykład zegary te grające są o wiele droższe, niż w Chinach, gdzie znajdują ogromny popyt i rozpowszechnienie. Materyał więc i składowe części takich maszynek wędrują po całym świecie, zanim zmienią się w gotowy już do sprzedaży towar.

Modne obecnie portmonetki damskie ze skóry i z okuciami srebrnemi widziały z pewnością więcej świata, niż ich piękne właścicielki. Sreb ro bowiem używane do ozdób na owych portmonetkach, pochodzi z Ameryki, a przerabiane zostaje w Niemczech. Ztąd idą pojedyńcze kawałki metalowe do Anglii, gdzie je zaopatrują stemplem, zwanym „Hall-Mark,“ poczem znowu wracają do Niemiec, aby je tu przymocowywano do wyrobionych we Francyi lub Holandyi skórzanych portmonetek. Materyał na te ostatnie pochodzi z Brazylii lub Argentyny, skąd wysyłają go we wszystkich kierunkach, zanim znajdzie się w handlu.

W jaki sposób bywają przy tych podróżach towarów oszukiwani kupcy i publiczność, świadczy następujący fakt. Ogromna część wysyłanych z Chin, Japonii i Indyi materyi jedwabnych, które pojawiają się w handlu europejskim pod najrozmaitszemi egzotycznemi nazwami, jest poprostu śmiesznie tanim niemieckim wyrobem, który wysłany przez Londyn do Indyi, bywa tam zadrukowany w najfantystyczniejsze wzory, a następnie napowrót via Londyn do Europy odsyłany.

W ten sposób otrzymujemy ogromną część t. zw. „prawdziwie wschodnich“ materyi, za które płacimy grube sumy.

Notatki ekonomiczne.

Lasy w Rosyi, które zajmują ogromne przestrzenie, wskutek złych komunikacyi, braku wszelkiej organizacyi handlowej i t. p. przyczyn, dają dochody bardzo małe. W Rosyi Europejskiej (z Królestwem Polskiem, ale bez Finlandyi) lasy zajmują 164.7 mil. dziesięcin, co czyni 1.6 dzies. na głowę, gdy w Austryi przypada zaledwie 0.35 dzies., w Niemczech zaś i Francyi 0.22. Lasy są bardzo nierównomiernie podzielone. W Królestwie Polskiem przypada 0.26 dzies. na głowę, w gub. południowo-zachodnich 0.31, w litewskich 0.50, w białoruskich 0.81. Główne przestrzenie znajdują się w gub. północnych; użytkowanie ich jest jednak bardzo ograniczone, tak, że lasy skarbowe dają tu zaledwie 5.5 kopiejek dochodu rocznego z dziesięciny, gdy w guberniach nadwołżańskich 38 kop., w centralnych 258, w zachodnich 342 i w Królestwie Polskiem 524. W latach 1895—9 wartość wywozu materyałów drzewnych z Rosyi zagranicę wynosiła rocznie zaledwie 46 mil. rubli, gdy z Austryi 65 mil. rubli, ze Szwecyi 69, a nawet z małej Finlandyi 30. W całem państwie istnieje 25 towarzystw akcyjnych, zajmujących się handlem drzewnym i rozporządzających razem 17 mil. rub. kapitału. Z nich jednak 2 tylko rozwijają się pomyślnie, pozostałe zaś dają straty.

Dodatek Humorystyczny.

Nie wierz, dziewczyno....

Nie wierz, dziewczyno,
Gdy ci mężczyzna
Najczystszą miłość
Na wieki wyzna....

Nie wierz mu, nie wierz,
Bo choć zwycięski —
Strasznie nicpoty
Jest rodzaj męzki !...

Nie wierz mu zatem
Dziewczyno luba,
Bo gdy uwierzysz,
Czeka cię zguba!

Nie wierz mu wtedy,
Gdy na kolana
Przed tobą padnie
Ta płeć skalana

I słać ci będzie
Przysięgi słowa,
Bo w owej chwili
Fałsz w duszy chowa...

Nie wierz mu wtedy,
Gdy ci przed oczy
Nieznanych cudów
Kraje roztoczy,

Lub gdy przed tobą
Dziewczyno złota
Mężnie otworzy
Sezamu wrota...

Nie wierz mu nawet,
Kiedy przed tobą
Z rozterką uczuć,
Z serca żałobą

Stanie — jak Paryas —
W życia pomroce,
I łzy mu z oczu
Spłyną sieroce....

Nie wierz mu wtedy,
Piękna dziewczyno,
Gdy cię powiedzie
W dal świata siną,

Kędy rzeźwiące
Życia potoki
Płyną i dziwne
Świata uroki

Ku twojej duszy
Wejdą zbolałej,
A kwiaty u nóg
Będą się słały...

Nie wierz mężczyźnie
Nigdy, dziewczyno!
(Ach, kiedyż oni
Wreszcie zaginą?!)

To ród szkaradny
W swych czynów kramie!
W mowie i w sercu
Wciąż tylko kłamie!

A więc mężczyźnie
Nie wierz, dziewczyno,
Choćby cię swoją
Nazwał jedyną,

Choćby oddawał
Ci czułe serce
I słał pod stopy
Kwietnie kobierce!

Choćby przysięgał,
Że mu bez ciebie
Będzie to życie
Jak noc w Erebie,

I choćby twoje
Spełniał zachcenia,
Wszystkie kaprysy,
Wszystkie marzenia,

Choćby się tarzał
Dla ciebie w prochu,
Choćby kwitował
Z dumy potrochu,

Choćby, jak Ikar,
Sięgał do nieba,
I w oczach świetlne
Miał blaski Feba,

Choćby dla ciebie
Pruł fale morza
I wzbijał głową
Ponad przestworza,

Choćby nurtował
W przepastnej fali,
Szukając dla cię
Pereł, korali,

Choćby przez wielkie
Pustynne lądy
Wiódł objuczone
Dla cię wielbłądy,

I choćby dla cię
Struł się strychniną,
Jeszcze mu wtedy
Nie wierz, dziewczyno...

Humorysta „Pracy.“

Przekonany.

— Słuchaj Wojtek! Czemu ty się z Kaśką nie chcesz żenić?

— Kiedy ona nie ma nic.

— Głupiś! jak się z nią ożenisz, to ona ciebie będzie miała.

— A juścić prawda, to się z nią i ożenię.

Na ulicy,

— Bądź zdrów, kolego! Wyjeżdzam!

— A to dokąd?

— Do Zakopanego!

— Sam!

— Nie — z dwoma kwitami lombardowemi.

W teatrzyku.

W jednym z teatrzyków ogródkowych, na przedstawieniu farsy, o której wszystkie pisma doniosły, że jest wielce „ucieszną“, pan Skąpski zanosi się... od płaczu.

— A ty czego tak płaczesz? — zapytuje go znajomy.

— Po stracie talara za bilet do krzeseł.

Kuba polityk.

— Sluchaj, hlopa, ty śpsiedaj mi tego świnia!

— A, kiej nie chcę! — odpowiada Kuba.

— A to dla sziego?

— A bo byś jum menczył, żeby ci po miemiecku kwicała!

Między lekarzami.

Dr. A. Ale też kolega miał pecha wczoraj przy consilium. Chory akurat umarł w chwili, gdy kolega zaopiniował, że mu nic nie brakuje.

Dr. B. Przepraszam, ja się wcale nie omyliłem, tylko nie miałem czasu skończyć zdania: chciałem dodać, iż pacyentowi nic nie brakuje do śmierci.

Na wykładach kulinarnych.

— Dowcipnicka, w jakich naczyniach najlepiej konserwuje się kapusta?

— W ludzkich głowach, proszę pani.

Strachy dla dorosłych.

— Proszę państwa, niech się państwo schowają, bo idzie — agent od maszyn do szycia!

Dlaczego?

— Gzela, cy ty nie wieś locego to, jak państwo idom na spacer, to pan paniom za rękę trzyma?

— A bo widzis, boi się, zeby mu casem nie uciekła.

Dział powieściowy.

(Przedruk wzbroniony).

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść ilustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

1)

ROZDZIAŁ I.

O północy.

— Walenty! Nareszcie! Ach, ty nie wiesz, jakie ja tu męki znosiłem!

— Tak, panie hrabio, jestem, ale.....

— Wielki Boże, czy przynosisz mi złe wiadomości? Cóż to drżysz.....

— Ach panie hrabio, wiadomości, jakie przynoszę, nie mogą być gorsze! Pan hrabia jesteś zupełnie zrujnowanym!

Hrabia Henryk Orszański upadł na kanapę i zasłonił twarz rękami. W przepysznie umeblowanej sali jadalnej, w której stół już był nakryty, głębokie teraz zapanowało milczenie.

— Więc żaden z moich przyjaciół, do których cię posłałem z listami, nie chce mi pomódz? — odezwał się po chwili hrabia Henryk. — A przecież chodzi tylko o sto tysięcy guldenów! Suma ta była dawniej dla mnie niczem!

— Tak panie hrabio, dawniej, dawniej! Ale nie dziś.... gdy się idzie do przyjaciół o pożyczenie pieniędzy, to nikogo nie ma w domu. Barona Filipa Gruningen zastałem wprawdzie, ale gdy przeczytał list pana hrabiego, rozgniewał się okropnie. — Co — krzyknął — twój pan chce pieniędzy? Gdzie podział te pięć miljonów, które odziedziczył po ojcu? Czy rzeczywiście dokazał tej sztuki, że je w przeciągu pięciu lat zmarnował? Ach, ten bezczelny człowiek!

Henryk zadrżał; pięści jego zacisnęły się mimowoli, a oczy złowrogim zapałały blaskiem, ale zaraz zapanował nad sobą.

— Pięć miljonów w pięciu latach — na to trzeba istotnie być łotrem! Gruningen ma słuszność — szepnął z gorzkim uśmiechem.

— Ale ja mu na to odpowiedziałem — mówił Walenty dalej — że gdy mój pan majątek ten dostał, miał lat ośmnaście, że nie znał życia— i że — jeżeli miljony te za okno wyrzucił ,to on sam najmniej z nich użył. Fałszywi przyjaciele zabierali mu,, co się dało, pochlebcy opanowali go zupełnie, a mój pan był zawsze tak hojny i dobry....

W tejże chwili rozległ się przed pałacem turkot powozów. Henryk pospieszył do okna.

— Goście zajeżdżają — rzekł — moi goście! Otóż Cezaryna Malten jak zawsze cudownie piękna! Nie dziw, że Wiedeńczycy uwielbiają tę śpiewaczkę. Ach, Walenty — zawołał nagle żywo — mam wyborną myśl — jestem ocalony! Cezaryna posiada ogromny majątek, ona mi te 100,000 pożyczy! I będę je mógł dziś o północy zapłacić i honor mój uratowany! Wszakże przysięgała mi tak często, że mnie kocha!

— Przysięgi kobiety — szepnął Walenty pogardliwie, wychodząc z salonu na przyjęcie gości.

Hrabia Henryk Orszański zbliżył się do zwierciadła, umieszczonego pomiędzy palmami i starał się przywołać wesoły uśmiech na swoją bladą twarz. Nagle cofnął się i krzyknął głośno. Czy zmysły stracił? Wszakże nie siebie ujrzał w lustrze — nie — to był ów stary, kulawy żebrak, który od kilku lat nieustannie za nim chodził. I teraz stał pomiędzy drzewkami i kwiatami, a Henryk nie mógł pojąć, jakim sposobem mógł ten żebrak w łachmanach dostać się nie tylko do jego pałacu, ale nawet do sali jadalnej!

— Czego chcesz? — krzyknął rozgniewany — ty szary duchu, czemu ścigasz mnie wszędzie?

— Jesteś bardzo bogatym — odrzekł żebrak spokojnie — daj mi trochę złota! Zlituj się daj mi....

— Obdarzyłem cię już ze sto razy — szepnął Henryk drżącym głosem, a ty jednak twoich łachmanów nie zdejmujesz! Kto jesteś? Zkąd przychodzisz, czemu mnie ciągle prześladujesz twoją obecnością?

— Daj mi hrabio trochę złota! Wtedy ci powiem wszystko!

Henryk wyjął portmonetkę z kieszeni, otworzył ją i ujrzał w niej trzy dukaty — ostatnie! Nie namyślając się długo, wziął dwa i podał je żebrakowi.

— Masz, ty nienasycony duchu — rzekł, usiłując żartować — masz złoto, którego serce twoje tak pragnie! Teraz jesteś bogatszym, niż ja. Powiedz mi więc, dla kogo gromadzisz skarby?

Żebrak podniósł głowę, spojrzał z litością na Henryka i rzekł uroczyście:

— Dla kogo zbieram skarby? Dowiesz się panie hrabio dziś o północy!

Henryk zdumiał. Czyżby ten żebrak wiedział, że on dziś o dwunastej godzinie w nocy ma zapłacić dług honorowy? I już chciał go o to zapytać, gdy spostrzegł, że jest sam w salonie. Żebrak zniknął, jak gdyby się w ziemię był zapadł.

Wtedy spojrzał jeszcze raz w lustro, otarł spocone czoło i udał się do swych gości. Ale schodząc ze schodów zdawało mu się, że żebrak ów idzie obok niego, i że w chwili, w której go ujrzał w lustrze, widział siebie samego w niedalekiej przyszłości.....

W wielkiej sali na dole zgromadziło się tymczasem całe zaproszone towarzystwo. Byli tam hrabiowie, książęta, bankierzy, artystki, aktorki, jednem słowem wszyscy, którzy należeli do wytwornego i wesołego świata w Wiedniu. Najpiękniejszą jednak ze wszystkich była czarnowłosa i czarnooka śpiewaczka, Cezaryna Malten. Ubrana w jasno zieloną adamaszkową suknią, opierała się z wdziękiem królowej o złoconą poręcz fotelu i patrzała z uśmiechem na stojącego obok niej mężczyznę. Kosztowne rzędy pereł otaczały jej szyję, rywalizując z blaskiem białoróżowej, niemalowanej twarzy. Piękną była Cezaryna w całem znaczeniu tego słowa.

Stojący obok niej mężczyzna był młody, chudy ale niezmiernie silny, twarz jego o rysach ostrych przypominała nieco drapieżnego ptaka, na piersiach zaś wisiał cały rząd wysokich orderów.

Pochylony teraz ku pięknej śpiewaczce szeptał jej coś do ucha — nie musiało to jednak być coś przyjemnego, bo Cezaryna zbladła i przestała się uśmiechać.

— To być nie może, — zawołała żywo, — nie wierzę tego, baronie Bondi! Mylisz się pan!

— Hrabia Henryk Orszański jest zrujnowany, — powtórzył baron jeszcze ciszej ale stanowczo. — Szalone

marnotrawstwo pochłonęło w niespełna pięciu latach ogromny majątek, jaki mu ojciec zostawił. Wiesz pani przecież, że jestem tak zwaną prawą ręką prezydenta policyi, jego sekretarzem, a w tajnym gabinecie policyi ściągają się wszystkie nici całego miasta! My wszystko wiemy, piękna Cezaryno, wszystko!

— Doprawdy? — rzekła Cezaryna, patrząc przenikliwie w oczy barona.

— Doprawdy, — odparł Bondi szorstko. — Wiemy wszystko, ale potrafimy nieraz też coś ukryć, mianowicie, jeżeli chodzi o to, aby nie sprawić przykrości tym, których kochamy!

Na te sowa podała Cezaryna baronowi rękę, i pozwoliła ją gorąco ucałować.

— Zrozumiałaś mnie pani, — szepnął, — dziękuję i za to! Od tej chwili należymy do siebie!

Piękne czoło śpiewaczki zmarszczyło się niechętnie, zacisnęła jednak silnie usta i milczała. Wolała nie wymówić słów, jakie jej się mimowoli nasuwały.

— Witam moich szanownych gości, — zawołał teraz Henryk swobodnie, wchodząc do salonu. — Witam i przepraszam, że się trochę spóźniłem... Proszę do stołu...

Mówiąc to, zbliżył się do Cezaryny, podał jej ramię, przy dźwiękach ukrytej muzyki udało się całe towarzystwo na górę do sali jadalnej. Henryk prowadził Cezarynę, królową dzisiejszej zabawy, a piękna dziewczyna patrzała badawczo na niego, jak gdyby chciała z twarzy jego wyczytać, czy Bondi prawdę mówił.

Ale nie, to było wprost niemożliwem, ów piękny, wytworny hrabia Henryk, właściciel tego wspaniale urządzonego pałacu nie mógł być żebrakiem!

Przy kolacyi wielka panowała wesołość. Wyborne potrawy podawane na srebrnych ciężkich półmiskach, stare wina, błyszczące w kosztownych kryształowych puharach, świetne towarzystwo — wszystko to podniecało humory i pobudzało do wesołości.

I mało kto może zauważył, że wśród tej wesołości, swobody i blasku stawał się Henryk coraz poważniejszym, więcej zamyślonym, małomównym, i nawet bliskość zachwycającej Cezaryny nie zdołała go ożywić.

— O północy!

Słowo to brzmiało nieustannie w jego ustach, jak gdyby mu je duch jakiś ciągle powtarzał. Ach, jak chętnie chciałby o niem zapomnieć, jak chętnie chciałby się weselić z wesołymi! Do północy miał jeszcze dwie godziny czasu — trzeba na końcu użyć jeszcze trochę świata....

— Walenty — rzekł do swego wiernego sługi, stojącego za jego krzesłem — podaj mi nasz stary, złoty rodzinny puhar i napełnij go winem!

Walenty wykonał natychmiast ten rozkaz, a Henryk ująwszy odwieczną po przodkach swych pamiątkę, wstał i rzekł:

— Przyjaciele drodzy! Miałem niedawno przykry sen! Śniło mi się, że przyjaźń i miłość znikły ze świata i nikt nie mógł ich już znaleść. Ale ja, patrząc na was, wiem, że... Boże! — krzyknął, blednąc, — kto to zrobił?

I złoty puhar, pełen wina, wypadł mu z ręki.

Na puharze, tam, gdzie było dotąd imie i nazwisko jednego z przodków wyryte, znajdowało się tylko jedno słowo: „O północy!“

Henryk był tak przerażony, że zapominając o gościach, zerwał się i uciekł do przyległego małego saloniku.

Cezaryna poszła za nim.

W chwili, gdy kładła rękę na klamce, zbliżył się do niej Bondi i szepnął:

— On panią błagać będzie o ratunek, ale nie daj się namówić do pożyczenia mu pieniędzy! Jego przeznaczeniem jest — zmarnieć zupełnie, i żadna siła ludzka nie powstrzyma go od tego.

Minutę później znajdowała się Cezaryna sam na sam z Henrykiem w małym, zacisznym saloniku. Henryk zamknął drzwi i spojrzał na młodą dziewczynę, stojącą spokojnie na środku pokoju, pod różową lampą, rzucającą łagodne światło na prześliczną jej postać.

— Cezaryno — szepnął ochrypłym głosem, po raz pierwszy w mem życiu zamierzam wymówić prośbę! Ty jedna możesz ją wypełnić!

— I o cóż to chodzi? — zapytała śpiewaczka z pozorną obojętnością.

— Wiem — zaczął Henryk spuszczając oczy — że jesteś bardzo bogatą — nieraz przysięgałaś mi, że uczyniłabyś wszystko dla mnie.... chwila ta nadeszła teraz, chwila, w której możesz mi donieść, że mnie kochasz.... Ach, Cezeryno, ratuj mnie! Na kilka dni tylko potrzeba mi 100,000 guldenów — muszę je mieć — dziś jeszcze, inaczej tracę honor i — życie! Mój wierzyciel jest nieubłagany..... Całe życie będę ci wdzięcznym.....

Henryk mówił szybko, ale bez związku, jak gdyby nie wiedział, co mówi i teraz nareszcie spojrzał na Cezarynę.

W salonie zapanowało milczenie. Śpiewaczka stała nieruchoma, a oczy jej dziwnym płonęły blaskiem.

— Nie potrzebuję gotówki — odezwał się znowu Henryk — twoje perły wystarczą mi aż nadto. Jakże szczęśliwym byłem wówczas, gdy ci je mogłem ofiarować! Perły te kosztowały 200,000 guldenów! Daj mi twój naszyjnik Cezaryno! Przysięgam ci, że nie spocznę wpierw, zanim ci go nie zwrócę. Chociażbym miał pracować w pocie czoła od rana do wieczora — przysięgam ci — perły te otrzymasz znowu wkrótce!

I Henryk wyciągnął ręce po kosztowne perły.

Ale Cezaryna cofnęła się żywo.

— Nie, hrabio Orszański, — rzekła z szyderczym uśmiechem, — nie jestem bynajmniej przyzwyczajoną do tego, aby oddawać podarunki, które raczyłam przyjąć. Tak zresztą nie postępuje człowiek honorowy, tylko!.....

— Milcz! — krzyknął Henryk, — albo będzie to ostatnie słowo, jakie wymówisz!

Twarz jego trupią pokryła się bladością, a spojrzenie tak dzikiem się stało, że Cezaryna przestraszona, cofnęła się mimowoli. I już zamierzała wyjść z salonu, gdy Henryk jednym skokiem stanął przy drzwiach.

— Poczekaj, nie tak prędko ,— zawołał, śmiejąc się głośno, — muszę ci jeszcze kilka słów powiedzieć. Nie obawiaj się, nie wezmę ci twych pereł — wrócisz z niemi do domu! Tak jak one są błyszczące i zimne, tak i twoje serce jest zimnem, ty podła kobieto! Gdzie się podziały twoje przysięgi miłości? Ach, jesteś nietylko na scenie, ale i w życiu komedyjantką! Ja gardzę tobą!

A otworzywszy szeroko drzwi, wyciągnął rękę i dodał:

— Precz!

Potem był sam. Wyraz twarzy jego był okropny, wyglądał jak umierający lub obłąkany.

Nagle otworzono cicho drzwi i głowa wiernego Walentego ukazała się.

— Jaśnie panie! Wszyscy goście odjeżdżają...... jak gdyby uciekali......

— Niech idą! Ja ich zatrzymywać nie myślę!

— Ach panie hrabio, — zawołał Walenty, wchodząc do salonu, — na miłość Bozką, niech tylko pan hrabia nie uczyni czegoś takiego, coby nas wszystkich żałobą.....

— Daj mi pokój, — przerwał Henryk niecierpliwie, ja wiem, co robię. Jutro będziemy się znowu śmiać, Walenty, jutro! Ale teraz idź już.....

— A jeżeli ten nędznik przyjdzie z swoim wekslem, co mu powiedzieć?

Henryk zamyślił się.

— Powiedz mu, — rzekł cicho, — że wyjechałem w daleką, bardzo daleką podróż.... tem się on musi zadowolić. Idź teraz, dobra noc — staraj się, aby mi nikt nie przeszkadzał — jestem strasznie zmęczony!

Po tych słowach wyszedł i zamknął drzwi.

—Boże, — szepnął Walenty, — to tak, jak gdyby kto zamknął wieko trumny.

Henryk tymczasem udał się do swej sypialni wyjął z szafy szkatułkę z hebanowego drzewa, okutą w srebro, i postawił ją na stole. Nie trudno się domyśleć, co w niej było.

Potem nacisnął sprężynę, wieko podniosło się, i na czerwonym aksamicie można było widzieć dwa małe pistolety. Henryk przekonał się, że obydwa nabite, a wziąwszy jeden z nich, poszedł do lustra i podniósł rękę.

— Takim jest koniec marnotrawcy, — szepnął ponuro. — Jeszcze pięć minut do dwunastej, poczekam więc — z uderzeniem północy wszystko się skończy!

Z pistoletem w ręku zbliżył się teraz do okna i bezmyślnie patrzał na ulicę. Śnieg przestał padać, niebo było pogodne a miliony gwiazd jaśniało na ciemnym firmamencie i zsyłało na ziemię swe srebrne światło. Tam, po drugiej stronie ulicy, małe stały domki i biedni w nich mieszkali ludzie. Nieiden może rzemieślnik pracował jeszcze

w pocie czoła o tej porze, niejedna matka myślała może z rozpaczą, co jutro da dzieciom swoim na śniadanie! Z jednej strony wspaniały pałac i zbytki, z drugiej bieda i niedostatek! Front pałacu wychodził na piękne promenady, boczne zaś jego skrzydła na wązkie i ciasne uliczki.

— Szczęśliwi ludzie, — szepnął Henryk, patrząc na małe, słabo oświecone okienka. — Wzrośliście w troskach i kłopotach, i troski zawsze wam towarzyszą! Macie tak mało z życia, ale macie przynajmniej prawo żyć, podczas kiedy ja umrzeć muszę, w dwudziestym trzecim roku! Jestem nędznym marnotrawcą, ludzie gardzą mną. Pięcioma milionami nie mogłem sobie kupić prawdziwego przyjaciela — nikt mnie nie kocha! A teraz stoję tu i wiem, że gdy skazówki zegara złączą się na dwunastej — ja żyć przestanę......

W tejże chwili jednak pochylił się szybko i otworzył okno. Przed jednym z małych domków stanęła jakaś postać kobieca i równocześnie dał się słyszeć cichy, słodki śpiew......

Henryk słuchał, nie oddychając prawie, a w oczach jego stanęły łzy.

Prześliczny głos brzmiał w cichej nocy, jak srebrny dzwonek, słowa zaś pieśni wzruszyły do głębi nieszczęśliwego młodzieńca, pragnącego umrzeć.

„Kto się w opiekę odda Panu swemu,
„A całem sercem szczerze ufa Jemu,
„Śmiele rzec może; mam obrońcę Boga
„Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga....“

Głuchy dźwięk rozległ się w pokoju, pistolet wypadł z ręki Henryka, który oparłszy się o ścianę, głośnym wybuchnął płaczem. I płakał tak gorżko swego zmarnowanego życia, jak gdyby temi łzami pragnął był zmazać wszystkie swoje winy, i w tej może chwili przesunęła mu się myśl, czy nie mógłby raz jeszcze rozpocząć nowego życia lepszego, użyteczniejszego.....

A pieśń na dole brzmiała dalej:

„Stateczność Jego tarcz i puklerz mocny
„Za którym stojąc, na żaden strach nocny
„Na żadną trwogę ani dbaj, na strzały
„Któremi sieje przygoda w dzień biały!“

Henryk spojrzał znowu na ulicę i ujrzał teraz wyraźnie wysoką i młodą dziewczynę, ubraną bardzo skromnie. Jasne włosy spadały jej na ramiona, a promienie księżyca oświecały twarz bardzo piękną i smutną.

— Ocaliłaś mnie od śmierci, — pomyślał, — i więcej jeszcze, bo od śmiertelnego grzechu!

Młoda dziewczyna otworzyła drzwi domu, weszła do sieni i kilka minut później stanęła również przy oknie. Ale zaledwie spostrzegła Henryka, spuściła firankę i znikła. Na zegarach miejskich wybiła teraz północ.

Henryk podniósł pistolet i właśnie zamierzał go do szkatułki schować, gdy nagle dały się słyszeć silne uderzenia we drzwi i głos Walentego.

— Panie hrabio! Jaśnie panie, — wołał wierny sługa, — proszę otworzyć, mam nadzwyczajną wiadomość....

Henryk przekręcił klucz i Walenty z listem jakimś stanął na progu.

— Jaśnie panie, — rzekł zadyszany — list ten oddał mi właśnie jakiś nieznajomy i kazał natychmiast wręczyć go jaśnie panu! Ma tam być jakaś bardzo dobra nowina, i.....

Dalsze słowa zamarły mu na ustach na widok otwartej szkatułki z pistoletami.

Henryk tymczasem zbliżył się do stołu na którym zapalona stała świeca, i otworzył list. Z koperty wypadł mu przedarty weksel — jego własny weksel na 100,000 guldenów, płatny dziś o północy! Oprócz tego znajdowała się tam jeszcze kartka z następującemi słowami:

„Złoto, które mi szczodrą dawałeś ręką, dołożyłem do moich pieniędzy, aby ratować przynajmniej twój honor, biedny marnotrawco! Naucz się gardzić ludźmi i ufaj zawsze Bogu!“

„Tajemniczy żebrak.“

Henryk czytał raz jeden i drugi, jak gdyby własnym nie dowierzał oczom. Potem schował kartkę i rzekł z głębokiem westchnieniem ulgi do Walentego:

— Już dobrze, mój chłopcze, nie potrzebujesz się o mnie obawiać.

— Ach, — odpowiedział służący, — ja wiedziałem, że tak dobrego pana Bóg nie opuści!

— Bóg? Tak, masz słuszność, zostałem ocalony w prawdziwie cudowny sposób. Powiedz mi tylko jeszcze — czy słyszałeś ten śpiew przed chwilą — na ulicy?

— Naturalnie, jaśnie panie, aż mi łzy w oczach stanęły!

— Śpiewaczką jest młoda dziewczyna, która znajduje się obecnie tam, w tym domku. Widziałem ją najpierw stojącą przed drzwiami, a potem przy oknie.

— Tak jest — ona tam mieszka!

— Ah, więc ty ją znasz?

— Tak, jaśnie panie. Nazywa się Teresa Krones i śpiewa na ulicach miasta.

ROZDZIAŁ II.

Z ciemności do światła.

— Matko, droga matko — przemów do mnie słowo! Cierpisz bardzo? Ach ja się tak boję, gdy tak leżysz bez ruchu!

— Niedługo będę jeszcze spokojniej leżała, moje dziecko, — odrzekła chora kobieta w małej izdebce na poddaszu.

— Podaj mi twoją rękę, Tereniu, gd ypatrzę w twoje oczy i gdy słyszę głos twój, to mi zaraz lepiej.

— Ach, matko, — szepnęła młoda dziewczyna klękając przy łóżku, i przyciskając zwiędłe ręce matki do serca, — mam nadzieję, że doktor wnet przyjdzie. Byłam przecież u niego i chociaż go nie widziałam, to służący powiedział mi, że on wkrótce tu będzie.

— Ja ci już długo ciężarem nie będę, Tereniu, — szeptała chora drżącym głosem. — I cieszę się z tego. Bo całe moje życie było smutnem i gorżkiem. Ani twój ojciec, ani ja nie mieliśmy szczęścia. A przecież on był zręcznym i uczciwym rzemieślnikiem i ja też pilnie pracowałam... Twój ojciec umarł wcześnie i zostawił ciebie i mnie w nędzy!

Teresa pochyliła jasną główkę, aby ukryć gorące łzy, i ucałowała milcząc, ręce matki.

— Ale nie — zaczęła znowu pani Krones — nie mogę i nie chcę być niewdzięczną względem Boga. Bo o ile mi wziął szczęścia, o ile na mnie smutku zsyłał, o tyle wynagrodził mi wszystko, dając mi ciebie. Ty Tereniu jesteś najlepszą córką w świecie, najwięcej poświęcającem się dzieckiem dla matki!

— Ach, mamo, przecież ja wypełniam tylko mój obowiązek!

— Nie, nie, tyś dla mnie więcej uczyniła, niż mogłam tego wymagać!

I drżące ręce chorej spoczęły na złotej główce dziewczęcia.

W tejże chwili zapukano do drzwi.

— Mieszka tu wdowa Krones? — dał się słyszeć z sieni głos ostry i nieprzyjemny.

Teresa zerwała się, pogładziła szybko włosy i otworzyła drzwi, a do pokoiku wszedł jakiś wysoki mężczyzna otulony płaszczem tak, że mu ani twarzy widać nie było.

— Dzięki Bogu — zawołała młoda dziewczyna, patrząc z najwyższą wdzięcznością na przybyłego — wszakże to pan doktor? Ach, tak długo już na pana czekamy!

— Na doktora? — odrzekł mężczyzna. — Tak, tak, ja jestem lekarzem! Zobaczymy zaraz na co matka pani chora! Nie, lampy mi nie potrzeba, światło razi oczy!

Teresa odsunęła lampę i niespokojna, stała przy stole, podczas kiedy lekarz badał puls chorej i, jak się zdawało, z wielkiem jej się przyglądał zajęciem. Ale był trochę bezwzględny, nie zdjął bowiem nawet płaszcza, z którego roztopiony śnieg spływał teraz strumieniem brudnej wody na czyściutką podłogę.

— Jak długo pani już leżysz? — zapytał pani Krones.

— Trzy lata, panie doktorze — odrzekła chora cicho. — Trzy lata leżę w łóżku i jestem skazana na bezczynność, ja, która zawsze tyle pracowałam od rana do nocy. I gdyby nie miała mej córki.....

— Nie mów pani tak dużo, to cię męczy, wiem już teraz o co chodzi. Główna rzecz, abyś pani dobrze jadła pożywne zupy, mięso, trzeba też pić mocne wina... Lekarstwa nic tu nie pomogą, należy tylko podnieść siły. A teraz że-

gnam panią. Może mnie córka sprowadzi z lampą ze schodów, bo ciemno, a ja nieznam tego domu. Jutro przyjdę znowu!

— Weź lampę, Teresiu — zawołała chora uszczęśliwiona, — i poświec panu doktorowi. A wróć zaraz, abyś się nie zaziębiła!

Teresa wypełniła życzenie doktora i matki. Ujęła lampę i podnosząc ją nieco, zbliżyła się do drzwi.

— Proszę pana — rzekła, wychodząc do sieni.

Ale na pierwszym zaraz schodzie cofnęła się przerażona. Światło lampy padło na twarz mniemanego doktora i teraz poznała Teresa, kto to właściwie był.

— Pan nie jesteś lekarzem — zawołała. — Nie, nie, pan nie przybyłeś tu, aby pomódz mojej matce! Ja pana znam — od kilku dni chodzisz za mną po ulicach, gdy śpiewam w podwórzach.... ach, oddal się ztąd! Ja gardzę panem — czego chcesz.... puść mnie, bo zawołam o pomoc!

Ale nędznik, który pod fałszywą maską zakradł się do biednych, bezbronnych kobiet, zrzucił teraz płaszcz i kapelusz i stał przed Teresą, ubrany wytwornie, uśmiechnięty i pewny siebie.

— Tereso — zawołał, odbierając przemocą lampę z rąk dziewczęcia i stawiając ją na podłodze — ja kocham ciebie, ofiaruję ci szczęście! Możesz mieć wszystko, czego pragniesz, dla matki i dla siebie, ale bądź moją! Jestem bogaty, dam ci brylanty i ekwipaże, powiedz jedno tylko słowo..

Teresa chciała uciekać do matki, ale natrętny wielbiciel schwycił jej ręce i trzymał jak w żelaznych kleszczach. Ucieczka była niemożliwą.

— Matko Boska, ratuj mnie — szepnęła Teresa. — Puszczaj mnie pan! Ja nic nie chcę, ja cię nienawidzę — na pomoc! Na pomoc! — krzyknęła z całej siły.

— Na pomoc — wołała nieszczęśliwa matka — córkę mi mordują!

— Krzyczcie, ile chcecie, nikt nas tu nie usłyszy — rozśmiał się nędznik. — Słuchaj, piękna Tereso, co ci powiem — ty musisz być moją! Ożenię się z tobą, powiedz tylko, że.....

— Ah, to tak wyglądają wytworni nędznicy,, którzy uwodzą uczciwe dziewczęta rzemieślników, — dał się nagle słyszeć gniewny głos na schodach, i w tejże chwili silna ręka popchnęła nieznajomego tak, że puściwszy ręce Teresy zatoczył się na ścianie. Okrzyk wściekłości wyrwał się z ust jego, szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni sztylet i jak szalony rzucił się na śmiałego obrońcę Teresy.

— Nie lubię, gdy się kto do moich spraw wtrąca — krzyknął i już podniósł rękę do wymierzenia ciosu śmiertelnego, ale równocześnie spojrzał na twarz swego przeciwnika i spuścił broń morderczą.

— Hrabia Henryk Orszański! — szepnął zdumiony i przerażony.

— Tak jest, baronie Bondi — odrzekł Henryk z szyderczym uśmiechem. — Nie spodziewałem się pana tu zastać, ale sposób, w jaki zachowałeś się wobec tej bezbronnej młodej dziewczyny, zasługuje na małą pamiątkę! Łotry takie jak pan muszą być ukarani!

I mówiąc to, uderzył go w twarz.

Bondi stał jak skamieniały — lewy policzek jego oblał się krwawym rumieńcem.

— A teraz precz z domu biednych ale uczciwych ludzi — mówił Henryk dalej — a gdybyś się poważył raz jeszcze zbliżyć do panny Krones, to dostaniesz szpicrutą, jak pies!

— Odpowiesz mi za to, mój hrabio — wyjąkał Bondi ochrypłym głosem. — To uderzenie w twarz odpłacę ci z powrotem — czekaj, przypomnę ci jeszcze kiedyś tę godzinę!

Po tych słowach porwał kapelusz i zbiegł ze schodów, jak gdyby go złe duchy goniły.

Henryk zwrócił się teraz do Teresy, która drżąca i blada opierała się o drzwi mieszkania.

— Dziękuję panu — rzekła — wybawiłeś mnie z wielkiego niebezpieczeństwa. Będę panu przez całe życie wdzięczną! Ach, gdy pomyślę, co by się było mogło stać, gdybyś pan nie był przyszedł.... Wolałabym tysiąc razy umrzeć, niż zostać żoną tego człowieka!

— Nie ty masz mi do dziękowania, tylko ja tobie — odpowiedział Henryk, ujmując rękę dziewczęcia.

— Pani nie przeczuwa wcale, ile ci mam do zawdzięczenia! Śpiew twój zeszłej nocy ocalił mnie od zguby, — ale muszę się najpierw przedstawić....

— O ja znam pana hrabiego — przerwała Teresa z uśmiechem. — Tak często widuję pana przy oknie i na ulicach... Któżby pana nie znał!

Serce młodej dziewczyny biło w tej chwili bardzo niespokojnie. Znała rzeczywiście Henryka już od dawna z widzenia i zdawało jej się, że to najpiękniejszy i najwytworniejszy młodzieniec z całego Wiednia. Mimowoli myślała i marzyła o nim, i gniewała się o to na siebie, bo bogaty hrabia i biedna śpiewaczka ludowa — to się niebardzo z sobą zgadza!

Ale gdy go teraz ujrzała, gdy uczuła uścisk jego dłoni, zapomniała o różnicy ich położenia, i zachwycona, uszczęśliwiona patrzała mu w oczy, jak kochająca kobieta patrzy w oczy swego wybranego!

Była to pierwsza miłość, pierwsza, niewinna, święta, czy to w sercu księżniczki, czy też ubogiej dziewczyny z ludu....

— Wszakże śpiewałaś pani zeszłej nocy? — zapytał znowu Henryk, oczarowany pięknością, słodyczą i wdziękiem dziewczęcia.

— Tak! Wracałam do domu, a widząc wszędzie jeszcze oświetlone okna, zaśpiewałam pieśń, którą matka moja tak lubi! Ale, Boże, ja o matce zupełnie zapomniałam! Przepraszam pana hrabiego!

I nieoglądając się już na niego, wbiegła do pokoju i rzuciła się na kolana przed łóżkiem matki.

Henryk wszedł za nią. Wniósł zarazem lampę i postawił ją na stole.

— Pani Krones — rzekł uprzejmie, zbliżając się do chorej — wybacz mi, że jako zupełnie ci nieznajomy, wtargnąłem do twego mieszkania.

— O ja słyszałam wszystko, — odpowiedziała chora. — Ocaliłeś pan moje dziecko.... ach, panie ja jestem tak biedna, tak biedna, że ci się niczem nie mogę odwdzięczyć! Chyba błogosławieństwem — matki!

— Jest to najwznioślejszy podarunek, jaki kiedykolwiek otrzymałem, — zawołał Henryk wzruszony. — A teraz powiem pani, kim jestem, otóż najbliższym twoim sąsiadem, hrabią Orszańskim. Mieszkam w pałacu naprzeciwko, córka pani zna mnie oddawna z widzenia!

Pani Krones zamyśliła się. Zanim tak ciężko zachorowała, pracowała w rozmaitych domach w mieście i nieraz obiło jej się o uszy nazwisko hrabiego Orszańskiego. Cały Wiedeń znał go, jako sławnego marnotrawcę, nie zwano go inaczej, jak „polski hrabia,“ albo „marnotrawny hrabia.“

— Więc to pan, — szepnęła, — słyszałam dawniej dużo o panu!

— Wierzę, — rzekł Henryk z smutnym uśmiechem, — dosyć o mnie mówiono złego! I zasługiwałem na to! Ale w tej chwili stoję tu jako inny człowiek! Jestem tak biednym jak wy, i skazany na pracę rąk własnych! Od jutra muszę sobie zarabiać na chleb tak jak każdy inny robotnik w tym domu!

— Ależ to być nie może, — zawołała Teresa, a serce jej zadrżało, szaloną radością. — Pan hrabia jest tak biednym jak my? O, jakże jestem szczęśliwą — nie, nie, co ja mówię, niech pan hrabia wierzy, że chciałam powiedzieć, że żałuję pana szczerze!

Henryk uśmiechnął się.

Przyszedł on tu rzeczywiście z zamiarem ofiarowania swej ręki tej, która go bezwiednie od śmierci i hańby ocaliła.

Nie mając już żadnego majątku wiedział, że stał się w dotychczasowem swem towarzystwie niemożliwym i dlatego postanowił żyć odtąd, jak pierwszy lepszy robotnik z ładną i młodą żoną, pochodzącą także z ludu. Był to może chwilowy kaprys, wynik rozpaczy, o którym byłby pewnie po kilku dniach zupełnie zapomniał, ale że wszystkie swoje zamiary zawsze natychmiast wykonywał, przeto nie namyślając się teraz ani minuty, poszedł do pani Krones, aby prosić o rękę swej wybawicielki. Że zaś Teresa bardzo była piękną i łagodną, spodobała mu się niezmiernie od pierwszego spojrzenia i winszował sobie w duszy swego wyboru.

— Żałuje mnie pani? — rzekł, pochylając się ku niej. — Więc daj mi dowód swego współczucia.....

— Jaki? — szepnęło dziewczę zarumienione.

— Pomóż mi znosić przykrości tego życia — jako moja droga, ukochana żona! Chcesz być moją?

Teresa myślała że umrze z nadmiaru szczęścia. Ten świetny, wytworny arystokrata, o którym od kilku lat zaledwie marzyć śmiała, chciał się z nią ożenić!

— Chcesz być moją? — powtórzył Henryk.

— O — tak — tak, — szepnęła ze łzami w oczach. — Ale pan jesteś hrabią, a ja — śpiewam na ulicach.... ach, to niemożliwe!

— Przeciwnie, wszystko jest możliwem tam, gdzie panuje miłość, — zawołał Henryk wesoło i obejmując śliczną postać dziewczęcia, uklęknął obok niej przy łóżku chorej.

Pani Krones położyła swe wychudłe ręce na młodych, pięknych głowach narzeczonych.



Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci, — rzekła uroczyście. —

— Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci, — rzekła uroczyście. — Hrabia ma słuszność — miłość zaciera wszelką różnicę stanów! Obyście zawsze byli szczęśliwi!

— — — — — — — — — —

Nazajutrz zaprowadził Henryk Teresę do Ferdynanda Rajmunda, dyrektora opery. Stało się to w głębokiej tajemnicy, Cezaryna bowiem nie miała się o tem dowiedzieć. Nie byłaby ona zniosła rywalki i tego się właśnie Henryk obawiał. Ale chcąc się zezmścić na tej kobiecie bez serca, chciał, aby Teresa wystąpiła w tym samym teatrze i zdobyła sobie całą sympatyą publiczności. Wiedział, że tem najwięcej ugniewa Cezarynę.

Dyrektor Rajmund, ulubieniec Wiedeńczyków, przyjął Henryka i Teresę bardzo uprzejmie. Pomimo skromnego ubrania młodej dziewczyny, poznał on od razu niezwykłą jej piękność i to go już dobrze względem niej usposobiło.

— No i cóż mój drogi przyjacielu, — zawołał, ściskając rękę Henryka, — kogóż mi tam przyprowadziłeś? Czyś przypadkiem znalazł na jakiem uroczysku uosobistnienie pieśni ludowej?

— Ach panie, — odrzekła Teresa, — ja jestem tylko biedną śpiewaczką z ulicy. Śpiewałam przed drzwiami bogatych, chcąc zarobić tyle tylko, aby wyżywić chorą matkę i siebie.

— Więc mi zaśpiewaj, moje dziecko — nie lękaj się niczego! Zobaczymy, może masz dobry głos, może się da z niego coś zrobić, bardzo by mnie to ucieszyło!

Mówiąc to, usiadł Rajmund przed fortepianem, i zaczął grać znaną jakąś piosenkę. Henryk cofnął się — czuł on, że w tej chwili nie powinien stawać pomiędzy tymi dwoma artystami.

Teresa śpiewała. Głos jej, trochę z początku drżący, stał się wnet silnym i dźwięcznym, a Rajmund był tak zachwyconym, że nie czekając końca, zerwał się i jak szalony zaczął biegać po pokoju.

— Ależ to skarb! — wołał, — skarb nieoszacowany! Pani droga, głos twój więcej ma wartości, niż korony cesarzy i króli! Ja ci przepowiadam, że staniesz się sławną — nietylko w Wiedniu, ale na całym świecie.

Ludzie będą cię uwielbiać.....

— O, na to ja nie pozwolę, — przerwał Henryk, śmiejąc się, — jestem bowiem niezmiernie zazdrosnym.

Teresa uścisnęła rękę narzeczonego.

— Jakże jestem szczęśliwą, — rzekła, — że odkryłeś mój głos! Przynajmniej trochę ci dorównam, artystka — to już inaczej brzmi, jak śpiewaczka ludowa!

— Dla mnie jesteś zawsze tą samą Teresą, — odpowiedział Henryk serdecznie. — Ja kocham cię z całego serca i bardzo mi to obojętne, czy jesteś sławną artystką, czy skromną śpiewaczką z ulicy!

Rajmund tymczasem szukał nuty i zeszyty i wszystko to wręczył Teresie.

— Przychódź pani codziennie do mnie, jestem pewnym, że za cztery tygodnie będziesz mogła wystąpić publicznie, — rzekł poważnie.

Henryk zadrżał z radości.

— Cezaryna oszaleje z gniewu, —pomyślał.

Była to jedyna zemsta, na jaką się szlachetne serce Henryka zdobyć mogło.

ROZDZIAŁ III.

Więzienie i trucizna.

— Uspokój się pani! Przecież rywalka twoja jeszcze nie zwyciężyła!

— Ale ja o niej słuchać nie chcę, — krzyknęła Cezaryna rozgniewana i rzuciła zeszyt z nutami na ziemię. — Wracam właśnie z próby — i wyobraź pan sobie, co tam widziałam i słyszałam? Artystkę, co się zowie! Jaka ona piękna, a jak śpiewa! Publiczność zachwyci się nią, a ja..... ach, na mnie nikt już nie spojrzy! Ludzie zapomną o mnie zupełnie! Jeżeli przedstawienie odbędzie się dziś, to ja jestem zgubioną, bez ratunku zgubioną!

— A więc przedstawienie nie odbędzie się, — szepnął Bondi, i skrzywił znacząco swoją chudą, żółtą twarz.

— Słuchaj, Cezaryno, przedstawienie nie odbędzie się, to jest, Teresa Krones nie wystąpi!

— Czy pan chcesz temu przeszkodzić? — zapytała śpiewaczka z pewnem niedowierzaniem.

— Tak, ja! I ja nienawidzę owej Teresy Krones — szczęśliwy przypadek uczynił nas sprzymierzeńcami przeciwko tej dziewczynie. Ale stawie ci pewien warunek, bo każda miłość wartą jest swej nagrody. Teresa Krones nie wystąpi dziś i postaram się o to, aby ta żebraczka nigdy nie doszła do zamierzonego celu, za to jednak żądam Cezaryno, abyś została moją żoną, bo kocham cię nad wszystko w świecie!

— Żoną pana! — szepnęła Cezaryna i zimny dreszcz przebiegł jej członki. Jest to ostatniem słowem pana?

Niezmiennym warunkiem?

— Niezmiennym. Jeżeli mi przysięgniesz, że od dziś za cztery tygodnie odbędzie się nasz ślub, to Teresa nie wystąpi ani dziś, ani prawdopodobnie nigdy, i moja piękna Cezaryna pozostanie na zawsze królową w operze.

— Więc — zgoda, — rzekła śpiewaczka drżącym głosem. — Za cztery tygodnie będę żoną pana! Ja dotrzymam słowa, spodziewam się zatem, że i pan.....

— O, ja dotrzymuję zawsze to, co przyrzekam, — przerwał Bondi i ucałował jej ręce.

Potem pożegnał narzeczoną i odszedł.

— Sprzedałam się, — szepnęła Cezaryna ze łzami w oczach, — ale nie mogłam postąpić inaczej! Muszę walczyć na śmierć i życie, i muszę ją zwyciężyć! Niech kosztuje co chce!

Po chwili zadzwoniła i służąca weszła do pokoju.

— Jest tam ten kupiec, któremu kazałam dziś przyjść? — zapytała.

— Tak pani, czeka już od pół godziny. Oprócz tego oddał mi jakiś nieznajomy mężczyzna to pudełko, mówiąc, że pani wie, co w niem jest!

— Dobrze, dobrze, daj mi je — i wprowadź tu tego kupca!

Służąca postawiła małe, zgrabne pudełko na stoliku i wyszła. Zaledwie się drzwi za nią zamknęły gdy Cezaryna wzięła je i otworzyła za naciśnięciem ukrytej sprężyny.

W pudełku leżało kilka wytwornych porcelanowych słojków i garneczków, napełnionych białemi i czerwonemi maściami, potrzebnemi do malowania twarzy, i dwie buteleczki z wonną wodą.

— To moja broń, — rzekła, a oczy jej błysnęły nienawiścią. — Jeżeli Bondi słowa nie dotrzyma, to ja sama potrafię cię śmiertelnie ugodzić!

— — — — — — — — — —

— Już czas, — mówił Henryk do narzeczonej. — Już piąta — musisz iść do teatru, aby się ubrać!

Ale Teresa klęczała przed łóżkiem matki i trzymała jej ręce. Chora była dziś tak słabą, jak gdyby każdej chwili śmierć nastąpić miała; twarz jej zdawała się już stygnąć i tylko oczy, wpatrzone w córkę, żyły jeszcze.

— Henryku, — szepnęła Teresa, zalewając się łzami, — mnie się zdaje, że ja matki żywej już nie zastanę!

— Biedne dziecko, — rzekł Henryk serdecznie, — Bóg ci dopomoże, bo dziś musisz walczyć o twoje szczęście, i jeżeli, jak mam nadzieję, zwyciężysz, to i matce twej będzie lepiej!

— Ale to jest okropnie, wystąpić na scenę z umalowaną twarzą i wesołym uśmiechem i wiedzieć, że tu matka moja umiera!

— Idź, moje dziecko, idź — odezwała się chora nagle dosyć wyraźnym głosem, — idź i zdobądź sobie sławę i szczęście. Widzę tam — nad głową twoją jasną gwiazdę — ach, widzę — jak tysiące oczu podnosi się ku tobie, moja córko — muzyka — śpiew — wołają cię — Boże, pozwól mi tylko jeszcze przeżyć dzisiejszy wieczór — pozwól mi słyszeć o szczęściu Tereni.

I jak gdyby słowa te wyczerpały zupełnie jej siły, osunęła się na poduszki i zamknęła oczy.

— Idę już — szepnęła Teresa, wstając. — Matka sama chce tego — będę jej posłuszną!

Henryk przycisnął czule narzeczoną do serca, potem okrył ją starannie ciepłym szalem i właśnie zamierzał wyjść z nią z pokoju, gdy w tejże chwili gwałtownie zapukano do drzwi i jakiś ostry głos zawołał rozkazująco:

— Otwierać! W imieniu prawa!

Henryk i Teresa cofnęli się z przerażenia.

— Co to znaczy? — zawołał Henryk. — To musi być jakaś omyłka — ah! policya! żandarmi!

W otwartych drzwiach stał baron Bondi, za nim trzech żandarmów.

— Tereso Krones, — krzyknął szorstko, — jesteś aresztowaną!

Okrzyk rozpaczy rozległ się w pokoju, młoda dziewczyna zachwiała się i upadła w objęcia narzeczonego.

Henryk drżał z gniewu i oburzenia.

— Jakiem prawem wchodzisz pan do tego mieszkania — rzekł, zwracając się do barona. — Moja narzeczona nie mogła popełnić nic takiego, za co pan miałbyś prawo aresztownia jej.

— Ona jest złodziejką!

— Złodziejka? — jękła Teresa. — Boże wielki! To nie prawda! Kto mógł tak skłamać?

— Moja córka nie jest złodziejką, — szepnęła chora drżącym głosem. — Źli ludzie chcą nam zabrać jeszcze ostatnie, co mamy, to jest, nasze dobre imię!

— Wszakże pani jesteś Teresą Krones, śpiewaczką z ulicy, — mówił Bondi z szyderczym uśmiechem. — Chodzisz od domu do domu, aby śpiewać i żebrać. Baronowa Strawel kazała ci przyjść do siebie przed pięcioma mniej więcej tygodniami, wieczorem, pamiętasz?

— Tak! — odpowiedziała Teresa zwracając się do Henyka. — Było to tego dnia gdy wracając od baronowej w nocy, śpiewałam tu przed domem ową pieśń pamiętną...

— I z wdzięczności za hojną jałmużnę, — zaczął znowu Bondi, — ukradłaś pani Strawel kosztowną broszkę brylantową! Proszę mi nie zaprzeczać, bo nikt inny tego nie uczynił, i spokojnie iść ze mną przy okazaniu najmniejszego oporu każę cię zakuć w kajdany. Jeżeli wątpisz o mojem prawie aresztowania cię, to patrz — otóż rozkaz prezydenta policyi!

I pokazał straszny dokument Henrykowi i Teresie, a twarz jego wykrzywiła się szatańskim prawdziwie uśmiechem.

Krew zawrzała w żyłach Henryka.

— Ach, łotrze! — krzyknął i już podniósł pięść, aby jednem uderzeniem zmiażdżyć swego śmiertelnego wroga, gdy równocześnie uchwyciła Teresa jego ramię i przeszkodziła mu w wykonaniu tego zamiaru.

— Henryku, — zawołała błagalnie — nie czyń tego, jeżeli mnie kochasz! Stalibyśmy się oboje jeszcze bardziej nieszczęśliwymi, niż jesteśmy. Pójdę do więzienia, ale Bóg Wszechmogący mi świadkiem, że jestem zupełnie niewinną!

— Masz słuszność, — przyznał Henryk, usiłując zapanować nad sobą, — prawu nie można oporu stawiać. Przysięgam ci jednak, że cię uwolnię. Jestem jeszcze hrabią Orszańskim, i słowo moje dużo znaczy. Nie obawiaj się niczego, nie będziesz długo w więzieniu!

Pożegnanie Teresy z umierającą matką było tak rozczulające, że nawet żandarmi czuli się wzruszeni, jeden tylko Bondi uśmiechał się i zacierał ręce. Był on dumny z swego dzieła! —

— No, dosyć już tego, — krzyknął nareszcie ostro, i porwawszy Teresę za ramię, popchnął ją ku żandarmom.

Potem odbyło się wszystko w mgnieniu oka.

Żandarmi, Teresa i Bondi znikli — zaraz też rozległ się turkot dorożki i w pokoju zapanowała cisza, przerywana słabemi jękami chorej.

— Biegnę ratować Teresę, — zawołał teraz Henryk. — Bądź pani spokojną, ona musi być wolną!

I jak szalony wypadł na schody, a dziesięć minut później był już u dyrektora Rajmunda.

— Jak się masz drogi przyjacielu, — powitał dyrektor wchodzącego Henryka. — Wyobraź sobie, publiczność niezmiernie zaciekawiona, wszystkie bilety sprzedane, będzie to dziś świetne przedstawienie!

— Przeciwnie! Wszystko stracone — wyszeptał Henryk bez tchu prawie. — Teresa dziś nie wystąpi i nigdy już — nigdy.....

— Cóż to, czy zachorowała, czy umarła? — krzyknął Rajmund przestraszony.

— Gorzej — ona jest uwięzioną — za złodziejstwo.

Rajmund patrzał na hrabiego, jak gdyby słów jego nie rozumiał.

— Uwięziona — za złodziejstwo! — powtórzył. — Ależ to haniebna intryga, — dodał nagle, — i domyślam się, kto ją ułożył! Dalej, hrabio, jedźmy natychmiast do prezydenta policyi!

I po upływie kilku minut stali już w prywatnym gabinecie szefa policyi!

— Panie prezydencie, — zaczął zaraz Rajmund, — przychodzę tu z prośbą o wymierzenie sprawiedliwości. Nie z wiedzą, ale pomimo to z rozkazu pana, aresztowano dziś jednę młodą dziewczynę i zamknięto ją w więzieniu. Jest to panna Teresa Krones.

Prezydent zamyślił się i przeszedł kilka razy przez pokój.

— Jeżeli panowie obydwaj, — rzekł uprzejmie, — ręczycie za kogoś, to już znaczy bardzo wiele i bardzo przemawia na korzyść tejże osoby! Więc jeżeli panowie dajecie mi słowo, że ona jest niewinną.....

— Przysięgam na to, — zawołał Henryk z zapałem.

— I ja także, — dodał Rajmund.

— To mogę ją uwolnić, — mówił prezydent dalej. — W każdym razie jednak muszę sprawę tę dokładniej zbadać, i zaraz wydam odpowiednie rozkazy!

Po upływie kwadransa jechała Teresa w towarzystwie Rajmunda i narzeczonego do teatru. I najwyższy też już był czas — publiczność zaczęła się schodzić i liczne powozy zajeżdżały przed gmach opery.

— Spiesz się pani, — prosił dyrektor, — i bądź spokojną — staraj się zapomnieć, a przynajmniej nie myśleć o ciężkiej krzywdzie, jaką ci wyrządzono!

— Ach, ja myślę tylko o mojej umierającej matce, — zawołała Teresa ze łzami w oczach. — Zniosłabym chętnie wszelkie przykrości, gdyby ona żyła!

— Ja zaraz do niej pojadę, — rzekł Henryk, — i opowiem jej, że jesteś wolną!

Dorożka stanęła teraz przed bocznemi drzwiami teatru, Henryk pożegnał przyjaciela i narzeczoną i pojechał dalej do pani Krones, a dyrektor zaprowadził Teresę do jej garderoby, pięknie urządzonej, ogrzanej i oświetlonej. Na stole. nakrytym białą serwetą, stało małe pudełko z maściami, potrzebnemi każdej aktorce do umalowania twarzy na scenę.

— Przyniesiono to pudełko dla pani, — rzekł dyrektor, — przypuszczam, że to dar hrabiego Henryka. Ale spiesz się pani — za dwadzieścia minut rozpoczyna się przedstawienie!

Teresa została samą i zaczęła się natychmiast ubierać, potem dopiero chciała twarz umalować.

Nagle zapukano do drzwi i jedna z aktorek wbiegła do garderoby.

— Ach pani droga, — zawołała, — nie mogłabyś mi pożyczyć trochę różu? Zapomniałam przynieść go z sobą i nie mam kogo posłać do domu. Odrobinę tylko!

(Ciąg dalszy nastąpi).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

68' ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

— Dałby Bóg! Wiem, że on jest dzielnym i zacnym — ale jest kozakiem! Kozak zaś jest nieobliczonym! Tkwi w nim zawsze jeszcze dużo dzikości stepowej i nieokiełznanej namiętności. Gwałtowny w uczuciach, nie umie panować nad sobą i nienawidzi równie gorąco to samo, co przed chwilą kochał.....

— Nie przestraszaj mnie pan — zawołała Józefina. — Czułam się dotąd tak pewną na stepie i bezpieczną pod pana opieką, a teraz... Ach, nie płakał Feliks?

Na pamiątkę Felicji dała Józefina chłopczykowi imię Feliks.

— Nie, dziecko śpi spokojnie — odrzekł Tritoni — ale zajrzyj pani do niego. Powiem ci też zaraz dobranoc, śpij dobrze! Jutro wyruszymy bardzo wcześnie, aby o ile możności drogę skrócić!

— Dobranoc! — odpowiedziała Józefina.

Tritoni i kozacy spali w namiocie, Józefina zaś i dziecko na bryczce, osłonionej na noc płótnem.

Gdy Tritoni odprowadziwszy Józefinę, wracał teraz do namiotu, ujrzał nagle tuż przed sobą Murzufa.

— Ach, to pan, — zawołał swobodnie. — Dobrze, że cię spotykam, chciałbym się z tobą rozmówić. Mówiłeś pan, że mamy jeszcze pięć dni do Jekaterinenburga?

— Tak jest!

— Mam nadzieję, że koniec naszej podróży będzie równie pomyślnym, jak początek!



Hrabia Szalenburg modlił się za córkę i za jej dziecko.
(Patrz Rozdział CXVIII. str. 744 nr. 25-y.)

— Co do mnie, wypełnię sumiennie moje obowiązki! Wolałbym umrzeć, niż wyrządzić jaką krzywdę tej pięknej, młodej kobiecie!

— Daj mi pan rękę — jesteś uczciwym i zacnym człowiekiem!

Obydwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i udali się na spoczynek do wspólnego namiotu.

Nazajutrz rano jaśniało słońce dziwnym, czerwonym blaskiem, jakiego Tritoni wcale tu jeszcze nie widział.

— O, to nie dobrze! — szepnął Murzuf.

— Czemu? — zapytał Tritoni. — Nie widziałem nigdy jeszcze tak cudnego wschodu słońca!

— O piękność nie chodzi tu wcale, tylko o zmianę powietrza! Dobrze, że podróż nasza wnet się skończy; lękam się bowiem zimy!

— Zimy? Ależ mamy lato właśnie! A chociaż dziś rzeczywiście chłodniej trochę, to przecież wczoraj bardzo było ciepło! Do zimy daleko jeszcze!

— Bliżej, niż pan sądzisz!

— Tak pan sądzisz, doprawdy?

— Tak! Słońce skryje się wnet za chmurami i temperatura się obniży. Przekonasz się pan wnet sam o tem!

— Więc nie czekajmy dłużej, jedźmy!

— Tak, bo każda chwila jest drogą!

Z pół godziny później pędziła bryczka po stepie, a kozacy i ataman zachęcali konie do coraz to szybszego biegu.

Przepowiedna Murzufa spełniła się prędko.

Słońce znikło prawie już zupełnie i zimno stawało się coraz dotkliwsze.

Około południa było prawie całe niebo czarnemi pokryte chmurami.

Tritoni zaczął się niepokoić na dobre, milczał jednak, nie chcąc przerażać Józefiny, ale w końcu nie mógł już utaić niebezpieczeństwa.

ROZDZAŁ CXXI.

Śnieżna zawieja.

Śnieg zaczął padać.

Z początku drobnemi płatkami — potem coraz gęściej, aż w końcu siedzący na bryczce nie mogli dojrzeć jadących obok kozaków.

Na domiar złego powstał szalony wicher.

Józefina otuliła jak mogła dziecko, w futrzane dery, potem ubrała się sama w ciepłe futro, które Tritoni dla niej zabrał.

Najwięcej przerażała podróżnych myśl o nocy, nie wiedzieli bowiem jak i gdzie ją przepędzić.

Tritoni krzyknął teraz na atamana, bo widzieć już go nie mógł, i gdy Murzuf zbliżył się do bryczki, rzekł:

— Okropny wicher! Czy to długo potrwa?

— Obawiam się, że jeszcze gorzej będzie, — odrzekł Murzuf. — Musimy być przygotowani na najgorsze...

— Więc co mamy uczynić?

Przedewszystkiem osłonić bryczkę i zamienić ją na sanki!

Kozacy zabrali się zaraz do pracy i w przeciągu dziesięciu minut wszystko było gotowe.

— Ale co będzie dziś w nocy? — szepnął Tritoni.

— Na to pytanie jeszcze panu teraz odpowiedzieć nie mogę, — odrzekł Murzuf. — Może wicher ustanie, w takim razie ustawimy namiot, jeżeli nie, to musimy się przykryć płaszczami i spać na śniegu!

Kozacy wskoczyli na konie i wszyscy ruszyli dalej.

Zawieja wzmagała się z każdą prawie chwilą.

Noc już nadeszła — Józefina, oparta na ramieniu Tritoniego drzemała, dziecko spało mocno.

Nagle sanki stanęły.

— Co się stało? — zawołał Tritoni, unosząc płótno.

— Koń upadł, — odrzekł Murzuf.

— I już więcej nie wstanie, — dodał jeden z kozaków.

— Odprzęgnijcie go, — rozkazał ataman i zasypcie śniegiem, ale tak, aby wilki go nie poczuły.

— Wilki! — zawołał Tritoni przerażony. — Nie widzieliśmy ich dotąd, zkądżeby się nagle wzięły?

— Miały one dotąd dosyć pożywienia na stepie, ale teraz śnieg zabrał im wszystko!

— Niech nas Bóg ma w Swej opiece! Myślisz pan, że dalibyśmy sobie radę z stadem wilków?

— Jeżeli ich nie za wiele — ale trzeba się przygotować na to, że spotkamy duże stada!

Nieżywy koń był teraz już zasypany śniegiem — je-

den z kozaków zaprzągł swego wierzchowca do sanek i siedząc na nim, jechał dalej.

Okropna to była droga w zawiei i strasznem zimnie!

Tritoni spojrzał na zegarek — dziesięć minut po północy!

Nagle zadrżały sanie i jak gdyby je jakaś niewidzialna siła podrzuciła do góry, podniosły się i upadły na bok. Józefina i Tritoni spadli z siedzenia ale ani im, ani dziecku nic się złego nie stało.

— Co to mogło być! — zawołał Tritoni.

Zanim jednak zdołali się podnieść, byli już kozacy obok nich, i dźwignęli sanie.

Murzuf podniósł Józefinę.

— Wiatr obrócił się, — rzekł, nie czekając jej pytania, — wieje teraz przeciw nam, a jest tak gwałtowny, że zmieniając kierunek porwał sanki jak łupinę orzecha i rzucił je na stronę. Szczęściem leżał śnieg wysoko, inaczej byłyby sanie połamane na drobne kawałki.

— Ale jak my dalej pojedziemy? — zawołał Tritoni.

— O dalszem jechaniu myśleć nawet nie można, — odrzekł Murzuf. — Pod wiatr jechać nie podobno!

— O Boże! — jękła Józefina, — co się z nami stanie!

— Musimy tutaj wybudować dom z śniegu, — zadecydował Murzuf, — jest to jedyna nasza nadzieja!

— Dom z śniegu, — powtórzył Tritoni, — tego nie rozumiem!

— Zaraz pan zobaczysz! Nie będzie to ani wygodne, ani wytworne mieszkanie, ale żyć w niem można. Eskimosy żyją także w podobnych!

— Więc zabierzmy się zaraz do dzieła, bo zimno jest tak przejmujące, że obawiam się o baronową i o dziecko, — rzekł Tritoni. — Biedne dziecko! Nie wiem, czy wytrzyma wszystkie te trudy!

— Ach, ja ufam Bogu ,— odezwała się Józefina, — że ocali tę niewinną istotę!

Kozacy, Murzuf i Tritoni zaczęli teraz budować dom. Wszyscy cieszyli się, że przy robocie rozgrzeją się trochę, zimno bowiem stawało się zwolna coraz większem.

Po upływie godziny wznosiła się już potężna góra śniegowa, a kozacy zawsze jeszcze sypali śnieg dalej i dalej. Potem zaczęli w górze wykopywać otwór tak wysoki, aby nietylko człowiek, ale i koń mógł przejść wygodnie, i zwolna utworzyli dosyć obszerną salę, mogącą pomieścić wszystkich ludzi i wszystkie konie. Na szczycie góry kazał Murzuf umieścić tyczkę z rosyjską chorągwią — chociaż nie spodziewał się spotkać tu innych jeszcze podróżnych.

Środki żywności mogły im starczyć na cztery do pięciu dni — w tym czasie mogła też ustać zawieja i dalszej podróży nic nie stałoby na przeszkodzie. Wina mieli też jeszcze kilka butelek, tak samo araku — o wodę kłopotu nie było, bo tej dostarczał śnieg.

Oprócz tego znajdował się na sankach balon z spirytusem do gotowania, i gdy mieszkanie w śniegu już było gotowem, posłał Murzuf dwóch kozaków po spirytus.

Józefina chciała zagrzać herbaty dla dziecka.

Ale kwadrans mijał po kwadransie, a kozacy z spirytusem nie wracali!

Tritoni, zaniepokojony, prosił Murzufa, aby posłał innych kozaków w celu szukania zaginionych. Hetman wybrał się sam, i po chwili znalazł ich — nieżywych.

Wypili oni resztę spirytusu z balonu i upadli bez przytomności na ziemię, a okropny mróz dopełnił miary. W przeciągu dwóch godzin umarli nędznie w śniegu!

Murzuf pienił się ze złości i przysięgał, że dobrze im się tak stało; kazał ich również zasypać śniegiem, ale z tem wszystkiem — spirytusu nie było!

Teraz o radę bardzo było trudno!

I po długich namysłach doszli nareszcie wszyscy do tego przekonania, że nie pozostaje im nic innego, jak porąbać sanki i zapalić ogień — trzeba się zaś było z tem bardzo pospieszyć, zanimby śnieg zupełnie sanek nie pokrył!

Kozacy zabrali się natychmiast do pracy i nie trwało długo, a z sanek nie wiele zostało w całości. Siedzenia zaniesiono do chaty, aby służyły Józefinie i dziecku za łóżka, derami wyłożono posadzkę, w jednej ścianie wybito otwór, którym dym miał wychodzić i wkrótce zabrano się do ugotowania pierwszej kolacyi — pod śniegiem! Potem zawinęli się wszyscy w płaszcze, dery i futra i położyli się na twardo ubity śnieg.

Józefina całą noc oka nie zmrużyła, ale cieszyła się, że dziecko Felicyi spało dobrze, nie odczuwając żadnej zmiany położenia.

Nazajutrz wzmogła się zawieja. Murzuf sam tylko wyszedł, aby sprawdzić stan powietrza, wrócił jednakże po chwili niezmiernie przygnębiony.

Drugiego i trzeciego dnia było zupełnie tak samo!

Tritoni zachował najwięcej odwagi i starał się jak mógł, rozweselać kozaków i Józefinę, ale nie zawsze mu się to udawało. Murzuf siedział zamyślony, nie zważając wcale na niego, Józefina zaś słuchała na pozór, a myślami była zupełnie gdzieindziej!

Najgorzej rzecz się miała z kozakami.

Bez zajęcia, bez ruchu, bez świeżego powietrza, stali się wkrótce kłótliwymi, wymagającymi, niezadowolonymi i żądali stanowczo reszty wina i wódki.

Tritoni, chcąc ich uspokoić, zamierzał dać im wszystko, ale Murzuf nie pozwolił na to.

— Obawiam się, — rzekł, — że będziemy mieć dużo jeszcze z nimi nieprzyjemności. Wiem ja, na co się zanosi, ale postanowiłem najmniejsze nieposłuszeństwo surowo ukarać!

Murzuf mówił umyślnie głośno i wyjął rewolwer z kieszeni.

Jeden z kozaków zbliżył się do niego.

— Wiemy, — zaczął śmiało, — że żywymi ztąd nie wyjdziemy, chcemy więc chociaż trochę wódki wypić. Jeżeli umierać, to przynajmniej wesoło!

— Dobrze, odrzekł Murzuf, — dostaniecie teraz codziennie szklankę wódki, ale przyrzeknijcie mi, że będziecie posłusznymi i że nie zażądacie więcej.

Nazajutrz jednak nie było już ani kropli w sądeczku!

W nocy zabrali się kozacy do wódki i wypili ją do reszty. Nie czekali na to, co mieli codziennie dostawać!

Murzuf szalał z gniewu, i gdyby nie prośby Tritoniego, byłby na miejscu uśmiercił kilku kozaków!

Przez następne trzy dni nie zmieniało się powietrze wcale.

Zawieja ustała wprawdzie trochę, ale wicher wył przerażająco, i tylko obłąkani byliby się w dalszą puścili drogę. Do Jekaterinenburga nie byłby w każdym razie nikt żywym dojechał.

Szóstego dnia nad wieczorem spostrzegł Murzuf, jak jeden z kozaków prowadził swego konia ku drzwiom chaty.

— Dokąd idziesz? zapytał.

— W step! — brzmiała krótka odpowiedź.

— Czyś oszalał? Sam? Nie zapomnij, że jesteś żołnierzem, że przysięgłeś posłuszeństwo carowi.

— Czy zginę tu, czy tam — wszystko jedno!

I nie czekając, wskoczył na konia i wyjechał.

Ale Murzuf pobiegł za nim.

Strzał rozległ się w powietrzu — odpowiedzią był przerażający krzyk kozaka, potem...

Potem wszystko ucichło....

ROZDZIAŁ CXXII.

Walka z wilkami.

Ale była to cisza przed burzą.

Zanim Murzuf zdążył wrócić do chaty, osiodłali wszyscy kozacy konie i prowadzili je ku wyjściu.

Józefina drżała z przerażenia i trwogi.

Tritoni zagrodził wychodzącym drogę.

— Na bok, — krzyknął pierwszy kozak. — Wiemy teraz bardzo dobrze, jak nam postąpić należy! My też mamy pistolety i kule!

Tritoni musiał się cofnąć i jeden kozak po drugim opuszczali schronienie.

Przed chatą czekał na nich Murzuf.

— Nędznicy, łotrzy! — krzyczał w najwyższem uniesieniu, — tak to dotrzymujecie słowa? Nie macie litości nad tą bezbronną kobietą i maleńkiem dzieckiem?

— Jeżeli zostaniemy tu dłużej, — odrzekł jeden z kozaków, — to umrzemy z głodu i zmarzniemy, i nie będziemy mogli nic im pomódz!

— Nie mamy też chęci czekania na wilki, — dodał drugi. — Prawdziwy cud, że one dotąd się jeszcze nie pokazały — czują one przecież ludzi z daleka!

— Postanowiliśmy więc szukać ratunku, chociażby nam hetman groził zabiciem, — zawołał inny stanowczo.

— Ja wam nie grożę, — rzekł Murzuf bezdźwięcznym

głosem, widząc, że wszelka jego powaga ustała, — nie proszę was nawet, abyście tu zostali przez wzgląd na tych, którymi przysięgliście opiekować się — ja proszę was — zostańcie — przez wzgląd na was samych! Zginiecie marnie na stepie. Nie zwyciężycie śniegu, wichru, zimna, głodu i — wilków! Wierzcie mi, że wam szczerze radzę! Zostańcie!

— Nie! Lepiej byś zrobił, hetmanie, gdybyś szedł z nami! Nasze konie wypoczęły — możemy pędzić teraz lotem strzały przez step — wilki nas nie dogonią, a zimno nie dokuczy przy szybkim biegu! My nie mamy nic przeciwko temu panu i tej pięknej pani, ale umrzeć dla nich — tego nikt od nas żądać nie może! Jedź z nami, atamanie!

Murzuf był w rozpaczy.

— Ja muszę wypełnić mój obowiązek, — rzekł spokojnie, — ale was nie zatrzymuję! Niech się Bóg wami opiekuje. Jeżeli dojedziecie szczęśliwie do Jekaterinenburga, to przyślijcie nam pomoc. Może jednak staniecie prędzej w Orchowie, jedźcie więc na wschód. Przyrzeknijcie mi, że przyślecie pomoc!

— Przyrzekamy, — odrzekli wszyscy jednogłośnie.

Po chwili znikli kozacy w śnieżnej mgle, a Murzuf wrócił do chaty.

— Jesteśmy teraz sami, — rzekł przygnębiony. — I nie wiem doprawdy, co robić!

— Walczyć ze śmiercią, jak bohaterom przystało, — odpowiedział Tritoni.

Środki żywności były już prawie wyczerpane, herbata mogła jeszcze starczyć na kilka dni tylko.

— Jeżeli się Bóg nad nami nie zlituje..... — szepnął Murzuf, — to umrzemy z głodu!

— Ach, ja nie tracę nadziei, — zawołała Józefina. — Pan Bóg nie opuści nas!

Tej nocy żadne z nich nie spało.

Mały Feliks płakał i rzucał się niespokojnie i nad ranem dopiero usnął w objęciach Józefiny.

Zaledwie pierwsze światło ukazało się na niebie, wyszedł Murzuf, aby się przekonać o stanie powietrza.

— Coraz większy mróz, — rzekł, gdy wrócił. — Merkuryusz w barometrze zamarzł prawie, wcale już nie spada! Musimy nałożyć więcej drzewa na ogień i usiąść tuż przy płomieniu!

Józefina przygotowała herbatę i wyjęła z koszyka cytrynę, aby ją pokrajać i podać atamanowi.

Tritoni jednak pochwycił cytrynę i wrzucił ją napowrót do kosza.

— Co pan robi? — zawołała Józefina zdumiona

— Ile mamy jeszcze cytryn? — zapytał Tritoni.

— Siedem!

— To nie wiele! Ale na najgorsze musi wystarczyć! Wiedźcie bowiem, że kwas cytryny najlepszem jest lekarstwem na szkorbut, a w tem okropnem zimnie, nie mając dostatecznego pożywienia możemy łatwo zapadnąć na tę chorobę.

Wobec tej groźby oświadczył Murzuf, że odtąd będzie pił herbatę bez cytryny.

Tego dnia mało spadło śniegu, ale mróz był tem większy.

Mały Feliks był chory. Krzyczał i płakał nieustannie, a Tritoni nie wiedział, jak i czem mu pomódz. Na chorobach dziecięcych nie znał się wcale i zresztą lekarstwa nie miał tu żadnego.

Józefina nie traciła odw[illegible] — ale zapas drzewa zmniejszał się z każdą godziną [illegible]pasy [illegible]ości także.

Czy pomoc dosyć wcześnie nadejdzie?

I znowu nadeszła noc długa, okropna.

W chacie z śniegu głęboka panowała cisza.

Nagle.....

— Psy szczekają! — krzyknęła Józefina głośno. — Bóg pomoc nam przysyła!

Tritoni i Murzuf zerwali się i pobiegli do d[illegible]

W dali odezwało się rzeczywiście głośne szcze[illegible]nie.

Ale Murzuf zadrżał i przeżegnał się szybko.

— To są wilki! — zawołał. — Jestto straszne dla nas niebezpieczeństwo!

— Wilki! — powtórzył Tritoni przerażony. — Więc one znalazły nasz ślad!

— Trzeba nam zabarykadować naszą chatę, — mówił Murzuf, — ale spieszmy się — prędko!

I wszystko troje zabrało się do roboty. Resztki sani, siodła dwóch zmarzniętych kozaków, kosze — jednem słowem, co tylko pod ręką było, zostało umieszczonem przy wejściu do chaty.

Zaledwie skończyli barykadę, odezwało się tuż za nią przerażające wycie.

— Nasi nieprzyjaciele już są, — rzekł Murzuf. — Musimy teraz walczyć o nasze życie!

W chacie znajdowało się sześć pistoletów.. Murzuf nabił je i pokazał Józefinie i Tritoniemu, w jaki to się robi sposób. Na szczęście nie brakło ani kul, ani prochu, była więc nadzieja, że dadzą sobie radę z wilkami.

— Gdyby się wiedziało, ile ich jest! — rzekł Tritoni.

— Skoro się rozjaśni, przekonam się o tem, teraz jeszcze za ciemno, — odparł Murzuf.

I nareszcie rozjaśniło się!

Ale to, co Murzuf ujrzał, było okropne!

Wilków było przynajmniej ze sto! Okrążały one górę śnieżną ze wszystkich stron, usiłując koniecznie przesunąć się przez barykadę, a wycie ich przerażało nawet odważnego i dzielnego atamana!

— Mam nadzieję, że ze wschodem słońca oddalą się wilki, — rzekł Tritoni. — Światło dzienne odpędza je zwykle.

— Tak, jeżeli są najedzone, ale nie, jeżeli są głodne! — odpowiedział Murzuf. — Skoro wilk jest głodny, a czuje żer, to żadna siła nie zmusi go do opuszczenia stanowiska. Jak słońce zejdzie, zaczniemy do nich strzelać. Chata nasza jest mocno zbudowana i wytrzyma napad!

Ale gdy nareszcie dzień jasny zawitał, ogarnęła rozpacz obydwóch mężczyzn.

Wilków nie było już sto, tylko kilkaset!

Teraz stracił Murzuf całą odwagę.

— Musimy umrzeć, — szepnął głucho. — Możnaby sądzić, że wilki z całego Sybiru zebrały się tu, aby nas pożreć, jesteśmy zgubieni, bez ratunku!

Józefina zaczęła płakać.

Położenie było rzeczywiście bez wyjścia.

Jeżeli mamy tu umrzeć, — rzekł Tritoni, — to brońmy się przynajmniej dopóty, dopóki sił i kul starczy. Sprzedajmy jak najdrożej nasze życie! Ale nie uważasz pan, — dodał nagle, — jak ciepło dziś jest? Co do mnie, to rzeczywiście nie czuję zimna!

— Ja tak samo, — odparł Murzuf, — zdaje się, że nastąpiła w nocy zn[illegible] zmiana powietrza!

— Czy to tutaj często się zdarza?

— Prawie zawsze! Po gwałtownym mrozie następuje ciepło i przeciwnie. Dzieje się to jednak tylko na początku zimy.

Straszne wycie przerwało im rozmowę. Wilki rwały się przez barykadę, inne wskakiwały na górę i rozrzucały śnieg pazurami, tak, że nad głowami nieszczęśliwych dawało się słyszeć również wycie i szczekanie, tak samo jak przed nimi i w około nich!

— Pani baronowa, — rzekł Murzuf, — musi nabijać pistolety, my zaś obydwaj będziemy strzelać bez ustanku. Może to ich spłoszy.

Tritoni wziął pistolet i razem z Murzufem strzelił, a dwa ogromne wilki najbliższe barykady padły nieżywe.

To samo powtórzyło się kilka razy — zabite wilki zostały natychmiast rozszarpane przez swoich towarzyszy, ale cóż to znaczyło wobec tych setek drapieżników!

Józefina nabijała pistolety, obydwaj mężczyźni strzelali ciągle wilków jednak wcale nie ubywało! Przeciwnie, skrobanie ich w ściany i dach chaty stawało się z każdą chwilą groźniejszem!

Nagle krzyknęła Józefina głośno:

— Co to jest? Czy nasz zapas wody wylany? Wszakże tu się małe jezioro utworzyło!

Tritoni zbliżył się do dzbanka, w którym było pełno wody i rzekł zadowolony:

— Nie, dzięki Bogu, mamy jej dosyć!

Ale Murzuf, usłyszawszy te słowa, zbladł.

Teraz nadeszła nasza ostatnia chwila, — rzekł, wskazując na ścianę chaty, — słońce topi śnieg — i w przeciągu dwóch godzin nie będzie śladu naszej chaty. Wilki za t[illegible]zymają wolny do nas wstęp. Nie pozostaje nam nic i[illegible]o, jak polecić Bogu nasze dusze!

Następne chwile były okropne. Im więcej gromadziło się wody na ziemi, tem cieńszą stawała się ściana,

i tem łatwiejszą była praca wilków. Można było dokładnie obliczyć, kiedy wilki wtargną do chaty.

Nieszczęśliwi stracili zupełnie odwagę i nadzieję ratunku. Józefina siedziała w kącie z Feliksem na ręku i gorżko płakała.

Tritoni milczał. Chciał on ją pocieszać i przygotować na śmierć, ale poznał, że wobec takiego położenia, w jakiem się znajdowali, byłoby każde słowo zbytecznem.

Ach, gdybym chociaż raz jeszcze mogła była widzieć Maksymiliana, — szepnęła teraz Józefina, — gdybym mu mogła powiedzieć, jak bardzo go kochałam! Jak okropną jest śmierć, która nas czeka! Tak daleko Bóg nas szczęśliwie prowadził, a teraz, blizcy celu, musimy umierać!

— Módlmy się i umrzyjmy, jak przystało chrześcijanom, — rzekł Tritoni.

W tejże chwili rozległ się głuchy łoskot — część ściany zapadła!

ROZDZIAŁ CXXIII.
Koniec doświadczeń.

— Teraz koniec! Nie ma ratunku! — zawołał Tritoni, zrywając się.

Otwór w ścianie nie był na szczęście tak wielki, aby zaraz cała gromada wilków wpaść mogła — pokazały się tylko dwa ogromne wilki i do połowy ciała wsunęły się do chaty.

— Dawaj pan pistolet! — krzyknął Murzuf. — Strzelaj także!

Tritoni porwał pistolety, jeden podał atamanowi, drugi sam zatrzymał.

— Nabity? — wołał Murzuf.

— Nabity!

— Strzelajmy!

Tritoni strzelił i wilk z głuchem wyciem wypadł z otworu, ale — jeden się tylko strzał rozległ....

Murzuf zbladł.

— Mój pistolet leżał na ziemi w wodzie, — szepnął drżącemi ustami — za późno!

Tritoni schwycił rękę Józefiny i pociągnął ją w kąt, za konie.

W tejże chwili wskoczył wilk do chaty.

Najpierw; jak gdyby sam zdumiony obecnością ludzi, stanął, szukając sobie ofiary, potem jednym skokiem rzucił się na najbliżej stojącego Murzufa.....

Daremnie usiłował się nieszczęśliwy bronić, daremnie szukał noża w kieszeni — wilk wpił się ostremi zębami w jego gardło i jeszcze kilka sekund — a dzielny ataman nie żył!

W otworze znów ukazała się głowa potwora — krwią nabiegłe oczy zwróciły się ku Józefinie i zwolna przeciskał się wilk do wnętrza chaty.

— Żegnam cię, najszlachetniejszy przyjacielu, — szepnęła Józefina, — teraz kolej na mnie.....

Ale cóż to? Czy głos z nieba odezwał się teraz nad nimi?

— Józefino! Józefino! Jestem tu, nie obawiaj się! Ocalę cię!

To głos Maksymiliana!

Józefina była jednak przekonaną, że to złudzenie, że tuż przed śmiercią zdaje jej się słyszeć głos tego, o którym nieustannie myślała!

Teraz jednak odezwał się grzmot strzałów, potem straszliwe wycie — znown strzały.

Raz drugi i trzeci. — —

Step drżał pod stopami uciekających na wszystkie strony wilków, ale ten, który był w otworze — nie uciekał — jeszcze kilka sekund, a rzuci się na swoją ofiarę...

I znów rozległo się wołanie:

— Idę do ciebie Józefino, moja żono! Nie obawiaj się niczego!

Teraz wskoczył wilk do chaty i z głośnem warczeniem rzucił się na Józefinę.

Pomimo, że Tritoni pociągnął ją szybko ku sobie to nie mógł zapobiedz jednak, że wilk, zatopiwszy kły w jej sukniach, szarpnął nią tak silnie, że upadła na ziemię!

Józefina obejmowała zawsze jeszcze Feliksa — ale zresztą nie broniła się wcale.

Czuła, że jest zgubioną i nie myślała teraz już o niczem.

Ujrzawszy tuż nad swoją twarzą otwartą paszczę wilka, zamknęła oczy i....



W tejze chwili świsnęła Józefinie kula nad głową...

W tejże chwili świsnęła jej kula nad głową — jedna i druga — i gdy teraz spojrzała do góry, nie widziała już błyszczących oczów wilka! Gdzież on się podział?

Tritoni stał koło niej i odebrał jej dziecko.

— Jesteśmy ocaleni, — rzekł uroczyście.

Józefina zemdlała.

Ale głos ukochanego przywołał ją wnet do przytomności.

I gdy teraz spojrzała w koło siebie, spostrzegła zdumiona, że leży na miękkich poduszkach w ładnym namiocie, i że obok niej klęczy piękny młody mężczyzna, wpatrujący się w twarz jej z największą miłością....

— Maksymiljan. — Mój mąż — szepnęła, pocierając czoło. — Czy to wszystko było snem, czy jest sen?

— Nie, nie, najdroższa — zawołał Maksymiljan, — to najpiękniejsza rzeczywistość! Zbudziliśmy się oboje do nowego życia i do szczęścia! Nic nas już teraz nie rozłączy!

— Ja tego jeszcze pojąć nie mogę! Jakim sposobem przybyłeś ty na Sybir! I mówisz, że się nie rozłączymy — a czemu dotychczas uciekałeś przedemną i ukrywałeś się w ostatnich kątach świata?

— Bo tego żądał odemnie anioł — kobieta — *a tym aniołem jest Elżbieta, cesarzowa austryacka!*

I w krótkich słowach opowiedział Maksymiljan żonie całą historją swej winy i pokuty.

— Ale teraz — kończył — nadeszła gorąco upragniona godzina — teraz trzymam ręce twoje i nigdy, nigdy już cię nie opuszczę, ukochana moja żono!

— Nigdy — szepnęła Józefina ze łzami w oczach, i serdeczny uścisk potwierdził te słowa.

ROZDZIAŁ CXXIV.
Kochani i szanowani.

— Wprost tu ztąd — rzekł Maksymiljan — zaprowadzę cię do naszej wielkiej i szlachetnej cesarzowej! Ona pobłogosławi nasz związek!

Ale rozmowę małżonków przerwał Tritoni.

— Musimy wyruszyć w dalszą drogę — zawołał, wchodząc do namiotu, — najwyższy czas! Już dosyć straciliśmy przez ten przymusowy pobyt tutaj!

— Przyjacielu mój najlepszy — szepnęła Józefina, ujmując jego rękę, — proszę cię, pokochaj też trochę mego męża! Ja mu powiem, ile on tobie zawdzięcza. Wiedz Maksymiljanie — dodała, zwracając się do niego — że doktorowi zawdzięczam uczciwe nazwisko! Ja nie jestem córką szewca z Hernals.....

— Wiem o tem od dawna — przerwał Maksymiljan żywo — ale to mnie zbyt tak bardzo nie ucieszyło. Kocham ciebie taką, jaką jesteś, a nie twoje nazwisko i twoje miljony! Nauczyłem się pracować i mogę sam zarobić na utrzymanie rodziny!

— To dobrze — roześmiała się Józefina — bo będziemy zaraz duże mieć wydatki. Musimy wychować chłopca.

— Chłopca? Jakiego? — zapytał Maksymiljan zdumiony.

— Syna Felicji! — odrzekła Józefina poważnie

I teraz, razem z Tritonim, opowiadała mu o śmierci nieszczęśliwej Felicji.

— Byłyśmy rywalkami — dodała w końcu — i może być, że przeznaczenie byłoby zrobiło z nas zacięte nieprzyjaciółki, gdyby nas nieszczęście nie było zbliżyło do siebie! Umierającej przysięgłam, że będę uważała jej dziecko za moje własne — przyrzeknij mi i ty, że będziesz je kochał.

— Przysięgam, że będę mu ojcem — rzekł Maksymiljan uroczyście.

— Dziękuję ci z całego serca, najdroższy!

Teraz wezwał ich kozak na obiad i Józefina i Tritoni zabrali się z największym apetytem do jedzenia.

Po obiedzie, gdy panowie zapalili cygara, odezwał się Tritoni:

— Powiedz mi pan, jakim właściwie sposobem spotkałeś nas tutaj?

— Wyjechałem z Jekaterinenburga na początku śnieżnej zawieji, i musiałem wrócić — podróż była wprost niemożliwą! Czekałem więc, aż się powietrze trochę wypogodzi, i gdy już cierpliwość moja zaczęła się kończyć, wyszedłem raz sam za miasto, aby zobaczyć, czy na stepie jeszcze taki gwałtowny wicher.... Nagle ukazały mi się w dali dziwne jakieś postacie i gdy się zbliżyły, poznałem, że to byli kozacy!

Ale jak oni wyglądali! Jak upiory! Konie i oni sami wychudli, nędzni, skóra i kości — mundury podarte, włosy i brody były śnieżne, oczy błyszczące gorączką — takich spotkałem i zdjęty litością, zapytałem, skąd idą i czego chcą!

— Idziemy ze stepu — odrzekł jeden z nich — a chcemy jeść i pić!

— Było nas siedmiu, teraz tylko jest nas czterech! dodał drugi.

— Gdzie jest tych czterech?

— Zmarzli!

— Czy uciekliście z pułku? — pytałem dalej.

— Tak — nie — nie — ale nasz hetman.... Ach, ratuj go pan! Oni zginą tam wszyscy!

— Kto oni? — zawołałem, dziwnem tknięty przeczuciem.

— Ten stary doktor i baronowa.

— Jaki doktór? Jaka baronowa?

— Doktor Tri—tni.

— Tritoni! — krzyknąłem..

— Tak, i baronowa Józefina.

Doznałem w tej chwili takiego uczucia, jak gdyby mi się ziemia była z pod nóg usunęła.

Wiedziałem teraz. że znajdujecie się w wielkiem niebezpieczeństwie i pomimo próśb kozaków, pomimo przestróg oficerów, puściłem się natychmiast w drogę. Bóg poszczęścił mi — i zdaje mi się, że przybyłem w samą porę, aby ocalić moje całe szczęście, ciebie, ukochana Józefino, od okropnej śmierci!

— I nie doznałeś żadnej przeciwności? — zapytała młoda kobieta ze łzami w oczach.

— O, zimno dało nam się straszliwie we znaki, ale mieliśmy znaczny zapas wybornego koniaku. Możesz sobie jednak wyobrazić nasze przerażenie, gdy ujrzeliśmy owe stada wilków! Krew ścięła mi się w żyłach na ten okropny widok. Piętnastu moich kozaków stanęło frontem i dało ognia, raz drugi i trzeci, a to tak przeraziło resztę, że w jednej chwili rozproszyły się wilki, jakby ich kto zmiótł! Potem wbiegłem do chaty, ujrzałem ciebie pod pazurami wilka i strzeliłem..... Co się dalej działo wiesz...

— Sanki gotowe — rzekł teraz najstarszy z kozaków — czas w drogę!

Po upływie pół godziny nie było już śladu namiotu. W wygodnych saniach jechała Józefina z Feliksem, Maksymiljan i Tritoni, kozacy towarzyszyli im na koniach i tak pędził cały orszak do Orchowy.

Po spisaniu tamże protokołu co do śmierci nieszczęśliwego Murzufa, udali się podróżni do Jekaterinenburga, a ztamtąd już koleją do Petersburga.

Wieść o wzruszających losach Józefiny, o jej niewinności, o pobycie na Sybirze, o niebezpieczeństwach, jakie przechodziła i o cudownem nieomal ocaleniu rozeszła się lotem błyskawicy po całym Petersburgu, gazety umieszczały codziennie obszerne artykuły i tak stała się Józefina i mąż jej prawdziwymi bohaterami dnia.

-Najwytworniejsze towarzystwa zasypywały ich, oraz Tritoniego, zaproszeniami, wszyscy ubiegali się o zaszczyt przyjęcia ich u siebie, nawet sam car wezwał ich na śniadanie i kazał sobie obszernie opowiedzieć wszystkie ich przygody.

— Przykro mi — rzekł, gdy skończyli — że doznaliście tyle cierpień w mojem państwie! Są to bardzo smutne stosunki, ale właśnie ja, car Wszech Rosyi nie mogę wypełnić tego, czego tak gorąco pragnę! Moje ideały są niedoścignione! Chciałbym, aby wszystko było jak najlepiej, tymczasem — rzecz ma się zupełnie przeciwnie! Życzyłbym sobie chociaż w części wynagrodzić wam krzywdę, jaką wam tu wyrządzono, i dla tego proszę pana, zostań u mnie, jako mój doradzca i przyjaciel......

— Najjaśniejszy Panie, — odrzekł Maksymilian, — czuję się niezmiernie uszczęśliwiony słowami temi, lecz jabym pragnął wrócić do ojczyzny i służyć jej wiernie. Zdaje mi się też, że moja żona jest tego samego zdania!

— Brawo, lubię dobrych patryotów, — zawołał car. — Cesarz austryacki jednak zwolnił pana z służby wojskowej, a życzeniem cesarzowej Elżbiety jest, abyś tu pozostał. Co do mnie, to wyszukałem już dla pana pałac na Newskim — Prospekcie, który proszę przyjąć odemnie jako ślubny podarunek.

Maksymilian i Józefina mieli łzy w oczach.

Tyle Łaski tyle dobroci, nie spodziewali się nigdy!

— Ja zaś, — mówił car dalej, — mianuję pana generałem i moim osobistym adjutantem. Za odwagę, okazaną na stepie daję ci order św. Włodzimierza!

Mówiąc to, zdjął car swój własny order i podał go Maksymilianowi.

Carowa tymczasem ujęła rękę Józefiny i zaprowadziła ją do małego stolika przy oknie.

Na stoliku tym leżała wspaniała biblia, oprawna w złoto i drogie kamienie.

— Tę biblią, — rzekła, — przysyła ci moja najlepsza przyjaciółka, Elżbieta. Patrz, własną ręką napisała te słowa:

— Albowiem ten mój syn umarł i zmartwychpowstał, był zgubiony i znalazłam go znowu! Tym zgubionym synem byłeś pan, baronie Kronau! Ale gwiazda twoja prowadziła cię przez manowce życia i doprowadziła do celu, a tą gwiazdą jest — żona pana!

— Józefina, wzruszona do głębi serca, ucałowała gorąco rękę carowej.

— Dziękuję Najjaśniejszemu Panu, — rzekł teraz Maksymilian do cara, — za okazaną mi łaskę, i przyjmuję ją z najgłębszą wdzięcznością. Uważam się od tej chwili za oficera Waszej carskiej Mości i przysięgam wierność i posłuszeństwo do ostatniej chwili mego życia!

— Dziękuję panu!

Tritoni otrzymał także wysoki order i kosztowne podarunki i na tem skończyła się audyencya u cara i carowej.

ROZDZIAŁ CXXV.

Po siedmnastu latach.

Od tego czasu minęło lat siedmnaście!

Jest to kropla w morzu wieczności, ale dla ludzi — długa droga, na której nieraz mało wypoczynku i spokoju!

Dużo się rzeczy zmieniło w tym czasie!

W przepysznie urządzonej sali ogrodowej w dobrach barona Kronau, blizko Petersburga, siedzą przy suto zastawionym stole dwie osoby i podziwiają wspaniały widok, roztaczający się przed niemi.

Jest to właściciel tych dóbr, generał i adjutant cara Mikołaja i żona jego, zawsze jeszcze piękna, Józefina.

Najpiękniejszą ozdobą tego salonu jest naturalnej wielkości portret cesarzowej Elżbiety. Ale anielska ta kobieta malowaną jest w żałobnej sukni, a oczy jej mają wyraz nieskończonego smutku!

Ach, jest to smutek największy, najświętszy, jakiego serce człowieka doznać może — taki smutek, taką rozpacz czuje tylko matka po stracie ukochanego dziecka!

Mimowoli zwróciła Józefina teraz oczy na portret ten i westchnęła.

— Nie masz jeszcze listu z Wiednia? — zapytał Maksymilian.

— Nie!

— Może cesarzowa wyjechała nagle! Jest to nawet bardzo prawdopodobne!

— Donosiła mi przed kilku tygodniami, że teraz zamierza dłuższy czas pozostać w Wiedniu!

— Namyśliłaś się też dobrze nad tem wszystkiem? Chcesz doprawdy zrzec się obecności naszej jedynaczki na całe dwa lata? Nie sprzeciwiałem ci się, gdy mówiłaś, że zamierzasz posłać Elżunię na dwór wiedeński, — wiem, że pobyt u naszej najlepszej cesarzowej tylko jej na korzyść wyjść może, ale z drugiej strony — lękam się o nią. Elżunia jest bardzo piękną i bardzo młoda, dotychczas z pod twojej nie wychodziła opieki, ale posadzka na dworach królewskich bywa ślizgą.....

— Ale nie dla naszej córki, — przerwała Józefina żywo. — Ona nienawidzi wszystko, co złe i brzydkie, i kocha tylko cnotę, prawdę i piękno! Możemy ją śmiało wysłać do Wiednia, a gdybyś na to nie pozwolił, to trzeba ją wysłać gdzie indziej — ale w każdym razie jak najspieszniej!

Maksymilian zdumiony, spojrzał na żonę.

— Czemu? — zapytał krótko całując żonę.



Obawiam się — rzekła Józefina — że spokój jej serca jest tu zagrożony.

— Obawiam się, — rzekła Józefina, — że spokój jej serca jest tu zagrożony! Tego samego zdania jest także Tritoni!

— Nie rozumiem o co chodzi! Kto może jej tutaj stać się niebezpiecznym?

— Nie domyślasz się?

— Nie!

— Feliks!

— Kto? Nasz Feliks? — zawołał Maksymilian, spoglądając na Józefinę tak, jak gdyby własnym nie dowierzał uszom.

— Tak, on! Nie można mu wprawdzie nic zarzucić, ale.....

— Powiedz mi wszystko, — prosił generał. — Możesz sobie wyobrazić, jakie uczucia wzbudzają we mnie te dwa imiona Feliks i Elżunia! Gdzież miałem oczy, że tego dawno już nie widziałem! Uważałem ich dotąd za dzieci — wychowywali się jak rodzeństwo — i nigdy mi na myśl nie przyszło; że przywiązanie ich może być inne, jak braterskie! Widzę teraz, że popełniliśmy wielką nieostrożność, która się może ciężko na nas pomści!

— Mam nadzieję, że złe nie jest jeszcze tak wielkiem, aby się naprawić nie dało! Ja także żadnej na nich nie zwracałam uwagi; kochałam i kocham Feliksa, jak syna.....

— Ach nie mów już o tem! Jego syn! Gdy pomyślę, czja krew płynie w jego żyłach..... Ale on nie jest i nie będzie podobnym do ojca!

— Nigdy! Wychowanie nasze zatarło i wykorzeniło wszystko, co mogło być w nim złego!

— Powiedz mi teraz, co cię naprowadziło na myśl, że Feliks i Elżunia — ach, nie mogę nawet wymówić tego słowa! Chciałbym jednak wszystko wiedzieć, aby stosownie do tego postępować w przyszłości!

ROZDZIAŁ CXXVI.

Sielanka młodości.

— Słuchaj więc, — zaczęła Józefina. — Przypomnisz sobie może, że syn naszego sąsiada, młody hrabia Zorndorf wybrał się w dłuższą podróż po za granice Rosyi.

— Tak, — rzekł Maksymilian, — ale nie rozumiem, w jakiej on z tem jest styczności. Muszę zresztą wyznać, że nie lubię tego młodzieńca — chociaż tylko dwa lata starszy od Feliksa, zna on dokładnie życie wielkiego świata i wydał już ogromne sumy na karty i baletniczki. Gdyby nie stanowisko ojca, byliby go dawno wyrzucili z wojska, mianowicie za pobicie jakiegoś policyanta, czy coś podobnego.

— Masz słuszność — i ja go nie lubię i nie chętnie przyjmowałam go w naszym domu. Ale przez wzgląd na ojca nie można było inaczej postąpić. Młody ten łotr odpłacił jednak źle naszą gościnność — gdy bowiem spotkał raz Elżunię samą w parku, przyskoczył do niej i pocałował ją przemocą!

— Ach nędznik! — krzyknął Maksymilian w najwyższem uniesieniu, — dobrze, że mi to dzisiaj dopiero mówisz! Byłbym go wezwał do odpowiedzialności za ten czyn haniebny!

— Uspokój się, kara nie minęła go. W tejże samej bowiem chwili wybiegł Feliks z altanki, z której przez okno wszystko widział, i uderzył Edmunda Zorndorfa dwa razy w twarz tak, że godzinę później było jeszcze widać na obydwóch policzkach ślady pięciu palcy!

— Doskonale! Wybornie! Dzielny chłopak!

— Potem później pojedynkowali się obydwaj.....

— Nie może być! Więc bili się....

— Strzelali!

— No, proszę! I ja nic o tem nie wiedziałem!

— Najgorzej jednak, że Elżbieta o wszystkiem wiedziała. Ciebie nie było wówczas w domu. Elżbieta była blada, milcząca, na moje pytania, co jej się stało, odpowiedziała mi, że zęby ją bolą. Poszła do swego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Nie chciałam jej przeszkadzać, ale obudziwszy się o czwartej rano, udałam się do niej, aby zobaczyć, czy śpi. I któż pojmie moje zdziwienie, gdy ujrzałam pokój jej próżny i łóżko nie tknięte! Śmiertelnie przerażona, wybiegłam do parku, i tu ujrzałam na głównej alei rękawiczkę... Szłam więc dalej, na wpół nieprzytomna, aż do wielkiego dębu. Nagle usłyszałam dwa strzały — potem cisza. —

O czem wówczas myślałam — nie wiem!

Ale biegłam dalej ku łące.

I co tu ujrzałam?

Feliks i Edmund stali naprzeciwko siebie z pistoletami w ręku! Sekundantami ich byli jakiś oficer i — nasz poczciwy, kochany Tritoni! Co powiesz na to!

— W pierwszej chwili chciałam się rzucić między przeciwników, ale zanim ochłonęłam z przerażenia, padły drugie dwa strzały i Edmund został raniony.

— Zabity? zawołał Feliks.

— Nie ranny lekko, za dwa tygodnie będzie zdrów, odrzekł Tritoni.

Wtedy zmieniła się twarz Feliksa okropnie! Nie byłbyś go poznał. Zbladł, zsiniał, usta wykrzywiły się a oczy dzikim zabłysły ogniem. Zdawało mi się, że się chce rzucić na rannego!

— On nie ma żyć, — krzyknął, tracąc wszelkie panowanie nad sobą, i podniósł pistolet, — on musi umrzeć! Ja go zabiję!

— Ależ to straszne ,— szepnął Maksymilian. — W tej chwili odezwała się krew ojca.

— Tritoni i sekundant Zorndorfa, — mówiła Józefina dalej, — byli tak przerażeni, że stali bezradni, i kto wie, jakby się to wszystko było skończyło, gdyby nie Elżbieta! Z okrzykiem rozpaczy przybiegła do Feliksa, i oboje padli sobie w objęcia... Nie był to uścisk siostry i brata! Poznałam natychmiast ich uczucia i to, że miłość ich nie jest milczącą — bezwiedną! Nie! Jestem mocno przekonaną, że oni mówili już do siebie o swojej miłości, i że Feliks umiał sobie bez naszej wiedzy zdobyć serce naszej córki!

(Ciąg dalszy nastąpi).

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENÉ BAZIN.

(4) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Głos odpowiadał w tym samym szorstkim języku:

Czarna wstęga cór Alzacyi
 Serce moje wiąże bólem,
Wiąże bólem i radością,
 Bo to węzeł jest miłości!

Czarna wstęga cór Alzacyi.
 Jest to ptak o wielkich skrzydłach;
Może wzlecieć ponad góry,
 Spojrzeć tam, gdzie serce pragnie!

Czarna wstęga cór Alzacyi
 Jest jak smętny krzyż żałoby;
Przypomina serca bratnie,
 Co z naszemi społem biły!

Głos ten poznano z łatwością.

Śpiew się skończył i wszyscy zaczęli mówić o panu Ulrychu, który, zaledwie tolerowany w Alzacyi, cieszył się większą swobodą słowa, niż Alzatczycy, poddani niemieccy.

Śmiech i rozmowa w chmielniku stawały się głośniejsze, tembardziej, że pan Bastian się oddalił.

Szedł on krokiem ciężkim i pewnym w kierunku lasu, zkąd głos dochodził; wkrótce znalazł się w cieniu buków.

Tam ktoś nań czekał i widział jego przyjście.

Pan Ulrych Bichler siedział na skale, gdzieniegdzie porosłej mchem, znużony długą wędrówką w słońcu, z obnażoną głową. Miał on nadzieję, że śpiewem swym sprowadzi do lasu swego starego przyjaciela, Ksawerego Bastiana. I nadzieja go nie zawiodła.

— Oto miejsce dla ciebie, plantatorze chmielu — wołał zdala pan Ulrych, wskazując ręką duży głaz, na którym siedział; głaz ten leżał u stóp góry, między dwoma drzewami.

Pan Ulrych i mer Alsheimu, chociaż byli ze sobą na „ty,“ nie widywali się często. Łączyła ich nie tyle poufałość, ile wspólność przekonań, dążności, wspomnień. Byli przyjaciółmi z wyboru, a stara Alzacya zaliczała ich do swych najwierniejszych synów. Dlatego każde spotkanie sprawiało im przyjemność i sygnał pana Ulrycha odrazu został zrozumiany.

Pan Ulrych sądził, że pan Bastian, wyznaczywszy pracę swym robotnikom, będzie zadowolony z odpoczynku. Zaśpiewał więc swą piosnkę, jako odpowiedź na śpiew Julii i pan Bastian przybył na wezwanie.

Teraz blada i subtelna twarz pustelnika z Heidenbruchu, obok uprzejmości, wyrażała silne wzruszenie i niepokój trudny do ukrycia.

— Śpiewasz jeszcze — rzekł pan Bastian, ściskając dłoń pana Ulrycha — polujesz, chodzisz po górach!

Usiadł obok niego na kamieniu, ciężko oddychając, oparł nogi o paprocie i zwrócił się w stronę dębów, buków i krzewów, rosnących na zboczach gór.

— Tak. Jestem piechurem, leśnikiem, błąkam się po górach, ty znów starasz się jak najmniej wychodzić z domu. Ja zwiedzam Alzacyę, ty ją uprawiasz. Są to, w gruncie rzeczy, dwa rodzaje wierności... Słuchaj, Ksawery, muszę pomówić z tobą o sprawie, która mi bardzo leży na sercu.

Ociężała twarz pana Bastiana drgnęła, grube wargi się poruszyły. Po głębokiej zmianie wyrazu twarzy można było widzieć, jak dalece ten człowiek jest wrażliwy. Skryty z natury, nie odpowiadał ani słowa, ale czekał.

— Chcę ci powierzyć sprawę, która mi jest tak blizką, jak moja własna, dotyczy bowiem mego najukochańszego krewnego... Ksawery, nie chcę się z tobą bawić w dyplomacyę... Czy wiesz, że mój siostrzeniec Jan kocha twą córkę?

— Tak.

— A więc?

Dotąd patrzyli obaj w dal, przed siebie — teraz spojrzeli sobie w oczy i obaj się przerazili; jeden widział w oczach drugiego odmowę, a drugi — silny ból z powodu tejże odmowy.

— Nie! — rzekł pan Bastian głosem, który starał się uczynić szorstkim, ażeby opanować swe wzruszenie — nie mogę!

— Spodziewałem się tego... Ale, jeśli ci powiem, że oni kochają się oboje...

— Być może... Ale nie mogę!

— Masz zatem jakiś powód bardzo ważny!

— Tak.

— A mianowicie?

Pan Bastian wskazał palcem na widniejącą pomiędzy drzewami fasadę domu Oberle.

— Dlatego, że dzisiaj w tym domu składa wizytę prefekt Strasburga!

. . . — *Nie byłem upoważniony, aby ci o tem powiedzieć* dzisiaj. Właściwie miałem nawet zaczekać z rozmową, aż się wypadek dzisiejszy stanie wiadomym powszechnie.

— Już jest nim. Wszyscy w Alsheimie wiedzą o tem od służby p. Oberle. Twierdzą nawet, że pan von Kessewitz ma prosić o rękę panny Lucyny dla swego siostrzeńca porucznika von Farnowa.

— Wiem o tem.

— I chciałbyś?

— Tak.

— Chciałbyś, ażebym oddał swą córkę Janowi Oberle, ażeby jej teść był kandydatem z ramienia rządu na przyszłych wyborach, a szwagier pruskim oficerem?

Pan Ulrych spokojnie wytrzymał oburzony wzrok pana Bastiana i odparł:

— Tak. To wszystko jest dla Jana źródłem wielkiego cierpienia, ale on sam nic nie winien. Gdzieżbyś mógł znaleźć człowieka godniejszego ciebie i twej córki?

— A cóż on czyni, ażeby przeszkodzić małżeństwu siostry? Jest tutaj, a milczenie jego jest przyzwoleniem... to człowiek słaby...

Pan Ulrych przerwał mu gestem.

— Nie, to człowiek silny.

— Ale nie tak, jak ty, który umiałeś przynajmniej zamknąć swój dom.

— Bo dom ten do mnie należał.

— I nie jest takim, jak ja, mam prawo to wyrzec. Wszyscy dzisiejsi młodzi ludzie robią za dużo ustępstw. Co do mnie, nie bawię się w politykę. Milczę i uprawiam ziemię mojej Alzacyi. Nawet włościanie tutejsi, pomimo swego przywiązania do mnie, zaczynają mnie podejrzewać i uważać za człowieka kompromitującego. Wszyscy Niemcy mnie nienawidzą. Ale Bóg mi świadkiem, że to mnie tylko coraz więcej utwierdza w moich uczuciach. Nie zmienię się nigdy. Umrę, zachowując całą swą nienawiść nienaruszoną. Rozumiesz? Nienaruszoną...

W oczach jego zapalił się dziki blask. Przypominał wolnego strzelca, który nie zadrży nigdy i ze strzelbą na ramieniu, a okiem utkwionem w cel mierzy w nieprzyjaciela, pewny swej ręki.

— Należysz do innego pokolenia. Ksawery, ale nie powinieneś być niesprawiedliwym. Odmawiasz Janowi dlatego, że nie jest do nas podobny, a jednak on jest dzielnym człowiekiem.

— To jeszcze nie wiadomo.

— Nie chciał zostać urzędnikiem.

— Bo w kraju jest mu przyjemniej, a moja córka podobała mu się.

— Nie. Przedewszystkiem dlatego, że jest Alzatczykiem.

— Nie takim, jak my. Ręczę ci za to.

— Na swój sposób. Nasza młodzież zmuszona jest żyć wśród wrogów, kształci się w gimnazyach niemieckich, a miłość ich dla Francyi dowodzi większego hartu i poczucia honoru, niż nasza miłość. Pomyśl tylko, że upłynęło już lat trzydzieści!

— Niestety!

— Oni nie pamiętają dawnej Alzacyi i kochają tylko

tradycyę, kochają wyobraźnią. A przykłady odstępstwa także nie są zbyt rzadkie.

— Janowi istotnie nie brakło tych przykładów.

— A zatem powinieneś być sprawiedliwym dla niego. Pomyśl, że twoja córka, wychodząc za Jana, założy tu gniazdo rodzinne alzackie, silne i bogate. Oficer zaś nie będzie mieszkał w Alsheimie, nawet prędko opuści Alzacyę. Wkrótce imię jego będzie tylko wspomnieniem....

Pan Bastian oparł swą ciężką rękę na ramieniu pana Ulrycha i rzekł tonem, nieznoszącym dalszej dyskusyi:

— Słuchaj, mój drogi, powiem ci tylko jedno: małżeństwo to nie nastąpi nigdy, bo ja się nie zgodzę — wyrzucaliby mi je wszyscy członkowie mojej rodziny, żywi i umarli.... A zresztą, gdybym nawet przez słabość ustąpił, to obok mojej woli jest inna, silniejsza, która nigdy nie wyrzeknie „tak,“ nigdy, rozumiesz?

Z temi słowy pan Bastian opuścił przyjaciela i szedł wśród paproci z głową spuszczoną i podniesionemi ramionami ku stosom ściętego chmielu; wkrótce zbliżył się do robotników i zaczął przeglądać ich robotę. Na jego widok ustały śmiechy, a dziewczęta i parobcy, pochyleni pod palącemi promieniami słońca, w milczeniu kończyli pracę tak wesoło rozpoczętą.

Pan Ulrych ciężko strapiony wracał do swej pustelni, rozmyślając nad tem, jaki wpływ na losy Jana wywrze odmowa ojca Otylii i w jakich słowach oznajmi ją zakochanemu młodzieńcowi. Właściwie nie miał nadziei, nie widział szans powodzenia, a jednak szukał jeszcze w myśli środka dla zmiękczenia pana Bastiana.

Tysiące projektów krążyło w jego głowie, podobne do bąków leśnych, które, upojone słońcem, ścigały nieodstępnie wędrowca. Dokoła szemrały potoki. Stada drozdów przelatywały nad wąwozami, wesoło przecinając błękit nieba i dążąc do winnic i ogrodów leśnych w dolinach. Wszystko jednak było daremne. Pan Ulrych szedł dalej, smutny jak śmierć. Myślał tylko o swoim siostrzeńcu, który tak źle został wynagrodzony za swój powrót do Alsheimu. Z pomiędzy drzew i zastawionych sideł spoglądał od czasu do czasu na dom Oberle.

Ten, ktoby zajrzał w owej chwili do tego domu, znalazłby go dziwnie milczącym.

Wszyscy cierpieli.

Pan Filip, według zwyczaju, zjadł śniadanie w swoim pokoju. Pani Oberle na wyraźny rozkaz męża zgodziła się wyjść do salonu, gdy pan von Kessewitz przybędzie.

W każdym razie — powiedziała biedna kobieta — uprzedzam cię, że nie będę się zmuszała do żadnej rozmowy, ani wyjątkowej uprzejmości. Z obowiązku gospodyni domu muszę być obecną przy tej wizycie i nic nadto nie uczynię.

— Niech i tak będzie — odparł pan Obele. — Ja, Lucynka i Jan będziemy go zabawiali — to wystarczy.

Zaraz po śniadaniu udał się pan Józef do swego gabinetu.

Jan, który dziś niczem nie zdradzał entuzyastycznego usposobienia, natychmiast też opuścił jadalnię, obiecując wrócić na godzinę trzecią.

W żółtym salonie pozostała jedna Lucyna.

Miała na sobie skromną, ale bardzo elegancką suknię szarego koloru, której jedyną ozdobę stanowiła złota klamra u paska; zajęta była właśnie układaniem róż w kryształowe kielichy i w przezroczyste porcelanowe wazy, stanowiące kontrast z ciemną barwą ciężkich aksamitnych mebli.

Robiła ważenie i miała nastrój umysłu gracza, wygrywającego trudną partyę.

Na dwóch ostatnich zebraniach w Strassburgu ona sama rozpoczęła sprawę do ostatecznego załatwienia której brakowało obecnie tylko podpisu obu stron, zawierających umowę; podpisem tym miała być urzędowa kandydatura obiecana panu Józefowi Oberle w pierwszym wakującym okręgu Alzacyi. Wizyta pana von Kessewitza równała się podpisowi. Opozycya w osobie pani Oberle umilkła, a w osobie dziadka usunęła się na stronę i wyrażała się tylko w formie wyraźnej niechęci.

Młoda dziewczyna chodziła po salonie, zatrzymując się przed lustrem, umieszczonem nad złoconą konsolą i przyglądała się sobie z upodobaniem; powtarzała z miłym uśmiechem: „panie prefekcie“ i znajdowała uśmiech swój czarującym. Jedna tylko okoliczność gniewała ją, drażniąc dotkliwie dumę z odniesionego zwycięztwa: było to poczucie zupełnej pustki, która się dokoła niej wytworzyła

Nawet służba, zdawało się, postanowiła sobie nie być tam, gdzie była potrzebną — dzwonki pozostawały bez skutku.

Zaraz po śniadaniu pan Józef udał się do kredensu i rzekł do lokaja swego ojca, dobrodusznego Alzatczyka, który się uważał za służącego całej rodziny:

— Wiktorze, włożysz frak, żeby powitać wysokiego dygnitarza, który tu przybędzie około trzeciej.

Wiktor poczerwieniał i odparł ze smutkiem:

Słucham pana.

— Masz oczekiwać około ganku na przybycie powozu.

— Tak, panie.

Obietnica ta raniła jednak niewątpliwie uczucia Wiktora, który wymykał się i usuwał przy każdej sposobności, zjawiał się tylko na trzeci lub czwarty dzwonek, pomieszany i roztargniony, dowodząc, że nic nie słyszał.

Prefekt Strassburga przybędzie! Słowa te powtarzała Lucyna, rozmyślała też nad niemi pani Oberle, zamknięta w swoim pokoju. Ciężyły one niby chmura gradowa nad umysłem dawnego posła opozycyjnego Alzacyi, pana Filipa Oberle, który rozkazał, ażeby go pozostawiono samego; wywoływały nerwowe drgania w palcach pana Józefa, który załatwiał urzędową korespondencyę w kantorze tartaku i co chwila przerywał swoje zajęcie, przysłuchując się każdemu szmerowi, dźwięczały boleśnie, niby odgłos dzwonów pogrzebowych, w sercu Jana, który się udał do dzierżawcy Ramspachera; wreszcie były tematem, głównym motywem, dokoła którego obracała się ożywiona i gryząca ironią rozmowa robotników, zajętych zbiorem chmielu.

Wszystkie kobiety i dziewczęta farmy, a także robotnice, które zrana pracowały w chmielniku, zebrały się po południu w wązkiem i długiem podwórzu (farmy) Ramspacherów. Siedziały na krzesłach lub stołkach, mając po prawej stronie koszyk, a po lewej stos chmielu, z którego odrywały kwiaty i kładły je do kosza, odrzucając na bok ogolocone pnącza.

Jedne siedziały rzędem wzdłuż ściany domu, a inne wzdłuż ściany obory. Tworzyła się w ten sposób aleja z jasnych główek i postaci poruszających się wśród masy zieleni; pnącza przechodziły od jednej do drugiej robotnicy, tworząc coś w rodzaju żywego wieńca. Na końcu podwórza znajdowała się brama, otwarta na oścież i ukazująca w dali wioskę Alsheim, kościół częste szczyty i drewniane balkony domów, płaskie pokrycia dachów. Drogą, prowadzącą z Alsheimu, przybywały co pół godziny nowe wozy naładowane chmielem. Przed domem mieszkalnym znajdowała się ogromna szopa, w której stary Ramspacher doglądał robotnic zajętych obrywaniem zielonych dzwoneczków. Szopa przedstawiała obszerny budynek, pokryty płaskim dachem, opierającym się z jednej strony o murowaną ścianę, a z drugiej o jodłowe słupy. Odbywała się tu większość robót farmy i przechowywały się rozmaite bogactwa. Tu wyciskano winogrona; w jesieni i w zimie młócono zboże; w rogach budynku ustawione były narzędzia rolnicze, wózki, deski, materyały budowlane, puste beczki, trochę siana, tam też leżały jedne na drugich duże skrzynie drewniane i maty plecione na których co roku chmiel suszono. Nigdy, dzierżawca nie przelewał na nikogo swej trudnej do wykonania czynności. Zajął więc swoje zwykłe stanowisko przed suszarnią, której niższe półki pokryte już były zielonemi szyszkami i stojąc na drabinie, sypał ile mógł najrównomierniej na górne półki stożki chmielu, podawane mu przez synów.

Upał sierpniowy tego popołudnia, woń liści zgniecionych i kwiatów zmiażdżonych upajała trochę kobiety. Podniosły się śmiechy i rozmowy jeszcze głośniejsze, niż zrana, krzyżowały się ożywione zapytania, odpowiedzi, sentencye. Za temat do rozmowy służyły dzisiejsze zbiory, przejście jakiegoś sąsiada lub sąsiadki po placu białym od słońca i kurzu, przeważnie jednak zajmowano się dwoma ważnemi wypadkami, mianowicie: wizytą prefekta i przypuszczalnem małżeństwem Lucyny.

Piękna Julia, córka zakrystyana, pierwsza podniosła tę palącą kwestyę:

— Mówię wam, że Wiktor opowiadał o tem synowi cieśli. Prefekt przybędzie tu za pół godziny. Nie myślcie tylko, że się ztąd ruszę, gdy mimo nas przejeżdżać będzie.

— Zobaczyłby zbyt ładną dziewczynę — rzekł August Ramspacher, zabierając dwa kosze, napełnione chmielem. — Tylko brzydkie zechca mu sie pokazywać.

...a te słowa Ida, unosząc lekko swą niebieską w grodnicę, Oktawia, której jasne włosy splecione w dwa ...ze tworzyły złotą aureolę dokoła głowy, Regina, ...biednego krawca i inne dziewczęta zawołały ze śmie...

— W takim razie nie ja! I nie ja! Nie ja!

A stara kobieta, jedyna niewiasta w podeszłym wieku, ...ruczała:

— Wiem, że jestem biedna, prawie nędzarka, ale wo...łbym, ażeby ten prefekt odwiedzał innych, nie mnie.

— Naturalnie.

Wszyscy rozmawiali zupełnie swobodnie. Słowa mie...ały się z wybuchami śmiechu i szelestem deptanych liści.

W półcieniu stodoły na stosie belek siedział z głową ...spartą na ręce niemy świadek tej sceny, Jan Oberle.

Mieszkańcy Alsheimu zaczynali już nabierać zaufania ...o młodzieńca, który od pięciu miesięcy żył w pośród nich. ...Wiedzieli, że jest dobrym Alzatczykiem. W obecnej chwi...li odgadywali, że ukrył się na farmie Bastiana, ponieważ potępiał ambicye, dla której jego ojciec poświęcał tyle osób i tyle rzeczy. Wszedł do stodoły, mówiąc, że chce trochę odpocząć i ukryć się od palących promieni słońca, w rzeczywistości jednak przybył tu, bo w domu widok tryumfującej Lucyny był dla niego męczarnią nie do zniesienia. Nie wiedział jeszcze o rannej rozmowie między wujem Ulrychem i panem Bastianem. Do udręczonej jego duszy wracała ciągle myśl o Otylii, ale odpychał ją od siebie, bo nie chciał stracić panowania nad sobą, wiedząc, że za chwilę będzie mu potrzebna cała przytomność umysłu i cała siła woli; od czasu do czasu spozierał na robotnice, starając się zainteresować ich pracą, kiedy niekiedy zdawało mu się, że słyszy turkot powozu i wtedy zrywał się z miejsca, przypominając sobie, że obiecał być w domu podczas wizyty pana von Kasevitza.

Ozwał się wesoły, ożywiony głos Julii:

— Ale pocóż ten prefekt Strasburga przybywa do Alsheimu? Tak pysznie obchodzimy się bez Niemców!

— Oni dążą do tego, aby obudzać coraz większą niechęć — dodał natychmiast starszy syn dzierżawcy, rozdając nowe partye chmielu kobietom, które już ukończyły swoją robotę. — Zdaje się, że zabraniają, gdzie tylko mogą, mówić po francuzku.

— Dowodem jest mój kuzyn, Franciszek Józef Steiger — wtrąciła Reginka, córka krawca. — Jakiś żandarm utrzymywał, że słyszał go wołającego w oberży: „Niech żyje Francya!“ Były to jedyne słowa, które mój kuzyn umiał powiedzieć po francuzku. A mimo to, skazano go na dwa miesiące więzienia.

— O, twój kuzyn przynajmniej wykrzyknął głośno! Ale w Albertchweiler Niemcy zabronili Towarzystwu spiewaczemu wykonywania piosnek francuzkich.

— A magik francuzki, który niedawno przyjeżdżał do Strasburga? Nie wiecie nic? Przecież pisały o tem wszystkie dzienniki. Pozwolono mu złożyć opłatę, wynająć salę, wydrukować afisze, a potem powiedziano: „Dasz pan przedstawienie w języku niemieckim, albo wyjeżdżaj ze Strasburga!“

— Gorzej jeszcze postąpiono z panem Maasem, malarzem pokojowym.

— Cóż go spotkało?

— Maas wiedział, że na szyldach zabroniono dawać nowe napisy w języku francuzkim i nie byłby nigdy postąpił wbrew zakazowi. Sądził jednak, że może powerniksować stary szyld z napisem istniejącym oddawna: „Skład bielizny.“ I za ten czyn sprowadzili go do Strassburga i zagrozili procesem. Było to w październiku...

— Oh! oh! Pan Hamm byłby mocno zadowolony, gdyby burze i deszcze zniszczyły napis „Biały gołąb“ na szyldzie naszej oberży, tak jak się to już stało z „Bocianem.“

W progu domu ukazała się żona dzierżawcy, do której zwróciła się stara Józefa ze słowami:

— Smutna jest dzisiejsza Alzacya! A była tak wesołą za czasów naszej młodości. Nieprawdaż, pani Ramspacher?

— Tak, a teraz za najmniejszą drobnostkę wygnanie, proces, więzienie! Na każdym kroku grozi policya.

— Wolałabyś milczeć! — zawołał Ramspacher tonem wymówki.

Franciszek, chcąc się ująć za matką, rzekł:

— Niema tu przecież zdrajców! A zresztą czyż można zawsze milczeć? Jarzmo niewoli jest zbyt ciężkie. I dlatego to tylu z nas emigruje.

Ze swego kąta Jan patrzył na zasłuchane dziewczęta, na ich oczy płonące i rozognione twarze; jedne z nich stały wyprostowane, nieruchome, inne pochylały się nad robotą, obrywając zielone pnącza.

— Pracujcie lepiej, zamiast tych ciągłych gawęd — odezwał się znów głos dzierżawcy.

— W styczniu trybunał w Saverne jednego dnia skazał stu siedemdziesięciu opornych — zaczęła znów Julia z gorzkim śmiechem. — Stu siedemdziesięciu!

Franciszek, duży chłopak, niezgrabny, niedbały, stojąc obok Jana Oberle, zrzucił na półkę suszarni kosz chmielu i rzekł cicho:

— Najlepiej przechodzić granicę przez Grand-Fontaine, właściwie między Grand-Fontaine i Minieres... najłatwiejsze przejście... pas graniczny w kształcie ostrogi... nigdzie granica nie jest tak blizką, tylko trzeba się wystrzegać leśnika i strażników, często bowiem zatrzymują przechodniów, zapytując, dokąd idą...

Jan zadrżał. Co to miało znaczyć? Po chwili zaczął:

— Dlaczego zwracasz się do mnie?

Ale młody chłopak już odszedł i wrócił do swego zajęcia. Bezwątpienia mówił sam do siebie, powierzał swój własny projekt swojakowi, którego chciał rozweselić, zająć a może zadziwić i wzbudzić większą sympatyę dla siebie.

Jana wzruszyło to zwierzenie.

W tem odezwał się jakiś głos miękki:

— Patrzcie, powóz wjeżdża do wioski, za chwilę tu będzie!

Wszyscy podnieśli głowy.

Mała Franka, stojąca przy słupie bramy wjazdowej, wychyliła się za parkan ogrodzenia, spoglądając na prawo, zkąd dochodził turkot powozu, wiatr rozwiewał jej kręcące się włosy.

Wszystkie kobiety przerwały swą pracę, szepcząc z cicha:

— Prefekt! Tam! Już się zbliża!

Dzierżawca, zdziwiony nagłem milczeniem robotnic, wyszedł ze stodoły na podwórze, rozejrzał się dokoła i widząc, co się dzieje, zawołał:

— Zamknij bramę, Franka!

A później zamruczał:

— Nie chcę, ażeby on widział, co się dzieje u mnie!

Dziewczynka poruszyła jedną połowę drzwi, wychylając ciekawie swą główkę na zewnątrz.

— Oh! Jak to zabawnie! Nie będzie mógł powiedzieć, że widział dużo ludzi... Nikt się nie oderwał od swych zajęć... tylko Niemki... te się zgromadziły koło „Bociana.“

— Czy ty zamkniesz tę bramę? — krzyknął gniewnie dzierżawca.

Tym razem dziewczyna usłuchała. Z hałasem zwarły się obie połowy bramy. Wyraźniej jeszcze usłyszano turkot powozu, przerywającego ciszę Alsheimu. Kto mógł, przyglądał się prefektowi z po za szyb i węgłów, ale nikt nie wyszedł na próg domu, a robotnicy w ogrodach, zajęci przekopywaniem kwater, zdawali się tak pogrążeni w swej pracy, że nawet nie podnieśli głowy, jak gdyby nic nie słyszeli...

Kiedy powóz był już o jakich pięćdziesiąt metrów ... za fermą, wszystkim stanął w oczach dom Oberle i spojrz... w stronę Jana, ciekawi, jak się też on zachowa.

Ale Jana nie było już w stodole.

Usłyszawszy turkot, podniósł się z miejsca i pobi... szybko ku domowi, chcąc dotrzymać danego słowa. Bl... pomimo szybkiego biegu, zatrzymał się przy furtce ogr... warzywnego właśnie w chwili, gdy powóz prefekta ... żelazną kratę parku.

W domu wiedziano już, że nadeszła chwila uro... Pani Oberle i Lucyna siedziały przy kominku, nie m... do siebie ani słowa. Koło okna stał przemysłowiec w ... niu, które zawsze wkładał, udając się do Strasburga i w... łej pikowej kamizelce. Przed pół godziną już wrócił ... ra i z rękami w tył założonemi patrzył na lando, okrą... trawnik.

Wszystko się dziś odbywało według progra... wno przezeń ułożonego. Wysoki dygnitarz, który z... le wstąpi w jego progi, przynosi z sobą zapewnieni... dów niemieckich. Powiew dumy wstrząsnął nim ...

...e... wyobraźnia ukazała mu pałac sejmowy Rzeszy Niemieckiej.

— Moniko — rzekł zadyszany, jakby po długim marszu — czy syn twój nareszcie wrócił?

Pani Oberle, siedząc w żółtym fotelu przy kominku, odparła, powściągając wzruszenie:

— Wróci, ponieważ obiecał.

— Faktem jest, że go dotąd niema. A hrabia von Kessewitz przybędzie za chwilę... Gdzież Wiktor? Sądzę, że powinien być na ganku i pilnować przybycia powozu.

— I ja tak sądzę.

Pan Józef Oberle, rozgniewany przymusem, jaki sobie zadawała jego żona i potępieniem, które odczuwał nawet w tem poddaniu się jego woli, przebiegł pokój, pociągnął silnie za sznur starego dzwonka i uchylając drzwi, prowadzące do sieni, stwierdził, że Wiktora tam nie było.

Musiał się cofnąć, gdyż odgłos kroków na ganku mieszał się z ostatniemi dźwiękami dzwonka.

Pan Józef stanął przy kominku, naprzeciw drzwi, obok swej żony. Piasek na ganku skrzypiał pod stopami wchodzącego.

Dzwonek nie pozostał bez skutku. Za chwilę państwo Oberle spostrzegli starą klucznicę, Salomeę, z twarzą bladą, jakoby woskową, z zębami zaciśniętemi, która otwierała drzwi, nie mówiąc słowa i wpuściła pana von Kassewitz.

Był to mężczyzna wysoki, szeroki w ramionach, ubrany w długi surdut. Zdawało się na pierwszy rzut oka, że rysy jego twarzy sprzeczają się z sobą: czoło wypukłe, policzki zaokrąglone, nos szeroki, brwi krzaczaste i twarde; spiczaste wąsy i bródka ostro wysuwały się naprzód. Tę twarz kawalerzysty niemieckiego, złożoną z zaokrągleń i spiczastości, ożywiało dwoje oczu, prawdopodobnie barwy niebieskiej, bystrych i przenikliwych, kryjących się zawsze w cieniu brwi najeżonych i spuszczonych powiek. Włosy, rzadkie już na skroniach, były zaczesane w tył głowy i spadały za uszy.

Pan Józef Oberle zbliżył się ku hrabiemu, mówiąc po niemiecku:

— Panie prefekcie, wizyta pańska jest dla nas prawdziwym zaszczytem.... Że też pan chciał się trudzić.

— Urzędnik pochwycił i uścisnął dłoń, którą wyciągał ku niemu pan Oberle.

Nie patrząc jednak na gospodarza domu i nie zatrzymując się przy nim, szedł dalej po puszystym dywanie, z oczami utkwionemi w szczupłą postać w żałobie, stojącą przy kominku. Zbliżył się do niej i skłonił głęboko całym korpusem.

— Pan hrabia von Kessewitz — rzekł pan Oberle, ponieważ prefekt nie był dotąd przedstawiony jego żonie.

Ta lekko skłoniła głowę i nic nie odrzekła.

Hrabia von Kessewitz wyprostował się, zaczekał chwilę, następnie nadrabiając miną i udając dobry humor, który go prawdopodobnie opuszczał, powitał Lucynę zarumienioną i uśmiechniętą.

— Przypominam sobie, że widziałem panią u jego ekscelencyi namiestnika — wyrzekł. — I chociaż Strassburg jest nieco oddalony od Alsheimu, ,uważam jednak, że są to cuda, których piękność hojniej wynagradza trudy tej podróży, niż ruiny Wogezów panie Oberle.

Wyrzekł te słowa z uśmiechem zadowolenia i siadł na żółtej kanapie, tyłem do światła, z twarzą zwróconą ku kominkowi.

Po chwili zapytał przemysłowca, który umieścił się obok niego:

— Czy syn pański jest nieobecny?

Pan Oberle strwożony nadsłuchiwał uważnie. Na szczęście mógł odpowiedzieć:

— Oto on, panie prefekcie!

Rzeczywiście, młody człowiek wszedł do pokoju. Pierwsza osoba, którą spostrzegł, była matka. Zawahał się chwilę, a jego oczy młode, wrażliwe zadrgały nerwowo, jak gdyby były skaleczone. Szybko odwrócił się ku kanapie, uścisnął wyciągniętą rękę gościa i poważny, mniej zmieszany od ojca, z większym od niego spokojem wyrzekł po francusku:

— Wracam ze spaceru, panie prefekcie. Biegłem, aby się nie spóźnić, ponieważ obiecałem ojcu, że będę w domu, gdy pan tu przyjedzie.

— Zbytek uprzejmości — odparł urzednik, śmiejąc sie głośno. — Dotąd z ojcem pańskim rozmawialiśmy po niemiecku, ale mogę prowadzić rozmowę i w innym języku niż mój narodowy.

I mówił dalej po francusku, kładąc akcent na pierwszych zgłoskach wyrazów:

— Podziwiałem, panie Oberle, pański park i cały ten kraik Alsheimu. Bardzo tu ładnie. Ale jesteście otoczony, o ile mi się zdaje, ludnością oporną i prawie niewidzialną; przed chwilą przejeżdżając przez wieś, zaledwie dostrzegłem istoty żyjące....

— Są obecnie zajęci w polu — rzekła pani Oberle.

— Kto tu jest merem?

— Pan Bastian.

— Tak, przypominam sobie. Jest to, zdaje się, rodzina bardzo zacofana...

Zapytywał nietylko słowami, ale i wzrokiem, przechylając szybkim, wojskowym ruchem ciężką swą głowę ku dwom kobietom i Janowi. Trzy odpowiedzi nastąpiły jednocześnie:

— Zacofani, tak — powiedziała Lucyna — ale uczciwi ludzie.

— To tylko ludzie starej daty — dodała pani Oberle.

Jan zaś rzekł:

— Ale co najgłówniejsze to, że zasługują na uznanie.

— Ach, tak, wiem, co to ma znaczyć.

Tu prefekt zrobił gest wymijający.

— Ostatecznie... byleby postępowano uczciwie.

Ojciec uratował sytuacyę.

— Mało tu jest rzeczy do pokazania panu, panie prefekcie, ale może pana zainteresuje moja fabryka. Jest ona duża i ożywiona, zaręczam panu. Sto robotników, maszyny w ruchu, jodły dwudziestometrowe, które w trzy minuty rozcięte są na deski lub krokwie. Czy chciałby pan ją zwiedzić?

— Owszem, chętnie.

— Rozmowa, w ten sposób odwrócona, stała się mniej wymuszoną. Zaczęto mówić o źródłach przemysłu rodziny Oberle, o losach Wogezów; porównywano system niemiecki ścinania drzew przez administracyę leśną i system francuski, według którego nabywcy sami ścinali drzewo pod dozorem leśników. Każdy mógł wtrącić do rozmowy swoje zdanie. Lucyna się ożywiła; pani Oberle, zapytywana przez męża, odpowiadała; Jan mówił również. Urzędnik był zadowolony ze swego przybycia.

Na znak, dany przez ojca, Lucyna się podniosła, aby zadzwonić na lokaja i kazać podać przekąskę.

Nie miała jednak czasu dojść do drzwi, gdy te się otworzyły i ukazał się w nich Wiktor, którego przed chwilą nie było na stanowisku; zaczerwieniony, zmieszany, ze spuszczonemi oczami prowadził pana Filipa Oberle; starzec, możliwie wyprostowany, wspierał się na lewem ramieniu służącego.

Osoby zebrane w salonie rozmawiały, stojąc. Wiktor zatrzymał się w drzwiach i zaraz się cofnął. Pan Filip wszedł sam, oparty na lasce. Miał na sobie piękne ubranie z czasów, kiedy był jeszcze w pełni sił. Rozpięty surdut ozdabiała wstążka legii honorowej. Silne wzruszenie zmieniło go do niepoznania. Wyglądał o dwadzieścia lat młodziej. Zbliżał się drobnemi krokami, pochylony trochę naprzód, ale z głową silnie i wysoko podniesioną, spoglądając tylko na jednego człowieka, na urzędnika niemieckiego, który stał oparty o kanapę. Szczęki starca drżały i kurczyły się, jak gdyby wymawiał słowa, których nie można było słyszeć.

Czy pan Oberle się omylił, czy też chciał odwieść ojca od jego zamiaru, zwrócił się bowiem do zdziwionego i zaniepokojonego pana von Kessewitz ze słowami:

— Panie prefekcie, ojciec zrobił prawdziwą niespodziankę, schodząc na dół; nie liczyłem na to, że zechce się z nami połączyć.

Oczy starego deputowanego natężone pod ciężkiemi powiekami, nie opuszczały Niemca, który milczał i nadrabiał miną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

P. P.

Szanownej Publiczności miasta Poznania i okolicy podaje uniżenie do wiadomości, iż otworzyłem

Skład towarów kolonialnych i delikatesów

przy ul. Wodnej Nr. 8.

i proszę Szanowną Publiczność o poparcie mojego przedsiębiorstwa, za co ze swojej strony służyć będę jaknajlepszym towarem i rzetelną nsługą. 130

Z głębokim szacunkiem

Hans Wittig.

Wodna ul. 8.

„Express”

Hieronim Paul

Poznań św. Marcin No. 66.

Interes spedycyjny i komisowy

przyjmuje przewózki wszelkiego rodzaju.

Uskutecznia przeprowadzki miejscowe i pozamiejscowe po cenach umiarkowanych. 104

Łazienki i zakład wodoleczniczy

Poznań, Rycerska 15.

Kąpiele zwykłe w wannach. Kąpiele z dodatkami leczniczemi wszelkiego rodzaju. Kąpiele z kwasem węglowym. Kąpiele piaskowe. Kąpiele parowe. Kąpiele rzymsko-iryjskie. Zabiegi wodolecznicze, tusze: zimne, ciepłe, szkockie, **parowe,** wydzielane **nowo sprowadzonym przyrządem,** systemu Profesora Winternitza.

Kąpiele elektryczne świetlane podług najnowszego systemu, Kąpiele ze światłem żarowem lub łukowem, opromienienia miejscowe, kąpiele częściowe świetlane: na tułow, na rękę lub nogę. 46

Baczność! **Baczność!**

Spółka sprzed. mięsa, wyrobów mięsnych

i Kasa oszczędności

sp. zp. z o. p.

w Poznaniu, W. Garbary 45.

zakupuje inwentarz wprost od członków, wskazuje źródło zakupu inwentarza także do chowu jak też do tuczu na opasy, tylko członkom dostarczać będzie mięsa i wyrobów mięsnych zawsze niżej ceny giełdowo targowej.

Kasa oszczędności płaci od złożonych depozytów;

za trzy dniowem wypowiedzeniem 3½ %
„ trzymiesięcznem „ 4 „
„ półrocznem „ 4½ „
„ rocznem „ 5 „

Przyjmuje drobne oszczędności poczàwszy od 10 fen.

Warunki przyjęcia są n. p. 3 m. wstępne, udział 20 m. suma gwarancyjna 20 m.

Dla uniknięcia różnych od nas niezależnych przeszkód prosimy oferty i zgłoszenia przesłać pod adresem: 109

Fleisch u. Fleischwaren Herstellungs u. Verkaufsgeselschaft und Sparverein

E. G. m. b. H.

Posen Gr. Gerberstr. 45.

Wykłady dla urzędnikòw gospodarczych

odbędą się w dniach (117)

18, 19 i 20 lutego 1902 roku.

t. j. we wtorek, środę i czwartek, na starej sali w Bazarze w Poznaniu, wejście od Nowej ulicy.

Za nadesłaniem 3 mk. wpisowego na ręce sekretarza Zarządu WPana Koszutskiego w Poznaniu, Półwiejska ul. Nr. 5 I, przesyła się odwrotnią pocztą kartę wstępu z dokładnym planem wykładów. Pożądane są najwcześniejsze zgłoszenia, aby nie wykupować kart wstępu dopiero w dniu wykładów. Adresować należy:

Ziemianin — Posen.

Poznań, w lutym 1902 r.

Zarząd Centr. Tow. Gosp. w W. Ks. Pozn.

Niniejszem mam zaszczyt jaknajuprzejmiej donieść, że z dniem 8 lutego otworzyłem

w Poznaniu przy ul. Wiktoryi 19.

(wprost ul. Berlińskiej)

pod firmą:

A. Kosidowski

Pierwszorzędny zakład krawiecki

zaopatrzony w wielki wybór materyałów z fabryk renomowanych.

Łaskawe zamówienia wykonuję nobliwie modnie **pod osobistą i gruntowną znajomością fachową.**

Prosząc uprzejmie o łaskawe poparcie mojego przedsiębiorstwa, kreślę się

Z wysokim szacunkiem 139

A. Kosidowski.

Baczność Rodacy!

F. Tomaszewski

mistrz stolarski.

Poznań, Chwaliszewo No. 31.

przyjmuje zamówienia na meble wszelkiego rodzaju, jako gotowe wyprawy, budowle, pojedyncze sztuki dla służebnych po najniższych cenach.

Robota trwała i gustowna

ceny przystępne.

Komody 13 m. Krzesełka sztuka 2 m.. Skrzynki 7,50 m. Kuferki 12 m. Szatka do chleba 5 mk. Szafy do rzeczy lub za szkłem misternie odrobione począwszy od 26 m. i t. d. 103

Gabinet dentystyczny

J. Gulińskiej

Poznań, ul. Berlińska 19

(nad Schneidrem). 25

Plomby, zęby sztuczne i t. d.

Robota pierwszorzędna pod gwarancyą. Ceny umiark.

W Chełmży, mieście liczącem 9000 mieszkańców jest korzystnie położony

skład

nadający się do handlu towarów łokciowych i garderoby od zaraz lub od 1-go kwietnia r. b. do wydzierżawienia. Chrześcijańskiego tzkiego interesu dotąd nie ma w miejscu.
Zgłoszenia przyjmuje (111)

Wiktor Stefański jr.
Chełmża, (Culmsee.)

Oberża

w powiatowem mieście w głównej ulicy, z zajazdem i stajniami jest od zaraz lub 1-go kwietnia do sprzedania, cena przystępna, płata podług ugody. 131

Łask. oferty uprasza się do eksp. „Pracy“ pod No. 1001.

Sprzedaję od zaraz lub później moją bardzo dobrze idącą

oberżę

w powiatowem mieście, blizko rynku, targowiska i przy sądzie z całkiem urządzeniem za 33 tysiące marek. Dzierzawy przynosi 600 marek. Budynki znakomite. Pewna egzystencya dla rodaka. 126

Łaskawe oferty uprasza się pod lit. B. 100 do eksp. „Pracy.“

Ekonom

żonaty, z małą familią, liczący lat 39, zdrów, trzeźwy, energiczny, dobrego wzrostu, biegły w korespondencyi w obydwóch językach, 6 lat w obecnej posadzie, którą opuszcza dla sprzedaży w obce ręce, poszukuje posady przy skromnych warunkach. Rekomendacye jak najlepsze.

Łask. oferty upassza uprzejmie pod lit. J. K. 108 do ekspedycyi „Pracy.“ 108

Troskliwa.

Mąż. Ależ żono! Pocóż na wieś pakujesz tak drogą koszulę koronkową! Przecież się to zniszczy..,

Żona. Tak? A jeżeli w nocy ogień wybuchnie i będę musiała uciekać — to co wtedy?...

Panienka, z dobrej i zacnej rodziny, posiadająca 15,000 m. gotówki, 25 lat, miłej powierzchności, blondynka, skromnie wychowana, praktyczna, poszukuje z braku znajomości

męża.

Kupiec dobrze rytuowany i stałego charakteru ma pierwszeństwo. 143

Reflektanci niech się raczą zgłosić do eksp. „Pracy“ pod lit. W. S. 100. Dyskrecya rzecz honorowa. Fotografia na żądanie.

Kupiec

kawaler 24 lat, właściciel małego, ale dobrze prosperującego interesu w jednym z wielkich miast niemieckich poszukuje

żony.

Panny lub młode wdówki gospodarne, skromnie wychowane, posiadające cokolwiek majątku i chęć do interesu, zechcą łask. swe oferty wraz z fotografią przesłać z zaznaniem do eksp. „Pracy“ pod lit. **S. Z. 149.**
Dyskrecya rzecz honorowa. 149

W muzeum osobliwości.

Przewodnik wskazując na wiszące rogi — To są słynne rogi, które Dalila przypięła Samsonowi.

Karty okrętowe

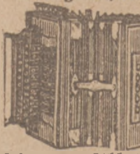
z Hamburga do Ameryki i Brazylii itd.
poleca 353

Adam Spektorek
w Chodzieżu (Kolmar i Pr.).

☞ Kto karty okrętowe u mnie kupuje, jedzie pod opieką stowarzyszenia św. Rafaela, na czele którego stoją księża katoliccy, przez co ochroni się od każdej moralnej i materyalnej straty.

Meinel & Herold

Harmonikafabrik
Klingenthal (Sachsen) Nr. 181



versend. pr. Nachn anerkannt solid; **Concert-Zug-Harmonikas** ca. 34 cm hoch, mit prächtigem Orgelton, offener Klaviatur **verbess. Stahlfederung**, 3thl., (11flt.) Doppelbalg m. best Metallschutzecken (Eckenschon.) Doppelbässer
10 Tast., 2chör. 2 Reg., 50 Stim. M. **5.**—
10 „ 3 „ 3 „ 70 „ „ **7.**50
10 „ 4 „ 4 „ 90 „ „ **9.**50
21 „ 2mal 2chör., 108 „ „ **11.**—
Schule, Kiste umf. Port. extr. And. Harm **85** versch. Nr.) bill. **Illustr. Catalog frei.** Wir bitten dringend, unsere Harmonikas nicht mit billiger offerirt zu verwechseln Garantie: Zurücknahme u. Geld retour
☞ **Ueber 3000 Dankschreiben.** ☜

Na brodawki i odciski
łagodny biały, skuteczny płyn poleca 2 flakoniki 1 markę (2 tuziny 9 mk.) fr. pocztą za zaliczką. Sprzedającym 50% rabatu. 115
Handel techniczno-drogeryjny
S. Maszewski w Ostrowie.

Hurtownie. Detalicznie
NA POST

polecam:
śledzie opiekane
„ zawijane
„ delikatesowe
„ w galarecie
sardynki ruskie
„ w oliwie
rozmaitej marki minogi, albrytki oraz i inne marynaty w puszkach. 102

Również wędliny dziennie świeżej przesyłki jako to: bydlinki (specyalność), sielawki, węgorz w galarecie, węgorz wędzony i to wszystko w jak najlepszym towarze odstawia po cenach targowych

Handel kilońskich wędlin
A. Pytliński
Wrocławska ul. 1.

Biegłą i dzielną

naklejaczkę

na stałe zatrudnienie i za wysokiem wynadgrodzeniem przyjmie zaraz lub później 112

W. SZELMECZKA
Handel skór i fabryka cholewek
Inowrocław.

Skład cygar

przy ulicy Fryderykowskiej w Bydgoszczy jest natychmiast do nabycia.
St. Tomaszewski,
Bydgoszcz. 118

Poszukuję dzierżawy

młyna

mniejszego albo mniejszego

gospodarstwa

lub też zajęcia na młynie. Łaskawe oferty uprasza się do Eksped. „Pracy“ pod lit. **S. 122.** 122

Ucznia

przyjmie

St. Życkliński
w Gnieźnie.

Jedyna istniejąca polska fabryka mydeł. 124

---

10 książek

różnej treści zamiast za 32,00 m. za tylko 3,50 m.

1—3 „Historya panowania Jana Kazimierza“ przez W. Kochowskiego. 3 tomy, cena 15 mrk.

4), Pamiętniki z r. 1809 1810 i 31 przez L. Szczanieckiego, pułkownika wojsk polskich“, cena 4 m. 50 fen.,

5) „O legionie polskim we Włoszech 1848 r.“. przez M., Poznań, cena 1,50 mrk.

6) Naprawa Rzeczypospolitej. O wolności Rzeczypospolitej. Votum szlachcica polskiego. Kraków. Cena 2,50 mr.

7) „Jenerał Bem w Siedmiogrodzie i Węgrzech r. 1848/49“ przez jenerała Czatza, cena 2 mk.

9) O konfederacyi barskiej“. Kraków. Cena 1,50 mk.

9) „Zbiór poezyi Kacpra Miaskowskiego“, Kraków, cena 3,50

10) O wypadkach politycznych w Polsce w r. 1763-1765 Poznań. Cena 1,10 mk.
Z przesyłką fr. do 10 mil 25 fen., na dalszą odległość 50 fen., przez zaliczkę 80 fen., więcej. — Książki powyższe są wszystkie kompletne. Za tę niebywale niską cenę poleca **księgarnia**

N. Kamieńskiego i Sp.
w Poznaniu
(ulica Św Marcina 16/17)

Dla mego ucznia, który swą 3 letnią naukę d. 1. 4. 02. ukończy poszukuję miejsca

pomocnika

K. Gąsowski,
Kościan 121
handel bławatów, bielizny i garderoby męzkiej.

---

2 maszyny

do rob. pończoch

już używane, lecz w najlepszym stanie się znajdujące są do sprzedania.

L. Małolepszy
Pleszew. 141

Polki

władające doskonale językiem niemieckim są poszukiwane na posady 135

bon i wychowawczyń

Pensya 260—310 Marek. Zgłosić się:
Karpińska Szpitalna 3.
Warszawa.

MIÓD

w najwyborniejszym gatunku, pod gwarancyą czysty, niefałszowany, paczka 10 funt. z opakowaniem 8 mk. 50 fen.
50 funt. 45 „
100 „ 80 „
poleca pszczelarz zawodowy
Franciszek Dzierżon
Łowkowice (Lowkowitz),
p. Ludwigsdorf O/Schl.

Suche strużyny ćwiklane

na pewną i także późniejszą odstawę poleca najtaniej w ładunkach wagonowych franko do wszystkich stacyi kolejowych. Składy wszędzie 70

Wilhelm Thormeyer,
Köthen, Anhalt.

Pierwsza miłość jest to bardzo niefortunny fajerwerk, o którym jednak każdy z nas wspomina najmilej.

Szanownych Rodaków uprasza się o łaskawe wskazanie miasta, gdzie by można założyć lub przejąć

skład stroju

i krótkich towarów.

Oferty przyjmuje Eksp. „Pracy“ p. Nr. 147.

Poszukuję od 1 kwietnia b. r. samodzielnej

dyrektryzy

stroju

Zgłoszenia z podaniem pensyi przy wolnem stole i stancyi zaświadczenia z podaniem dotychczasowej czynności i dołączeniem fotografii uprasza
Joanna Modrzejewska
Mogilno. 120

Nauczycielka

obecnie w miejsu z pozwoleniem rejenc. z dłuż. prakt. posz. posady od 15. Kwiet. Łask. zgłosz. przyjm. Eksped. „Pracy“ pod lit. **B. N. 136.** 136

Poszukuję od 1. 4. 02.

biegłej

buchalterki

obeznanej z podwójną buchalteryą. 146

Przy zgłoszeniu się, proszę o pod. warunków przy woln. stole i stancyi i o ewent. dołącz. fotogr.
C. NAGÓRSKI, Pr. Starogard.
Centralna drogerya.

---

2 uczni

do handlu kolonialnego i destylacyi przyjmie od zaraz

L. Siemianowski 141
w Strzelnie
ul. Kościelna Nr. 14.

Szanownej Publiczności niniejszem uprzejmie donoszę, iż przejąłem przez kupno

w Trzemesznie, przy ul. Świętojańskiej Nr. 138.

położoną

drogeryą,

połączoną z handlem towarów kolonialnych, łakoci, win, cygar i t. d.

Nowo nabyty interes ten obok handli moich w Gnieźnie i Kórniku poprowadzę i starać się będę i w Trzemesznie zjednać sobie przez skorą i rzetelną usługę, oraz doborowy towar przy cenach przystępnych stałą klientelę. 125

Z prawdziwym szacunkiem

P. Zwierzyński.

Z nowym rokiem szkolnym, tj. od 1 kwietnia 1902-go przyjąć mogę do mego

pensyonatu

kilka panienek, uczęszczających do tutejszych szkół żeńskich.

Oprócz uczennic tych przyjmuje również panienki starsze, które wydoskonalić się mają w języku ojczystym, niemieckim, francuzkim lub angielskim, lub w jakimkolwiek kierunku praktycznym.

Warunki przystępne. Bliższe szczegóły na żądanie. Francuzka w domu.

Z szacunkiem 106

Helena Rzepecka,

egz. nauczycielka wyższych szkół żeńsk.

Panienki

które z powodu jakichkolwiek przeszkód nie mogły wiele w naukach pracować, mogą się dalej u nas kształcić. Zyskają na czasie, gdyż uczyć się mogą tych tylko przedmiotów, które im są najpotrzebniejsze. Pismo nieładne i nieczytelne zmieniamy na piękne i czytelne. 150

Dla uczących się w oddziałach jest cena znacznie niższa.

Od kwietnia r. b. przyjmować będziemy także na stancyą panienki, uczęszczające do innych zakładów naukowych.

W. i M. Chmielewskie,

dawniej przełożone wyższej szkoły żeńskiej, Poznań, Piekary nr. 8.

W katol. seminaryum Froeblowskim

jako i w szkółce dla młodszych dzieci

rozpocznie się nowy kurs nauk 8 kwietnia. -- Z dniem 1-go **kwietnia będzie do umieszczenia kilkanaście wychowawczyń, bon i kierowniczek ochron miejskich i wiejskich.** Pensya tych osób od 180—500 marek (z muzyką i franc.) Należy zgłosić się po takowe **wcześnie,** dołączając znaczek na odpowiedź; zresztą umieszcz. bezpłatne. 138

Walerya Puffke, przełożona zakładu, **Długa ul. 4.**

Antoni Markiewicz Kostrzyn,

malarz i dekorator,

poleca swój bogato zaopatrzony

skład tapet i obić.

Farby, pokosty, pendzle, lakiery, oliwę do maszyn

po bardzo nizkich cenach. 1

Trafia się nadzwyczaj korzystne kupno handlu.

Świetnie prosperujący

handel korzeni, łakoci win, cygar etc.

połączony z handlem żelaza,

nasion i nawozów sztucznych

w mieście powiatowem, z bardzo dobrą i wielką okolicą, jest wraz z domostwem natychmiast lub trochę później, drogą kupna do przejęcia.

Obrót roku ostatniego wynosił

285,000 marek.

Kapitału do przejęcia potrzeba około 50,000 marek, lecz możnaby przez przejęcie faktur i z trochę mniejszym kapitałem handel ten nabyć. 123

Właściciel obecny dorobił się w krótkim czasie pięknego majątku i byłby gotów następcę wdrożyć przez pewien czas. Zgłoszenia przyjmuje Eksp. „Pracy“ pod Nr. 368.

Z rozpoczęciem roku szkólnege przyjmuje do mego

pensyonatu

panienki uczęszczające do tutejszych szkół, lub kształcących się w kierunku praktycznym. Gruntowna nauka

języka ojczystego

lekcye obcych języków i muzyka w domu. Warunki przystępne 145

Melanja Gońska, egz. nauczycielka.

Bydgoszcz, Mittelstr. 55. II

Z powodu rozłączenia się w sprawie majątkowej dwóch braci jest na sprzedaż 65

dom

z handlem kolonialnym i wyszynkiem, resp. **handel kolonialny z wyszynkiem** jest do wydzierżawienia. Bliższych wiadomości udzieli **B. Witkowski, Inowrocław, Fryderykowska ul. 22/23.**

Ucznia

z odpowiedniem wykształceniem, syna porządnych rodziców przyjmie zaraz lub później

I. Koppińsk

Fortepiany i harmonia 10

najnowszej konstrukcyi, o pełnym i dźwięcznym tonie, nowe i używane, poleca tanio

A. Drygas,

Rycerska ul. 33.

narożnik św. Marcina.

Od 1 kwietnia

poszukuje się

borowego

kształconego w lasach królewskich, biegłego w swym zawodzie, gruntownie obeznanego w zakładaniu i prowadzeniu się szkółek i zagajeń, dobrego myśliwego, na żądanie pełnić musi służbę pałacową. Zgł. przyjmuje

Zarząd majętności

Komierowa p. Zempelkowo W. Pr.

---

2 mebl. pokoje

z fortepianem i stołowaniem odp. dla pań są do wynajęcia

K. M. Bibrowicz

Piekary 16 I p. 167

Kowal

28 lat mający, egzaminowany w kuciu koni, żonaty poszukuje miejsca w Dominium od 1. 4. r. b. 97

Jakób Kasprzak

Masłowo powiat Śrem.

W szkole.

Nauczycielka siląc się, aby jak najjaskrawiej odmalować uczennicom swoim doniosłość kary, jaka spotkała Nabuchodonozora, więc mówi:

— Przez pięć lat żywił się tylko trawą, ja[k] krowa.

Przerywa jej panna Helcia:

— A czy on też potem dawał mleko — proszę pani.

Zdolnych jeszcze

dwóch

pomocników

zegarmistrzowskich [po]trzebuję natychmiast

J. Żywiałowski

zegarmistrz

w Trzemesznie.

Student

Polak, poszukuje [po] ukończeniu studyów

pożyczk[i]

(8

O, jak okropnem jest małżeństwo bez miłości! „Okropniejszem jednak jest miłość bez małżeństwa!"

Uczciwość kupiecka.

„Takie drogie spodnie, a krótkie! Chłopiec rośnie jak na młodziach i za cztery tygodnie wyrośnie zupełnie z spodni.....“

Kupiec: „Ach, one czterech tygodni nie wytrzymają“.....

Chcącemu imponować udaje się to zawsze — jeżeli nie innym, to imponuje samemu sobie.

Na granicy młodości i starości kładziemy chętnie nacisk na starość, aby usłyszeć komplement.

„Drukarnia Pracy“

Telefon 1246. **Poznań, Rycerska 38** Telefon 1246.

wykonuje

szybko i gustownie po cenach nader przystępnych

wszelkiego rodzaju druki

od pojedyńczych do najozdobniejszych, w jednym lub więcej kolorach,

a mianowicie:

Gazety, dzieła, broszury; druki kościelne, urzędowe, gospodarskie, handlowe, bankowe, dla Spółek pożyczkowych, hotelów i restauracyi;
cenniki, rachunki, karty pocztowe, listy i koperty z firmą, etykiety;
karty wizytowe i polecające; uwiadomienia zaręczynowe i ślubne;
illustracye; dyplomy, powinszowania, adresy na jubileusze; listy żałobne i koperty;
serwety i karty obiadowe; plakaty, programy i t. d.



Antoni Rose

Poznań — Bazar

poleca 815

Artystyczne karty pocztowe

własnego nakładu

z illustracyami J. Kossaka do *„Ogniem i mieczem,“* z *typami* w strojach polskich z *1817 r.*, z wizerunkami *poetów polskich*, z *widokami* miasta *Poznania.*

Nakładów obcych

z reprodukcyami rysunków *A. Grottgera:* „Wojna,“ „Lituania,“ „Polonia“ i t. d., obrazów historycznych *Jana Matejki*, panoramy *„Racławice“* W. Kossaka, z illustracyami Andriolľego do *„Pana Tadeusza“* i *„Maryi“* z illustracyami do *„Quo Vadis“* i t d. i t. d.

Typy Wielkopolskie

z wizerunkami.

Na żądanie służę odwrotnie wzorami.

Spółka Stolarska

Poznań, Jezuicka ulica nr. 5,

gmach pogimnazyalny

poleca

MEBLE

skromne i wykwintne doborowej jakości,
po nizkich cenach.

Stósowne podarki gwiazdkowe.

845 Cenniki odwrotnie i franko.

Tanio do nabycia:

2 *Młockarnie* 13 i 20 cm. szerokie, jedna kolcowa, druga cepowa.
2 *parowniki* do przewracania
2 *Tryery* z cylindrami niżej ceny fabrycznej.

Zgłosz. do **J. Popławskiego**, św. Marcin 64. Skład maszyn do szycia i welocypedów. 643

„Italia“

pierwsza poznańska fabryka

[...]akaronów włoskich

[...]wiadomości Szanownej Publiczności, że otworzyła

[...] ul. Szkolnej 15

[...]y ulic Nowej i Szkolnej — wchód

Zdolnych

kolporterów

na Górnym Śląsku

poszukuje

Wydawnictwo „Pracy.“

Zgłoszenia adresować na[...] „Do Filii Wydaw-[...]

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowe[...] podagry, bładaczki etc.) w połączeniu

z zakładem wodoleczniczy[...]

Kuracye dyetetyczne.

Kuracye na schudnię[...]

Kąpiele [...]